



MIKE RESNICK

POŻERACZ DUSZ

Tłumaczył: Jarosław Cieśla

Pożeracz Dusz

*Dla Carol, jak zawsze
I dla mojej córki Laury
Z miłością i irytacją*

PROLOG

Jest taki świat, gdzieś w kierunku jądra Galaktyki, gdzie wieczorne niebo jest tak jasne, że większość miast — a właściwie osad — nigdy nie zadało sobie trudu założenia sztucznego oświetlenia. Konstelacje są tam zupełnie inne, a prowadzenie złożonych obserwacji astronomicznych bardzo trudne, ale patrząc przez silny teleskop można dostrzec nasze Słońce — małą brodawkę na samym końcu gwiazdozbioru znanego jako Nos Czarownicy.

Planeta nazywa się Northpoint, choć nie leży ona wcale na północy. Jest na niej mnóstwo lądów, mało zbiorników wodnych, parę grzbietów górskich, jeden wielki kanion i siedem Osad Handlarzy — małych osiedli składających się z barów, restauracji, biur mierniczych, banków, hoteli, burdeli, narkotykowych spelunek i centrów radiowych. Stałymi mieszkańcami tych osad są pracownicy i (z rzadka) właściciele owych interesów. Zmienną część populacji — czasem całkowicie nie istniejącą, czasem gigantyczną, ale zazwyczaj średnioliczną — tworzą handlarze, górnicy, poszukiwacze, zwiadowcy, hazardziści, dokerzy, niewielu co odważniejszych i twardszych naukowców oraz garść rozmaitych włóczęgów, łazików, awanturników i nieprzystosowańców. Pochodzą oni ze wszystkich zakątków Galaktyki, chociaż ich rodowody mają początek na Ziemi, i łączy ich jedynie uwielbienie dla samotności oraz bezustannie powracająca wizja błyskawicznej fortuny.

Na Northpoint najmniejszą, najbrudniejszą i najbardziej ponurą z Osad Handlarzy jest Piekielny Port, który stara się czasami dorównać swej nazwie; a w Piekielnym Porcie

jedynym budynkiem zdolnym pomieścić więcej niż trzydzieści osób jest Dom Targowy Tchaki.

Jest to głównie knajpa specjalizująca się w najbardziej egzotycznych miksturach pochodzących z tysiąca światów, jednakże w zależności od piętra i pokoju — w niewiarogodnym labiryncie pięterek i pomieszczeń — także palarnia opium, dom publiczny, kantor walutowy i antykwariat starych map.

Ale to właśnie bar u Tchaki jest centrum towarzyskim i finansowym Piekielnego Portu. Tutaj mężczyźni i kobiety rozmaitego pochodzenia i koloru skóry — włączając parę barw nigdy nie widzianych na Ziemi — spotykają się załatwiając najrozmaitsze interesy, a czasami skacząc sobie do oczu. Tu przewijają się handlarze mówiący ponad dziesięć ma tysiącami języków, którzy dobijają targu bardziej za pomocą znaków, sygnałów i grymasów niż słów. Tutaj sterani, starzy ludzie dożywają swych żalonych, krótkich ostatnich lat wymieniając łgarstwa na temat Bestii Sennych Życzeń i innych monstrów z gwałtownie rozrastającej się mitologii przestrzeni nych traktów. Tutaj też, w tym wypełnionym dziwaczными zapachami, źle oświetlonym handlowym kotle można kupić wszystko, co ma jakąkolwiek wartość dającą się przeliczyć na gotówkę — od złota i ludzi po wartości moralne.

I właśnie tu, w barze Tchaki, należy rozpocząć tę opowieść, dlatego że to tu, ponad cztery tysiąclecia po wyrwaniu się Człowieka z jego macierzystego systemu, Nicobar Lane rozpoczął swoją dziwną, nawiedzoną pogoń za Pożeraczem Dusz.

ROZDZIAŁ 1

Bar Tchaki był zatłoczony.

Przy kontuarze siedziało trio poszukiwaczy z Rakhvadu, o błękitnawej skórze lśniącej jak u żadnego innego ludzkiego podgatunku. Kilku handlarzy, jaskrawo odzianych w stroje pochodzące z ich ostatnich łupieżczych transakcji, skupiło się wokół małego stolika koło drzwi, gdzie wpadające światło podkreślało jeszcze krzykliwość ich ubiorów. W głębi sali barowej grało w *jacob* — pochodną oczka z szansami 52-48 dla banku — pięciu przedstawicieli rdzennej rasy humanoidów z Dabih Minor, o szeroko rozstawionych, kocich oczach i niemal nie istniejących małżowinach usznych. Dwie dziwki z innej części budynku zrobiły sobie przerwę na piwo, obrzucając wszystkich, którzy nawet przypadkiem spojrzeli w ich stronę, spojrzeniem „nawet-się-nie-waż-po-dejść-bliżej!” Ludzie z forsa i ludzie bez, pokryci łuskami lub futrem, nagle wzbogaceni i nagle zubożali — wszyscy cisnęli się i tłoczyli w barze Tchaki.

W ten tłum ludzi i półludzi wszedł Ector Allsworth — otyły, łysiejący człowiek potężnej postury o śmiertelnie sonej,

zmiętej, suchej cerze. Wyglądał na kogoś, komu świetnie się powodzi, nawet jak na „zastaw się, a postaw się” standardy Osad Handlarzy. Żółtymi oczami omiół salę i podszedł do baru. Barman skinął w stronę samotnego człowieka siedzącego przy małym stoliku w najdalszym i najciemniejszym z przedziwnie ukształtowanych zakątków knajpy. Allsworth skinął głową w podzięcie i podszedł do wskazanego mężczyzny.

— Czy to pańska? — spytał rzucając na stół małą, bladozłotą wizytówkę.

Siedzący przyglądał się jej przez chwilę.

NICOBAR LANE

Zabijam zwierzyne

Piekielny Port, Northpoint

— Czym mogę służyć? — spytał Lane, powoli sącząc cygniański koniak.

— Panie Lane — rzekł Allsworth — nie będę tracił słów. Nazywam się Ector Allsworth i reprezentuję Syndykat Vainmill.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Nie wątpię. Jest to jedna z kompanii holdingowych kontrolowanych przez Ilzę Vescott. Czy to nazwisko coś panu mówi?

— Pańskie spojrzenie sugeruje, że powinno — odpowiedział Lane.

— Jest ona bodajże najbogatszą kobietą w systemie Deluros — rzekł Allsworth.

— To daleko stąd — odparł Lane. — Tu są świąty pionierskie, panie Allsworth. Musi pan nam wybaczyć, że nie jesteśmy na bieżąco zorientowani w wydarzeniach towarzyskich i finansowych gdzieś tam na Deluros. Jednakże zrobił pan na mnie odpowiednie wrażenie swoimi referencjami, więc proszę przedstawić swoją propozycję, jakakolwiek by ona była.

— Syndykat Vainmill prowadzi między innymi działalność filantropijną, do której można zaliczyć utrzymywanie muzeów i ogrodów zoologicznych — wyjaśnił Allsworth. — Powiedziano mi, że pan jest najlepszym myśliwym w okolicy, a my akurat potrzebujemy paru eksponatów.

— Musi pan zrozumieć, panie Allsworth — odrzekł Lane — że ja nigdy nie dostarczam eksponatów do zoo. Myślę, że „myśliwy” to zbyt szerokie określenie mojej działalności.

— Skoro nie jest pan myśliwym, to kim?

— Zabójcą — odpowiedział Lane pociągając łyczek.

— To jest sposób, w jaki zarabiam na życie: zabijam zwierzyne. Co nie wyklucza pracy dla waszych muzeów. Czego takiego potrzebujecie, że dotarł pan aż na Northpoint?

— Po pierwsze potrzebuję trzy tuziny świrowijów — powiedział Allsworth.

— Nie jest to niemożliwe — przyznał Lane. — Na jaki wydatek jest pan przygotowany?

— Pięć tysięcy kredytów za sztukę.

— Nie do przyjęcia — stwierdził Lane. — Ludzie tutaj nie mają zbyt wiele zaufania do trwałości waszej Demokracji. Kredyty nie są warte papieru, na którym je wydrukowano.

— W porządku — zgodził się Allsworth. — Pan wybiera walutę.

— Nowa seria talarów Marii Teresy używanych w systemie Corvus.

— System Corvus! — wybuchnął Allsworth. — Ta banda rozszalałych rewolucjonistów!

— Nic mnie nie obchodzi ich polityka — powiedział Lane — tylko ich pieniądze. Dwanaście tysięcy talarów za sztukę.

Allsworth na chwilę zamyślił się głęboko, potem uniósł głowę i skinął potakująco.

— Potrzebuję też pięć bystronurów.

— Być może będzie pan musiał czekać na nie rok lub dłużej.

--- Dwadzieścia tysięcy talarów za sztukę i czterdziestoprocentowa premia, jeśli dostarczy je pan w ciągu czterech miesięcy.

— Cena jest godziwa — przyznał Lane — ale o premii można zapomnieć. To zajmie ponad rok. Coś jeszcze?

— Tylko jedno — powiedział Allsworth.

— Zastanawiałem się, kiedy w końcu pan to z siebie wydusi — wyznał Lane z lekkim uśmiechem na ustach.

— Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć — rzekł Allsworth.

— Świrowije i bystronury nie łążą po ulicach, ale nie są aż taką rzadkością, aby zmusić człowieka z pańską pozycją do podróży na skraj piekieł po to tylko, żeby mi powiedzieć, że ich pan potrzebuje. Mogliśmy to załatwić przez radio. Jest więc oczywiste, że chce pan czegoś innego.

— Chyba myśli pan, że pan wie, co to jest — powiedział Allsworth.

— Oczywiście, że wiem, co to jest — odrzekł poirytowanym tonem Lane. — Jest to jedyny powód, dla którego ktokolwiek kiedykolwiek pojawia się tutaj, aby się ze mną zobaczyć. Pan chce, żebym upolował Bestię Sennych Życzeń.

Allsworth przytaknął.

— Zapłacimy każdą cenę w granicach rozsądku.

— W tej całej historii nie ma krzty rozsądku. Po pierwsze szanse są dwadzieścia do jednego, że Bestia Sennych Życzeń to tylko mit, bajka wymyślona przez jakiegoś starego dokera, który załamał się pod ciężarem nudy i uwierzył we własne senne koszmary. Po drugie, jeśli ona rzeczywiście istnieje, to jest jedyną formą życia zamieszkującą przestrzeń, na jaką kiedykolwiek natrafiono, a także jedyną odżywiającą się energią. A jeśli pan zna sposób na zabicie istoty, która żywi się energią, będę dozgonnym dłużnikiem, jeżeli mi go pan poda.

— Jestem przygotowany jedynie na podanie panu sumy, jaką jesteśmy gotowi zapłacić.

— Nie interesuje mnie to. To tylko bajeczka do straszenia dzieci. Nawet nazwa jest wariacka. Proszę posłuchać, żyjemy we wszechświecie, w którym wszystko się rozmnaża. Jeżeli jest jedna Bestia Sennych Życzeń, musi ich być więcej: rodzice, potomek, macierzyste ciało, z którego wypączkowała. Ale nic takiego nie ma. Jest tylko jedna Bestia Sennych Życzeń — co jest paradoksalne i co oznacza, że nic takiego nie istnieje.

— Natknięto się na nią — powiedział Allsworth.

— Bzdura.

— Mogę podać jej współrzędne sprzed pięciu dni — rzekł Allsworth.

— Nie może pan — odparł Lane. — Pan może mi podać jedynie współrzędne jakiegoś szurniętego próżniarza, który lepiej fantazjuje niż jego kumple z załogi.

— Co pan sądzi o dziesięciu milionach kredytów albo ich równowartości w dowolnej, wybranej przez pana, walucie?

— To kupa forsy — przyznał Lane. — Dlaczego nie zaoferuje jej pan komuś, kto jest gotów spędzić resztę życia w pogoni za mrzonką?

— Czy to pańska odpowiedź? — spytał Allsworth.

— Oczywiście, że to moja odpowiedź — rzekł Lane.

— A jeśli pokrylibyśmy pańskie wydatki na to polowanie po dostarczeniu pierwszej części zamówienia?

— Może pan o tym zapomnieć — powiedział Lane wstając. — Skontaktuję się z panem przez radio, gdy będę miał ścirowiję i powiadomię o terminie ich dostawy. Przypuszczam, że wiadomość wysłana do Syndykatu dotrze do pana?

— Nie namyśli się pan? — spytał Allsworth także wstając.

Lane pokręcił głową.

— Niech pan poszuka jakiegoś myśliwego, który wyłazi ze skóry, aby zdobyć sławę i do tego nie jest za mądry.

— Mamy ich około dwustu — powiedział Allsworth usiłując ukryć pełen winy uśmiezek.

— Czemu nie? — Lane wzruszył ramionami. — W końcu zamierzacie zapłacić co najwyżej jednemu z nich.

Uścisnął rękę Allsworthowi i wyszedł na zakurzoną, nie wybrukowaną ulicę. Wiał zachodni wiatr i kiedy przechodził do swojego oddalonego o pięćset metrów hangaru połączonego z biurem, musiał naciągnąć maskę, aby osłonić oczy przed fruującymi śmieciami i piaskiem.

Dotarwszy na miejsce otworzył drzwi i podszedł wprost do wciśniętego w kąt pokoju antycznego biurka, zarzuconego stosami papierów — czekających na zrealizowanie zamówień nowych i sprzed pięciu-sześciu lat. Dorzucił do stosu zamówienia Allswortha, zapalił fajkę i rozsiadł się w wygodnym fotelu wśród trofeów i pamiątek zebranych przez ćwierć wieku tropienia egzotycznej zwierzyny na jeszcze bardziej egzotycznych planetach.

Przysnął na parę minut, potem ocknął się gwałtownie zakrztusiwszy się dymem tytoniowym. Odłożył fajkę, opłukał twarz, otworzył butelkę brandy z Alpharda, nalał sobie

szklaneczkę i usiadł przy biurku z piórem w dłoni. „Śmiercionośny” został ostatnio całkowicie opróżniony, naprawiono i wzmocniono jego kadłub, dokonano przeglądu silników, stos atomowy wymieniono i teraz należało go całkowicie wyposażyć przed kolejną wyprawą. Lane przejrzał parę zamówień i oszacował, co mu jest niezbędne: działo laserowe, dwa wibratory, imploder molekularny (jeśli tylko będzie do zdobycia na Northpoint). Standardowa broń ręczna — głuszak, miotacz ultradźwiękowy oraz staromodny pistolet laserowy. Przejrzał parę podręczników w poszukiwaniu właściwych zestawów do wypychania różnych zwierząt, które zamierzał zgładzić, obliczył niezbędne zapasy żywności i powietrza, a potem je potroił. Wybrał też właściwe mapy gwiazdne, które należało wprowadzić do trójwymiarowego systemu kartograficznego statku.

Potem sprawdził planety, które miał odwiedzić w trakcie polowania — trzy tlenowe, dwie chlorowe, jedna metanowa, jedna amoniakalna, jedna nie zbadana — i ocenił ilość i wytrzymałość potrzebnych skafandrów i systemów ochronnych. Zanotował też, żeby sprawdzić komorę dekontaminacyjną i jedną ze śluz powietrznych, która zaczęła szwankować pod koniec ostatniego polowania. Przejrzawszy dokładniej zamówienia zdecydował, że ma dość miejsca w ładowniach na pięciomiesięczną wyprawę, może sześć — jeśliby miał kłopoty z diabłosowami.

Następnie zajął się załogą. Dabihsowie byli najlepszymi oprawiaczami, więc postanowił paru zatrudnić. Rozważył też możliwość najęcia istoty oddychającej chlorem, ale doszedł do wniosku, że straciłby zbyt dużo czasu udając się na Asteriona VIII — najbliższą kolonię rozumnych chlorodysznych — aby mu się to opłacało. Jak zwykle odrzucił myśl o włączeniu do

załogi istoty metanodysznej; nie tylko były one większą rzadkością niż białe kruki, ale w dodatku miały tendencję do rozkruszania się jak delikatne szkło, jeśli nie były całkowicie ekranowane od najłżejszego hałasu.

Został jeszcze Wielki Lord Mufti, który był bardziej maskotką niż członkiem załogi, bardziej nadwornym błaznem niż próżniarzem, najprawdopodobniej szaleńcem — jeśli w ogóle miał umysł, i prawdziwym zagrożeniem na każdym etapie polowania. Jednak Lane czułby się osamotniony bez Muftiego, więc obliczył zapasy żywności dla niego — żywe owady i martwe gady — i dopisał uwagę, żeby naszpikować go środkami uspokajającymi tuż przed startem.

Przygotował wszystko do odlotu za pięć dni, co dawało mu czas na wynajęcie załogi, wyposażenie statku i jeszcze na jeden, ostatni wypad na uciechy oferowane u Tchaki, alkoholowe i inne...

ROZDZIAŁ 2

Świrowije chichotały, wyły i pohukiwały całą drogę na Kakkab Kastu IV — gigantyczne centrum wysyłkowe, które obsługiwało większość wymiany towarowej w tej części Galaktyki. Świrowije, mierzące średnio około czterech metrów i wyposażone w paraliżujący jad — w gruncie rzeczy Lane nadal nie rozumiał, czemu nie klasyfikowano ich jako jadowite węże — właściwie nigdy nie wiedziały, kiedy są martwe. Jeśli zastrzeliło się je laserem czy potraktowało toksycznym gazem, zachowywały się jak inne nieżywe zwierzęta; za to jeśli zabiło

się je za pomocą broni ultradźwiękowej, wywoływała ona jakąś wibrację głęboko w ich układzie współczulnym, co powodowało, że faktycznie martwy świrowij chichotał maniakalnie przez miesiące, a często i lata. Stąd ich nazwa i stąd też ulga Lane'a, kiedy pozbył się ich z pokładu „Śmiercionośnego”. Przesłał do władz portowych zlecenie przetransportowania swoich różnorodnych trofeów do ich nabywców, zostawił Muftiego radośnie gaworzącego do samego siebie na suficie pokoju hotelowego i poszedł na obiad.

Pozostał w porcie przez cztery dni, do chwili gdy przesłano mu wszystkie należności za ostatnie zdobycze, potem rozpoczął przygotowania do polowania na bystronury w systemie Pinnipes. Pozostawił nie zmieniony skład załogi dodając do niej jeszcze wyżła wodnego.

Bystronury spędzały większość czasu w głębinach cieczy uchodzącej za wodę na Pinnipes II i spodziewał się, że będzie potrzebował pomocy w ich wytropieniu. Wyżły wodne nie były tanie — już samo znalezienie zwierzęcia, które byłoby zdolne przeżyć podróż kosmiczną i równocześnie wywęszyć trop przez dwanaście sążni wody czy innej cieczy było wystarczająco trudne, a jeszcze oswojenie i tresura — ale Lane wiedział, gdzie szukać i czym płacić i nie zajęło mu zbyt dużo czasu zdobycie pierwszorzędnej sztuki.

A potem była długa, ciągnąca się w nieskończoność podróż na Pinnipes. Igrał z myślą o zapadnięciu w pogłębiony sen na czterdzieści czy pięćdziesiąt dni, lecz nie zdecydował się na pozostawienie Dabihsów i Muftiego bez nadzoru. Wszyscy oni zerkali czasami na wyżła wodnego pożądliwymi i głodnymi oczami, a ten przekłety zwierzak kosztował go zbyt dużo, żeby ryzykować jego stratę przed końcem polowania. Pozostał więc

przytomny i jadł, spał, czytał, słuchał, biegał w miejscu i wypełniał tysiące innych drobnych rytuałów, które stworzył sobie przez ćwierć wieku następujących po sobie okresów dzikiego pośpiechu i długiego oczekiwania. Kiedy nuda już nazbyt mu doskwierała, włożył w skafander i spacerował wokół kadłuba „Śmiercionośnego” albo dawał się holować poprzez pustkę.

Właśnie stał na kadłubie tego dnia, gdy zauważył boję ostrzegawczą — wielką czerwoną flarę jakieś pół miliarda kilometrów od Pinnipes. Natychmiast wrócił do środka i podszedł do konsoli radiowej. Nie znalazłszy sygnału wezwania pomocy na żadnej częstotliwości włączył nadajnik.

— Tu „Śmiercionośny”, start pięćdziesiąt trzy standardowe galaktyczne dni temu z Kakkab Kastu IV, cel Pinnipes II, dowódca Nicobar Lane. W czym problem?

Po około pięciu minutach ciszy przysłała pełna trzasków odpowiedź:

— Odebraliśmy sygnał, „Śmiercionośny”. System Pinnipes jest zamknięty z powodu odkrycia czarnej dziury w pozycji drugorzędowego składnika układu podwójnego. Cały ruch na Pinnipes jest zawracany do punktu wyjścia.

— Szlag by to — mruknął Lane. — Jeszcze jedna.

Naniósł czarną dziurę w swoim systemie kartograficznym, potem zażądał od komputera wykreślenia kursu na Pinnipes II omijającego jej potężne oddziaływanie. Komputer obliczył trzy kursy; jeden wyglądał zbyt niebezpiecznie, lecz pozostałe dwa zdawały się omijać czarną dziurę w przyzwoitej odległości.

— Tu „Śmiercionośny” — powiedział do mikrofonu — kontynuuję lot na Pinnipes II w poszukiwaniu bystronurów, mam licencję na ich upolowanie. Zamierzam przebywać tam

przez większą część dwóch standardowych miesięcy. Po tym czasie odezwę się ponownie.

Przerwał połączenie i wprowadził wybrany kurs do komputera nawigacyjnego. Miał już po dziurki w nosie pojawiających się coraz częściej czarnych dziur. Niegdyś były zaledwie teorią, potem rzadkim fenomenem, zaś aktualnie szacowano ich liczbę na ponad sto tysięcy w galaktyce i wręcz miliardy miliardów w całym wszechświecie. Zapadnięte gwiazdy, giganty, które wytworzyły tak potężne pole grawitacyjne, że ich kolaps nie zatrzymał się na etapie gwiazdy neutronowej, lecz trwał aż do złamania wszelkich praw normalnego wszechświata. Nawet światło nie było w stanie wydostać się z czarnej dziury, która była zdolna pochłoniąć planety miliony razy od niej większe. Istniała teoria głosząca, że jeśliby człowiek przeżył poniżej horyzontu zdarzeń — sfery, z której nawet światło nie może się wydostać — czas i przestrzeń stałyby się nic nie znaczącymi słowami. Niektórzy teoretycy postulowali istnienie również białych dziur — tworów, w których materia, wchłonięta przez czarne dziury gdzieś we wszechświecie, formowałaby nowe gwiazdy — lecz jak dotąd nic takiego nie zaobserwowano i hipoteza ta szybko traciła uznanie. Jednak filozoficzne i teoretyczne rozważania na temat czarnych dziur nie interesowały Lane'a nawet w najmniejszym stopniu. Jedynym jego zmartwieniem było unikanie ich, a konkretnie trzydziestodwukilometrowej dziury orbitującej po drugiej stronie Pinnipes.

Zbliżanie się do celu zabrało mu większą część dnia. Zaraz po wejściu na eliptyczną orbitę wokół Pinnipes II zaczął przeglądać wyspy wynurzające się z paskudnej cieczy, w której miał polować, szukając takiego skrawka lądu, który zapewniłby mu najlepsze schronienie, najbezpieczniejsze

lądownisko oraz najmniejsze ryzyko pochłonięcia przez fale przyptywowe pędzące regularnie wokół planety i osiagające nieraz ponad kilometr wysokości.

Miał właśnie rozpocząć schodzenie, gdy statek poinformował go, że już nie jest sam.

Coś pojawiło się w odległości około stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów ponad dziobową częścią lewej burty, wewnątrz orbity Pinnipes II. Odczyt dawało odmienny niż statek, ale w galaktyce żyło dużo rozmaitych ras i wiele z nich używało materiałów, na których rozpoznawanie czujniki Lane'a nie były zaprogramowane.

Włączył radio.

— Tu „Śmiercionośny”, port macierzysty Northpoint, rasa Człowiek. Kim jesteś?

Powtarzał sygnał w regularnych odstępach czasu, jednak nie otrzymał potwierdzenia odbioru. Nie oczekiwał go, ale i tak był rozgoryczony, bo oznaczało to, że musi odłożyć polowanie na jakiś czas. Przeżył tak długo dzięki ostrożności i nie miał najmniejszego zamiaru utknąć na planecie bez upewnienia się co do tożsamości i zamiarów czegoś co, jak domniemywał, było statkiem obcych.

Zszedł z orbity i z wolna zaczął zbliżać się do obcego. Ten wycofał się leniwie. Lane przyspieszył odbezpieczając działko laserowe.

Statek obcych wycofywał się nadal w kierunku gwiazdy i Lane poczuł niepokój. Jeśliby obcy nie zmienił kursu, w ciągu kilku godzin znalazłby się zbyt blisko słońca, aby dalszy pościg był możliwy. Oznaczałoby to niewątpliwie, że po pierwsze statek obcych jest nieprzenikliwy dla promieniowania podczerwonego i korpuskularnego gwiazdy, a po drugie, że ograniczenia „Śmiercionośnego” zostały ujawnione.

Lane podążał za obcym przez następną godzinę i gdy ten nie wykazywał zamiaru zmiany kursu w stosunku do Pinnipes, przejął inicjatywę przyspieszając i kierując się poza płaszczyznę ekliptyki. Nie wiedział, czy obcy zamierza przelecieć pod, ponad czy obok gwiazdy, lecz z nowej, korzystniejszej pozycji powinien być w stanie go wyśledzić.

Spróbował też analizy spektroskopowej statku, ale nie otrzymał żadnych danych. To było zaskakujące. Czujniki wskazywały, że ściga rzeczywisty obiekt, lecz ani one, ani inne przyrządy na pokładzie „Śmiercionośnego” nie dawały żadnych informacji o jego charakterystyce.

— „Śmiercionośny”, przechwyciliśmy twoje sygnały — rozległ się pełen zakłóceń statyczny głos. — Co ścigasz? Nie jesteśmy w stanie wykryć żadnego statku w twoim pobliżu.

— Coś tam jest — powiedział Lane. — Właśnie zacząłem to gonić. Czy moglibyście się uprzejmie zamknąć, do cholery, żeby facet nie poczuł się osaczony i nie zaczął dla odmiany używać broni?!

Włączył znowu radio i podszedł do pulpitu czujników wypróbowując podstawowe testy, z którymi był obeznany, starając się jakoś określić, za czym właściwie podąża. Bez rezultatu.

Kiedy osiągnął punkt obserwacyjny ponad i sporo poza Pinnipes, ekstrapolował na komputerze kurs statku obcych. Zamierzał on przejść pod gwiazdą, więc szybko położył się w kurs zbieżny i korzystając z paru minut zadbał o potrzeby swoich nie-ludzkich pasażerów. Potem, gdy „Śmiercionośny” osiągnął przewidywany punkt przecięcia kursów, rozsiadł się wygodnie z ręką na spuście działka laserowego i czekał na pojawienie się obcego.

Zajęło mu prawie pół godziny, zanim zdał sobie sprawę, że obcy przewidział jego posunięcie i, gdy tylko Pinnipes zasłoniła go przed czujnikami Lane'a, zmienił kurs zdrażając teraz z grubsza w stronę czarnej dziury. Lane natychmiast dokonał korekty kursu w taki sposób, żeby znaleźć się jak najbliżej dziury.

Gdy już się tam znalazł, samej dziury nie mógł dostrzec, co nie było niczym zaskakującym. Za to przyrządy znajdowały ją bez trudu — supersilne pole grawitacyjne otoczone orbitującymi wokół niewielkimi ilościami gazu i śmieci.

— Nadal nie mamy odczytów, „Śmiercionośny” — odezwał się w radiu głos. — Jesteś pewien, że nie śledzisz jakiegoś odbicia?

— A kiedyż to ostatni raz słyszeliście o czymś dającym takie odbicie w przestrzeni? — spytał Lane z niesmakiem. — Poza tym to zmierza wprost ku dziurze. Podam wam współrzędne, może się w końcu ode mnie odczepicie.

— Mamy współrzędne — ten sam głos rzekł pięć minut później — i wykreślił kurs tego czegoś przyjmując nieprawdopodobne założenie, że to w ogóle istnieje. Jednakże nasze przyrządy nadal niczego nie rejestrują.

— W takim razie sprawcie sobie nowy sprzęt — zaproponował Lane — ponieważ w tej chwili znajduje się to w odległości miliona kilometrów od czarnej dziury.

Statek obcych najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że znajdował się na kursie kolizyjnym — lub raczej absorbcji, poprawił się Lane w myśli — z czarną dziurą. Nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia. W tej odległości nawet sama Pinnipes nie byłaby w stanie wyrwać się z jej oddziaływania.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Prędkość statku obcych powinna rosnąć w miarę ściągania go coraz bliżej horyzontu zdarzeń, tymczasem pozostała niezmienna. A potem, gdy

odległość wynosiła około pięćset tysięcy kilometrów od czarnej dziury, statek zmienił kurs unikając jej całkowicie.

— Musieliście się pomylić — stwierdził Lane włączając radio.

— Tu nie może być żadnej czarnej dziury.

— A czemu nie? — spytał głos pięć minut później.

— Ponieważ ten statek właśnie wyrwał się z jej oddziaływania — odrzekł i szczegółowo opisał, co się wydarzyło.

— Bez wątpienia jest tam czarna dziura — powiedział głos. — Została skartowana, wpisana do rejestrów i porządnie zbadana. Ponieważ nasze instrumenty nie rejestrują twojego hipotetycznego statku obcych, jesteśmy zmuszeni przyjąć, że twoje czujniki dają błędne odczyty.

Lane przerwał połączenie, poszedł do ładowni, wybrał małą sondę i przymocował do niej długo świecącą flarę. Potem wystrzelił ten zestaw w stronę czarnej dziury. Przyrządy śledziły jego lot, a Lane równocześnie obserwował go na ekranie wizyjnym. Znikł po osiągnięciu horyzontu zdarzeń i dokładnie w tym samym momencie czujniki straciły z nim kontakt.

Co oznaczało, że rzeczywiście miał przed sobą czarną dziurę.

Co oznaczało też, że statek obcych pogwałcił wszystkie znane Lane'owi prawa fizyki.

Włączył znowu radio.

— Czy istnieje cokolwiek, co byłoby odporne na pole grawitacyjne czarnej dziury?

— Nie — dobiegła odpowiedź. — Nawet światło nie jest w stanie się mu oprzeć.

— Nie o to mi chodzi — powiedział Lane. — Czy istnieje cokolwiek odpornego na jej przyciąganie grawitacyjne jeszcze przed wpadnięciem w nią?

— Nic materialnego — odpowiedziano mu. — Może promieniowanie rentgenowskie albo jakieś formy energii, chociaż wątpię i w to. W każdym razie nic innego.

— Na które z wymienionych rzeczy nie zareagowałyby wasze czujniki? — spytał Lane.

— Na pewno wykrylibyśmy promieniowanie rentgenowskie. Przy tych odległościach moglibyśmy nie zarejestrować jakichś nietypowych form energii, zwłaszcza jeśliby lokowały się częściowo lub całkowicie w podczerwonym obszarze widma.

— Czy słyszeliście o jakimkolwiek statku zbudowanym z energii? — zapytał Lane.

— Nie. Na twoim miejscu poszukałbym uszkodzenia w obwodach komputera pokładowego.

— Wszystko działa idealnie — stwierdził Lane. — Właśnie wpakowałem w dziurę sondę i prześledziłem każdy centymetr jej lotu.

— No tak, „Śmiercionośny”, nie możemy nic więcej zaproponować.

— Ja mogę — powiedział Lane. — Myślę, że właśnie nadziałem się na Bestię Sennych Życzeń.

— Do diabła — jęknął głos z niesmakiem — jeszcze jeden szurnięty. Posłuchaj no, „Śmiercionośny”, nie waż się rozsiewać żadnych szalonych plotek, żeś widział tę przeklętą rzecz właśnie tutaj. Absolutnie nam tu niepotrzebne dziesięć tysięcy zidiociałych łowców nagród pakujących się do czarnej dziury.

— Nie ma sprawy — odrzekł Lane. — Bestia Sennych Życzeń mnie nie interesuje, jeśli to właśnie na nią się natknąłem. Przyleciałem tu zapolować na bystronury. Ponieważ zaś owa rzecz — cokolwiek to było — znikła, zamierzam zająć się planowanym polowaniem.

Piętnaście godzin później wędrował po dnie ponurego morza na Pinnipes II z sonarowym komunikatorem podającym komendy wyżłowi wodnemu w jednej ręce i głuszakiem w drugiej. Zaś przygoda przeżyta tego dnia w przestrzeni została złożona w zakamarku jego umysłu przeznaczonym na banały, wyciągane jedynie podczas wymieniania się nieprawdopodobnymi opowieściami u Tchaki.

ROZDZIAŁ 3

Wypełnienie zobowiązań zajęło Lane'owi prawie trzy miesiące. W połowie tego okresu wyżeł wodny został zaatakowany i zabity przez jakiegoś mieszkańca oceanu i resztę ofiar musiał schwytać bez jego pomocy. Ale udało się i kolejne polowanie dobiegło końca. Pozbył się bystronurów na pobliskiej planecie zajmującej się przeładunkiem i wysyłką towarów, a potem, wyczerpany fizycznie i psychicznie, wrócił do Piekielnego Portu.

Zostawił „Śmiercionośnego” w hangarze, rozliczył się z Dabihsami, uciął sobie długą drzemkę, a później z uszczęśliwionym Muftim wczepionym w ramię poczłapał zaśmieconą ulicą do Tchaki.

Sam Tchaka stał za barem, jak zwykle sprawiając szokujące wrażenie. Wysoki na niemal dwa i pół metra, błyskający zębami z najlepszego, polerowanego złota. W groteskowo rozciągniętej prawej małżowinie usznej tkwiła żywa jaszczurka, obsypane klejnotami palce połyskiwały jak małe, jasne słońca. Ubrany był w ciekawie skrojoną szatę, która przy każdym poruszeniu zmieniała barwy, z podstawowych na

pastelowe i z powrotem. Jednak chyba najbardziej niesamo wite było jego lewe, sztuczne oko, połyskujące i iskrzące nienaturalną luminescencją. Stara plotka głosiła, że oko to stracił w walce na noże we wczesnych latach istnienia Piekielnego Portu. Później szeptano po kątach, że przeżarła mu je jakaś dziwna — i prawdopodobnie zaraźliwa przy bliskim kontakcie — choroba tocząca każdy centymetr jego potężnego ciała. Według popularnej obecnie teorii Tchaka wyłupił je sobie własnoręcznie, aby móc zastąpić niesamowitą gałką. Lane uważał to twierdzenie za o wiele bardziej przerażające niż dwa poprzednie i jednocześnie o wiele bardziej prawdopodobne.

— Nicobar! — wykrzyknął Tchaka odrywając na moment wzrok od lady. — Wracasz z wojen gotów przepuścić tu swe łupy?

Lane uśmiechnął się i podszedł do baru.

— Długo cię nie było, Nicobarze — powiedział Tchaka.

Lane skinął głową.

— Ponad rok.

— Dobry połów?

— Całkiem niezły. Przyrządź mi coś ekstra.

— Pierwszy na mój rachunek — rzekł Tchaka potrząsając i mieszając składniki z wirtuozerią koncertowego pianisty. — Czy to wszystko? Wiele jest rzeczy, bez których rok to kawał czasu, Nicobarze — dodał puszczając oko.

— Nie rozumiem — rzekł Lane potrząsając głową.

— Czego?

— Dlaczego przymrużasz zdrowe oko — odpowiedział Lane.

— Na twoim miejscu puszczałbym oczka tym ślepym.

— Obydwa są znakomite, Nicobarze — odparł Tchaka z szerokim uśmiechem. — Czyż nie są piękne?

— Prześliczne — zgodził się Lane, kosztując drinka, którego właśnie Tchaka postawił przed nim. — Ale nie widzisz na jedno z nich.

— Myślisz, że nie? — spytał Tchaka.

Zamknął prawe oko i łyśnął sztucznym w kierunku drzwi.

— Właśnie weszło dwóch ludzi. Ten po lewej ma około czterdziestki, nosi brodę, ubrany jest w stary mundur wojskowy. Ten z prawej jest o parę lat starszy, nieco niższy, tłusty jak smok, gładko ogolony oraz, choć pewnie tego nie zauważyłeś, brak mu większej części prawej nogi.

— A niech to! — wykrzyknął Lane szczerze zdumiony. — A jakiego koloru są ich ubrania?

— Nie mam zielonego pojęcia — odrzekł Tchaka otwierając prawe oko. — A więc zaskoczyłem cię, Nicobarze! — Odrzucił potężną głowę do tyłu i zaśmiał się.

— Nigdy nie widziałem, abys zareagował bardziej emocjonalnie.

— Jak ty to robisz? — spytał Lane.

— Myślałeś, że to oko służy jedynie ku ozdobie? — zdziwił się Tchaka. — Nicobarze, zaskakujesz mnie. W jakim celu ma się upiększać właściciel najlepszego burdelu na Northpoint? Nie, mój przyjacielu, ta gałka oczna to więcej niż dzieło sztuki, to sukces nauki. Ma detektory podczerwieni i nadfioletu i jest podłączona do moich wzrokowych zakończeń nerwowych. Biedny Nicobar o zaledwie dwóch oczach, z którymi go Bóg stworzył! Biedny, biedny człowiek, który widzi jedynie powierzchnię rzeczy, podczas gdy Tchaka widzi barwy i kształty, których sobie nawet nie potrafisz wyobrazić!

— Jestem pod wrażeniem — rzekł Lane.

— Zbliż się, Nicobarze — zaproponował Tchaka pochylając się nad barem. — Spójrz w nie głęboko i odkryj sekrety czasu i przestrzeni.

Lane już miał z bliska zjrzeć w lśniąca gałkę, gdy Mufti zeszywniał wpijając mu pazury w ramię. Wyprostował się natychmiast.

— Innym razem, Tchaka.

— O co chodzi?

— Mój zwierzak właśnie zobaczył jaszczurkę w twoim uchu. Jeśli się zbliżę choć trochę, będziesz miał okazję pozwolić nauce zrobić z twoim słuchem to samo, co zrobiła ze wzrokiem.

— Ultradźwiękowe ucho jako uzupełnienie mojego oka — zamyślił się Tchaka. — Zastanowię się nad tym, Nicobarze. A teraz, czy mogę zorganizować ci coś do łóżka, przyjacielu?

— Później — odrzekł Lane sącząc drinka.

— Czego sobie tylko życzysz — zgodził się Tchaka.

— Dla mojego starego przyjaciela, Nicobara, wszystko.

— Dopóki nie skończą mu się pieniądze — zauważył Lane sucho.

— Nigdy nie powinieneś mylić przyjaźni z lojalnością — stwierdził Tchaka. — Jestem przyjacielski dla każdego, lecz lojalny tylko w stosunku do interesów Tchaki.

— Rozsądne — przyznał Lane.

— Dla każdego jestem kim innym — rzucił Tchaka lekko. — Dla ciebie jestem rozsądny. Dla kogoś innego pozbawiony skrupułów i nieprzenikniony. Czy uwierzyłybyś — kontynuował wykrzywając się i wpijając w blat palce, pozostawiając w twardym drewnie wgniecenia głębokie na dobre dwa centymetry — że dla niektórych ludzi jestem uosobieniem grozy?

— Nie mam pojęcia dlaczego — wyznał Lane, zastanawiając się, czy jakikolwiek człowiek w całej galaktyce mógłby dorównać Tchace siłą.

— A dla jeszcze innych — ciągnął Tchaka — jestem całkowitą tajemnicą.

— Nigdy nie myślałem o tobie jako o kimś szczególnie tajemniczym — skomentował Lane. — Ale skoro już jesteśmy przy tajemnicy, mam coś, czym chciałbym się z tobą podzielić. Co wiesz o czarnych dziurach?

— Czarne, białe, różowe, czerwone, brązowe i w ciapki, wszystkie są tym samym dla Tchaki — odpowiedział z obleśnym uśmiechem, ukazując w całej okazałości złote zęby.

— Mówię serio — rzekł Lane. — Czy wiesz cokolwiek na ten temat?

— Tchaka wie co nieco niemal o wszystkim.

— Wliczając czarne dziury?

— Wliczając czarne dziury.

— Jak byś więc zareagował, gdybym ci powiedział, że coś, co goniłem, dotarło na pięćset kilometrów od czarnej dziury, a potem ją ominęło?

— Powiedziałbym, że się myliłeś — odrzekł Tchaka bez wahania.

— Nie myliłem się — powiedział Lane.

— Jak to wyglądało? — spytał Tchaka.

— Nie wiem, odległość była za duża.

— To skąd wiesz, czy to w ogóle istniało, Nicobarze?

— Czujniki statku śledziły to aż do czarnej dziury — odpowiedział Lane.

— Co się z tym stało po ominięciu czarnej dziury?

Lane wzruszył ramionami.

— Nie wiem, opuściłem system i wróciłem do pracy.

— Nie gryzła cię ciekawość?

— Nie na tyle, żeby się za tym uganiać — odrzekł Lane. — A zresztą, jeśli to mogło zignorować pole grawitacyjne czarnej dziury, to mój statek najprawdopodobniej nie miał z nim szans.

— Prawdopodobnie — zgodził się Tchaka w zamyśleniu pociągając z butelki.

— Słyszałeś kiedykolwiek o czymś takim? — spytał Lane.

— Tylko raz — odpowiedział Tchaka.

— O? Od kogo?

— Starego człowieka, tam w kącie. — Tchaka skinął w stronę starego, pomarszczonego mężczyzny siedzącego nieruchomo przy stole z wielką butlą niemal czystego alkoholu przy łokciu.

— Było to trzydzieści, może nawet czterdzieści lat temu. Pojawił się tu któregoś dnia i urznął w trupa. Nie było wtedy takiego ruchu jak dziś, więc pomogłem mu wytrzeźwieć. Gadał całą noc i większość poranka o czymś, co pętało się wokół czarnej dziury. Myślałem, że po prostu majaczy, ale gdy wytrzeźwiał, powtórzył wszystko jeszcze raz. Wspomniał o tym następnej nocy w barze, został wyśmiany i nigdy więcej o tym nie mówił. Chcesz się z nim spotkać?

— Niespecjalnie — odpowiedział Lane.

— Dlatego tak cię lubię, Nicobarze — zaśmiał się Tchaka. — Zawsze uprzejmy.

— Hej, Mariner! — krzyknął do starego. — Podejdz no tu i załap się na darmowego drinka; Nicobar Lane stawia!

Starzec podniósł wzrok, rozważył niespiesznie propozycję, potem wstał z wysiłkiem i pokuśtykał do baru. Wziął podanego przez Tchakę drinka, przełknął go bez słowa jak wodę i przetarł usta poszarpanym rękawem. Widać w nim

było niegdysiejszą siłę i sprawiał wrażenie bardziej zbolełego niż zniszczonego.

— Dzięki — powiedział w końcu głosem brzmiącym zaskakująco młodo w porównaniu z ciałem, z którego się dobywał.

— Proszę bardzo — rzekł Lane opierając się o bar w nadziei, że Muftiemu uda się jeszcze raz rzucić okiem na jaszczurkę w uchu Tchaki. — Jak się nazywasz, staruszk?

— Nie jestem całkiem pewien — odpowiedział mężczyzna. — Nazywają mnie Marinerem już od tak dawna, że zapomniałem swojego prawdziwego nazwiska. Sądzę jednak, że jakieś mam.

— Dlaczego nazywają cię Marinerem? — spytał Lane.

— Na cześć Starożytnego Żeglarza.

— Nie widzę związku — stwierdził Lane.

— „Woda, woda wszędzie, a do picia ani kropli” — zacytował Mariner. — W moim przypadku były to planety. Miliony światów, zielone światy, niebieskie światy, czerwone światy, pustynie i oceany, dżungle i góry tak wysokie, że nie dostrzegłbyś wierzchołków w bezchmurny dzień. Widziałem je wszystkie, wiele z nich uczyniłem dostępnymi dla kolonizacji. Lecz nigdy nie mogłem osiąść na żadnym z nich, nigdy dłużej niż na około miesiąc. Zawsze myślałem, że będzie jeszcze piękniejsza planeta, okrążająca następną gwiazdę, zawsze czułem ich zew i poszukiwałem dalej. Wszędzie planety, miliardy światów do wzięcia, a żaden dla mnie. I tak przywiało mnie tutaj, zbyt starego i zbyt złamanego, żebym mógł powrócić na któryś z Edenów, po których się przechadzałem.

— To Mariner odkrył Northpoint — powiedział Tchaka nalewając starcowi kolejną szklaneczkę.

— To prawda — przyznał Mariner. — Siedemdziesiąt dwa lata temu. Muszę stwierdzić, że nie jest to jedno z moich największych osiągnięć. Nazwałem tę planetę. Nazwałem też to miasto. Nie zdawałem sobie sprawy, jak trafna to nazwa, dopóki tu nie utknąłem.

— Założę się, że wiele widziałeś — rzekł Lane.

— To prawda — odpowiedział stary.

— Czy widziałeś kiedykolwiek coś zdolnego uciec z czarnej dziury?

Mariner wlepił w Tchakę nieruchomy wzrok.

— Czy po to mnie tu ściągnąłeś? Miałem wam posłużyć za źródło uciechy?

— Kiedy skończymy pogawędkę, zamierzamy z Nicobarem potraktować jako źródło uciechy niektóre z moich kobiet — powiedział z grymasem Tchaka. — Nikt nie zamierza cię upokorzyć, staruszk. Chcieliśmy tylko porozmawiać.

— O czarnych dziurach — dodał Lane.

Mariner długo wpatrywał się w nich twardym wzrokiem. W końcu wzruszył ramionami, wyciągnął szklaneczkę po dolewkę i zaczął mówić.

— Zdarzyło się to trzydzieści siedem lat temu. Pracowałem wówczas dla rządu, kartując nadające się do zamieszkania planety. Właśnie opuściłem Nową Kenię, która zresztą w końcu okazała się niezbyt przyjazna. Nie moja wina — cóż, do diabła, zwiadowca może wiedzieć o wulkanach i trzęsieniach ziemi? Myślę, że stracili z pół miliona ludzi w owej zagładzie. Tak czy inaczej, poszukiwano planet wodnych, Bóg wie czemu, więc wyruszyłem w stronę sektora Terrazane, gdzie, jak wiedziałem, były znakomite warunki do powstania wielu światów oceanicznych: mnóstwo gwiazd typów od G-2 do G-8. Byłeś tam kiedy, Lane?

— Nie — odpowiedział zagadnięty.

— Pełno tam śmieci — stwierdził Mariner. — Chmury pyłu tak gęste, że przesłaniają gwiazdy na całe godziny. Można się nabawić klaustrofobii. Po prostu kupa chłamu, który nigdy nie zdołał skupić się w gwiazdę. Część z tego jest nawet gorąca, ale większość nie. Tak czy inaczej, tam właśnie po raz pierwszy spotkałem Pyłożercę.

— Pyłożercę? — powtórzył Lane.

— A Pyłożercę, Pyłożercę! — zirytował się Mariner.

— Czyż nie o nim mówimy? Przeklęta, w piekle zrodzona rzecz, pływająca sobie w próżni, żywiąca się pyłem międzygwiazdym. Wcina go jak my steki.

— Jak on wygląda? — spytał Lane.

— Nie jestem pewien — odpowiedział stary. — Stale traciłem go z oczu z powodu tego pyłu. Ale mogłem go śledzić czujnikami i zacząłem gonić. Sprawiał wrażenie czystej energii i był znacznie szybszy niż większość statków kosmicznych.

— Czy jakaś jego część znajdowała się w podczerwonym zakresie widma? — zapytał Lane.

— Nie wiem, do diabła — odrzekł Mariner. — Ale od czasu do czasu mogłem dostrzec przed sobą jego słabą poświatę, więc nie mógł być cały w podczerwieni.

Przerwał, patrząc na pustą szklanekę i Tchaka napełnił ją ponownie, gdy tylko Lane rzucił na kontuar nieco gotówki.

— Dzięki — powiedział stary. — To był kawał stwora, ten Pyłożerca. Ale choć taki wielki, śmiertelnie się mnie bał.

— Nie brzmi to zbyt prawdopodobnie, staruszk — stwierdził Tchaka.

— Być może — zgodził się Mariner — ale to prawda.

— Skąd wiesz? — nalegał Tchaka.

— Nie jestem pewien. Może to intuicja. Tak czy siak, próbował za wszelką cenę mi uciec, a ja, ja byłem młody, sprawny i wystarczająco głupi żeby chcieć mu się lepiej przyjrzeć, więc podążyłem za nim. Musiała to być dla niego ucieczka gonitwa, mogę się założyć. Trzy, cztery parseki, może więcej. Wtedy dotarliśmy do dziury Terrazane — największej czarnej dziury, jaką kiedykolwiek widziałem, otoczonej przestrzenią wymiecioną do ostatniego pyłku — i niech mnie diabli, jeśli Pyłozerca po prostu w nią nie wleciał.

— Widzisz, Nicobarze, mówiłem ci, że brzmiało to zupełnie jak twoja opowieść — powiedział Tchaka.

— Natknąłeś się na niego? — zainteresował się Mariner.

— Nie wiem — odrzekł Lane. — Prawdopodobnie nie. Opowiadaj dalej.

— Niewiele zostało — stwierdził stary. — Podleciałem tak blisko, jak tylko się odważyłem i śledziłem go na przyrządach. Ten przeklętnik leciał wprost na dziurę i w ostatniej sekundzie ją okrążył.

— Czy poleciałeś potem za nim? — spytał Lane.

— Próbowałem — powiedział Mariner — ale tak mnie wyprzedził, że nie miałem szans go dogonić.

— Widziałeś go jeszcze kiedy?

— Raz mi się zdawało, że tak — przyznał stary. — Byłem w systemie Canphor, ale cokolwiek widziałem, zwiało tak szybko, że nie byłem pewien. Interesujące bydlę, ten Pyłozerca. Nie umiem sobie wyobrazić ani jak oddycha, ani jaki może być cel jego istnienia. Jednak chciałbym się tego dowiedzieć. Wybierasz się po niego, Lane?

— W żadnym wypadku — zaprzeczył Lane.

— Szkoda — westchnął Mariner. — Chciałbym się w razie czego przyłączyć.

— Myślałem, że jesteś za stary, żeby zamustrować — zdziwił się Tchaka.

— Och, myślę, że umarłbym w czasie podróży — wyznał stary. — Ale i tak zawsze chciałem dokonać żywota w przestrzeni. Nie przeraża mnie to. Widziałem mniej więcej wszystko, co można w trakcie jednego życia zobaczyć, zrobiłem już wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem. Do diabła, czyżbyście sądzili, że chcę umrzeć w jakimś hotelowym łóżku w Piekielnym Porcie? Nigdy nie mogłem się porządnie przyjrzeć Pyłozercy. Zdecydowanie wolę skonać próbując go zobaczyć, niż siedzieć tu czekając, aż mnie szlag trafi. Wyrzućcie moje ciało w przestrzeń, pozwólcie mu eksplodować i powędrować po milionie orbit wokół miliona gwiazd. Nie chcę być pochowany na żadnej planecie, Tchaka, nawet na twojej.

— Chciałbym ci pomóc, staruszkule — powiedział Lane — ale poluję na zwierzęta, nie na mity.

— Szkoda, Lane. Mógłbym ci nawet powiedzieć, gdzie go znaleźć.

— A jakim sposobem mógłbyś to zrobić, staruszkule? — spytał Tchaka z uśmiechem wyższości na grubych, wielkich wargach.

— On się odżywia jak każde inne zwierzę — odpowiedział Mariner. — Powiedz, gdzie go widziałeś, zaznaczmy też miejsca, w których ja go widziałem, dodajmy miejsca spotkań tych głupców, którzy sądzą, że to Bestia Sennych Życzeń, a otrzymamy w rezultacie jakąś informację o jego żerowiskach.

— Jeżeli on nawet żywi się międzygwiazdowym pyłem — zapytał Tchaka — to skąd wiesz, że nie odpoczywał sobie właśnie w miejscu, gdzie go spotkałeś?

— To ma sens — powiedział Lane. — Coś dostatecznie dużego, żeby zarejestrowały to czujniki jednego z tych małych

rządowych stateczków używanych trzydzieści czy czterdzieści lat temu, musi być rzeczywiście wielkie i na pewno zużywa mnóstwo energii, skoro może prześcignąć statek kosmiczny. Przypuszczam, że musi żerować przez dziewięćdziesiąt procent czasu lub więcej. A poza tym, jeśli jest formą energii, to mało prawdopodobne, żeby lądowało na planetach czy odżywiało się jakimś stałym pokarmem. Spodziewałbym się raczej, że żywi się energią słoneczną, ale chyba zbyt trąciłoby to kanibalizmem. Pojęcia nie mam, jakie wartości odżywcze może uzyskać z pyłu międzygwiazdowego, ale jak na razie jestem skłonny zaakceptować, że się nim odżywia.

— Co się dzieje, gdy mu zabraknie pyłu? — zaciekawiał się Tchaka.

— To mu nie grozi — odrzekł Mariner. — Bóg był kiepskim twórcą. Cały wszechświat jest zaśmiecony odpadkami po Jego robocie.

— To interesujące stworzenie — stwierdził Lane.

— Więc czemu by się po niego nie wyprawić? — rzucił Mariner.

— Jestem łowcą — odpowiedział Lane. — Zabijam zwierzyne dla pieniędzy. Jeśli mi się nie płaci, nie zabijam. Nikt mi nie zapłaci za zglądzenie tego twojego Pyłożercy, Bestii Sennych Życzeń czy jak tam go zwą.

— Dlaczego nie? — zdziwił się Tchaka. — Stadami się tu zjawiają, żeby ci właśnie za to zapłacić.

— Brak zwłok — wyjaśnił Lane. — Nawet gdybym wiedział, jak to zabić — a nie wiem — przypuszczam, że jego ciało natychmiast by zanikło. Nie ma *corpus delicti*, nie ma pieniędzy. Muzea nie wystawiają wspomnień.

Pożeracz Dusz

— Pomimo to, czy nie chciałbyś obejrzeć go z bliska? — zapytał Mariner. — Oddałbym życie za możliwość przyjrzenia się mu dokładnie.

— To dlatego, że nie masz zbyt wiele tego życia do stracenia, staruszkule — roześmiał się Tchaka. — Nicobar jest ostrożnym typem. Chce jeszcze pożyć, żeby dorównać ci wiekiem.

— Gdzie go widziałeś? — spytał Mariner.

— W systemie Pinnipes — odrzekł Lane.

— Nie wiedziałem, że mają tam czarną dziurę — powiedział stary. Zamknął oczy i opuścił głowę zatapiając się w obliczeniach. — To mógł być Pyłozerca — stwierdził w końcu. — Dokładnie tak.

— Nie ma w pobliżu chmur pyłowych — wyraził wątpliwość Lane.

— Żadnej nie dostrzegłeś — rzekł Mariner. — Może jednak jakieś tam były. Albo może on żywi się również czymś innym. W każdym razie to mogło być to samo stworzenie. Ostatnie spotkanie z Bestią Sennych Życzeń miało przecież miejsce w systemie Alpharda.

— To nie jest daleko od Pinnipes — powiedział Lane wpatrując się w swoją szklanekę.

— Tuż za rogiem, o krok, o rzut kamieniem — zgodził się stary. — Zaczyna cię gryźć ciekawość?

— Ani trochę — zaprzeczył Lane. — Jest wiele gwiazd i tylko jeden stwór.

— Znajdziemy go — stwierdził Mariner.

— Nawet nie będziemy go szukać — odparł Lane.

— Co się z tobą dzieje, Lane? — zapytał stary. — Zbyt dużo zabijania? Do diabła, jesteś bardziej martwy niż ciała, które dostarczasz!

— O czym mówisz, staruszkule? — wtrącił się Tchaka.

— Mówię o człowieku, który woli iść na łatwiznę, niż wybrać się w nieznanne i zapolować na Pyłożercę. Jestem tak stary, że nawet wstać nie mogę bez wysiłku, ale to tylko ciało. W głębi jestem o wiele młodszy od tego tu rzeźnika.

Tchaka uważnie przyjrzał się Lane'owi obydwoma oczami, zdrowym i sztucznym, spod przymkniętych powiek, w oczekiwaniu jakiejś reakcji. Nie dostrzegł nic. Lane po prostu spokojnie patrzył na Marinera.

— Popatrz na niego — ciągnął stary pogardliwie. — Śladu uczuć w tym ciele. Nawet wściec się już nie potrafi. Nie, Lane, ty nie jesteś właściwym człowiekiem do ścigania Pyłożercy. Ty chcesz strawić życie na dziwkach Tchaki, narkotykach i chrzczonej whisky.

— Nie rozwadniam niczyjej whisky! — zaprotestował Tchaka z zabawną urazą. — Oprócz twojej, staruszku. Gdybym ci jej nie rozcieńczał, pierwszy łyk by cię wykończył. Dokładnie wszystko, co sprzedają, by cię zabiło, pomyśl o tym.

— To, czym handlujesz, jest dla takich jak Lane — stwierdził Mariner. — Ludzie mojego pokroju nigdy nie potrzebują nic z tych rzeczy — ja ani wtedy, gdy byłem młody, ani teraz, kiedy jestem stary. Widziałem lśnienie gwiazdy stającej się supernową. Byłem na planetach nie tkniętych ludzką stopą. Łowiłem z kuszą w chlorowym oceanie i stałem na szczycie najwyższej góry w galaktyce.

Miałem w dłoni diament wielkości twojej sztucznej gałki ocznej i odrzuciłem go, bo kieszenie miałem wypchane większymi. Widziałem stworzenia spędzające całe życie na bezustannej pogoni za zachodem słońca wokół całej planety i widziałem zwierzęta węszące kolory i widzące dźwięki. Czy możesz mi zaoferować coś, co temu dorówna, Tchaka? Pijaną dziwkę, narkotyk, który wyprawi mnie do jakiegoś

brązowoszarego, urojonego świata, który nawet w połowie nie będzie tak interesujący jak najnudniejsza z planet, które odwiedziłem? Nie, złoto-zęby, sprzedawaj swoje dobra takim jak Lane. Ja wezmę Pyłóżercę.

— Czy zamierzasz siedzieć tu ot tak i wysłuchiwać lego wszystkiego, Nicobarze? — zapytał Tchaka.

— Nie — odrzekł Lane wstając. — Właśnie dojrzałem do jednego z twoich pokoików na zapleczu.

— Aaachchch! — westchnął Tchaka uśmiechając się domyślnie, przez co jego rysy stały się jeszcze bardziej groteskowe niż zwykle. Klasnął w dłonie i skinął na pięć spośród swoich dziewczyn, które natychmiast wyszły przez koralikową zasłonę za barem.

Mariner zaczął kuśtykać z powrotem do swojego stolika, mocno pochylony, lecz z wysoko uniesioną głową i nieruchomym wzrokiem wbitym przed siebie.

— Mariner! — zawołał Lane silnym, czystym głosem.

Starzec obrócił się ku niemu.

— Czy wiesz, gdzie jest mój hangar?

— Znajdę.

— Bądź tam za dwa dni ze swoimi manatkami.

— Wybierasz się po niego? — spytał Mariner drżącym z emocji głosem.

— Nie — powiedział Lane. — Ale jeśli naprawdę postanowiłeś umrzeć w przestrzeni, może się to zdarzyć równie dobrze na pokładzie „Śmiercionośnego” jak innego statku.

— Dziękuję, Lane.

— Proszę bardzo, Mariner — rzekł Lane.

Potem odwrócił się i podążył za Tchaką do sąsiedniego pokoju.

ROZDZIAŁ 4

Lane odkrył z pewnym zaskoczeniem, że Mariner nie był kłopotliwy. Starzec umiał poruszać się po statku. Miał również nieprzeciętny umysł wypełniony po brzegi informacjami o tysiącu planet — wiele z tego mogłoby się nawet przydać Lane’owi w poszukiwaniu egzotycznych form życia. Potrafił też oprawiać zabite zwierzęta równie sprawnie jak Dabihsowie, co oznaczało, że Lane mógł poprzestać na załodze złożonej tylko z dwóch członków: jego samego i Marinera.

Nawet Mufti, który zwykle nie tolerował nikogo oprócz Lane’a, polubił starego. Ten spędzał długie godziny snując kwiecistą prozą wspomnienia minionej chwały i opowieści o przygodach i zanim skończył dzienną porcję, Mufti zazwyczaj miękko mruczał zwinięty na jego kolanach, pozwalając drapać się pomiędzy łopatkami (a raczej tym, co za nie uchodziło).

Urządzili dwa krótkie polowania, każde trwające około trzech miesięcy. Potem Lane przyjął zlecenie na dwa tuziny demonorożców o fenomenalnym porożu, zamieszkujących planetę Ansard II, która położona była w obrębie pół parseka od układu Pinnipes.

— Teraz może uda nam się go zobaczyć — powiedział Mariner, gdy „Śmiercionośny” wystartował w kierunku Ansard.

— Mariner — rzekł Lane — nawet tak spokojny człowiek jak ja może się znużyć słuchaniem o Pyłożercy co drugi dzień

przez sześć miesięcy. Poza tym byłem na Pinnipes ponad rok temu, nadal nie jestem pewien, czy to nie był statek obcych.

— Nonsens — odparł Mariner. — Obydwaj cholernie dobrze wiemy, co widziałeś. Czy boisz się, że jeśli to przyznasz, będziesz musiał nań zapolować?

— Nie — stwierdził Lane. — Ale to jest duża galaktyka i mnóstwo w niej różnych różności. Szanse, że widzieliśmy to samo są znikome.

— Lane, nie myślisz chyba, że Bóg stworzyłby dwa takie dziwolągi? Na pewno widziałeś Pyłożercę. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego nie chcesz tego przyznać.

— Może po prostu nie chcę obudzić w sobie zainteresowania — wyznał Lane. — Potrafię sobie wyobrazić spędzenie półwiecza na polowaniu na tego przekłętą stworą bez zbliżenia się doń na odległość pozwalającą choćby na wymianę wyrazów szacunku. Poza tym nie da się na tym zarobić.

— W porządku — odparł Mariner. — Myślę, że jest to jeden ze sposobów walki z pokusą. Jeżeli jednak chodzi o mnie, wolałbym spojrzeć mu prosto w oczy i zmusić do odwrócenia wzroku.

— Nie kuś mnie, żebym spełnił twoją ostatnią wolę trochę przedwcześnie — ostrzegł Lane.

— Pieprzysz, Lane — uśmiechnął się stary. — Lepiej, że cię drażnię mówiąc o Pyłożercy, niż gdybyś miał się zanudzić na śmierć w samotności.

— Powiedz mi, Mariner, czy ktokolwiek oprócz ciebie nazywa to Pyłożercą?

— Nie wiem — odparł starzec. — Prawdopodobnie nie. To ma mnóstwo imion: Bestia Sennych Życzeń, Pyłożerca, Handlarz Śmierci i jeszcze z pół tuzina innych. Imiona są bez znaczenia.

Wiesz równie dobrze jak ja, co to jest. Dla jego identyfikacji Pyłóżerca jest równie dobry jak pozostałe.

— Dlaczego Handlarz Śmierci? — spytał Lane. — Czy kiedykolwiek zabił kogoś?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo — odparł Mariner. — Chociaż sądzę, że jeśli zabił, to nikt nie powrócił, żeby o tym powiedzieć.

— Wiesz, że mój pierwszy statek nazywał się „Handlarz Śmierci”?

— Dlaczego nie? — Stary człowiek wzruszył ramionami. — Nazwa statku jest po prostu jednym ze sposobów przedstawienia osobowości jego właściciela. Nie oczekiwałbym, aby Nicobar Lane uganiał się po galaktyce w czymś o nazwie „Peacemaker”[1].

— To była nazwa rewolweru w czasach, gdy ludzie nie wyruszyli jeszcze w Kosmos — powiedział Lane.

— Wiele ludzkich istnień zgładzono przy użyciu „Peacemakera”.

— Sprzeczność terminologiczna — rzekł Mariner.

— Nikt nigdy nie zaprowadził pokoju przez zabijanie. Oczywiście dzięki broni mógł uczynić wojnę chwilowo niekonieczną lub nieopłacalną, ale to nie to samo. Ha! Siewca Pokoju! Masz na swym sumieniu wiele win, Lane, ale przynajmniej jesteś uczciwy, muszę ci tu oddać sprawiedliwość. „Handlarz Śmierci” to była dobra nazwa dla twojego statku.

— Wielkie dzięki — odparł Lane oschle. — Wracając do nazw. Dlaczego nazywają to Bestią Sennych Życzeń? Właśnie to imię słyszałem najczęściej.

— Tak, jest najpopularniejsze — zgodził się Mariner.

— Co wcale nie znaczy, że najlepsze. Brzmi pięknie, trochę jakby mistycznie. Jednak w tym stworze nie ma nic sennego ani godnego pożądanego. To głupia nazwa.

— Mimo to jestem ciekaw, jak powstała — rzekł Lane.

Stary człowiek zacisnął usta i wydał nieprzyzwoity dźwięk.

— Idiotyczna nazwa. To jest Pyłożerca i koniec.

— Niech ci będzie, Mariner — powiedział Lane. — Gotów do obiadu?

— Śniadania — poprawił go starzec. — Nie, nie jestem gotów. Mam jeszcze trochę roboty.

— Jakiej? — spytał Lane.

— Jeszcze nie wykreśliłem zerowisk Pyłożercy — odparł Mariner. — Powinienem to zrobić, żebyśmy wiedzieli, gdzie go szukać.

— Po pierwsze, masz jeszcze prawie dwa standardowe miesiące, zanim dotrzemy do Ansard — stwierdził Lane. — A po drugie, polujemy na demonorożce, a nie na Pyłożercę.

— Ale jeśli mógłbym ci wskazać, gdzie on jest... — zaczął stary.

— Nie — stanowczo rzekł Lane. — A teraz, czy idziesz do kambuza coś zjeść?

— Później — odpowiedział Mariner tak szybko śmigając palcami po klawiszach, przełącznikach i dźwigniach systemu kartograficznego, że aż trudno było za nimi nadążyć wzrokiem.

Lane pokręcił głową i poszedł do kambuza zrobić sobie obiad. Gdy wrócił pół godziny później, starzec miał już opracowaną nową mapę ukazującą dwunastoparsekowy obszar galaktyki obejmujący Pinnipes, Terrazane, Canphor i może ze dwa tuziny innych gwiazd i planet, wokół których widziano Pyłożercę w ciągu ostatniego wieku.

— Widzisz tę chmurę? — spytał Mariner przerzucając kilka przełączników.

Na ekranie ukazał się rozjarzony, trójwymiarowy obraz chmury międzygwiazdowego pyłu i śmiecia.

— Zaczyna się około parsek za Terrazane, pokrywa region Canphor i sięga aż za Pinnipes.

— To daleko idące uogólnienie, Mariner — powiedział Lane patrząc na mapę. — Do diabła, ta chmura nie podchodzi nigdzie w pobliże Canphor. I patrz tutaj — sięga poza Alphard, a tam nigdy nie widziano Bestii.

— Któż może dokładnie wiedzieć, jakie są jej zwyczaje, Lane? — powiedział Mariner. — Wiem jedynie, że w każdym przypadku, o którym słyszałem, widziano ją w obrębie parseka od chmury, a zazwyczaj znacznie bliżej.

— Nawet jeśli zgodzę się z tobą, choćby po to, żeby uniknąć kłótni — zauważył Lane — to w dalszym ciągu jest to cholernie wielka chmura pyłu. Mógłbyś żyć dziesięć razy i nie przeszukać nawet jednej trzeciej. I nie zapomnij, że jeśli lecimy z prędkością światła, lub jej bliską, to nasze czujniki są równie bezużyteczne, jak nieuzbrojone oko. Nie ma sposobu na przeprowadzenie dokładnych poszukiwań, nawet jeżeli znalazłby się kapitan, który by na to poszedł.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedział Mariner. — Patrząc z punktu, w którym jesteśmy, Pyłożerca przemieszczał się zawsze z prawa na lewo. A ponieważ Pinnipes znajduje się niezbyt daleko od końca chmury, można założyć, że Pyłożerca jest gdzieś pomiędzy Pinnipes i...

— Dlaczego sądzisz, że on nie wraca dwukrotnie w to samo miejsce? — przerwał mu, wbrew sobie zaciekawiony, Lane. — Kręci się tu już od dawna, może nawet dłużej, niż istnieje

ludzkość. Wydaje mi się, że do tej pory poznał już granice żerowiska. Po co kręciłby się na obrzeżach?

— Nie — rzekł starzec potrząsając głową. — On ma swoje nawyki, Lane. Nie ma żadnych naturalnych wrogów, więc może włóczyć się, gdzie mu przyjdzie ochota. Istnieje pewien schemat we wszechświecie, regularność zdarzeń, możliwa tylko gdy prawdopodobieństwo działa na tak ogromną skalę. Pyłozerca wędruje do końca chmury, a potem wraca.

— Jeśli istnieje i jeśli żywi się pyłem z chmury — rzucił z powątpiewaniem Lane.

— Och, on istnieje. Jest to równie pewne, jak Szatan na tronie piekieł — odrzekł stary.

— Posłuchaj, Mariner — powiedział Lane. — Będziemy tu uziemieni przez następne pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt dni. Oczekiwałem pewnej różnorodności w tematach, które poruszasz, bo jeśli nie, to zaaplikuję nam obu pogłębiony sen.

— Zawrę z tobą układ, Lane — rzekł Mariner po krótkim zastanowieniu.

— Jaki?

— Ile czasu przeznaczasz na schwytanie demonorożców?

— Pięć tygodni, może sześć.

— Jeśli powiem ci, jak tego dokonać w czasie krótszym niż tydzień, czy możemy przez pozostałe pięć tygodni szukać Pyłozercy?

— Nigdy nie widziałem demonorożca — rzekł Lane — ale według danych z komputera, samo wytropienie ich potrwa dłużej niż miesiąc. Żyją w najgęstszej części tropikalnej dżungli, a poza tym będziemy musieli zabijać je po jednym. Zdychają okropnie długo, a nie życzylibym sobie czterech czy pięciu rannych demonorożców jednocześnie szarżujących na mnie.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — zauważył Mariner.

— Czy przystajesz na moją propozycję?

— Tego nie da się zrobić.

— Nie masz przecież nic do stracenia, prawda? — rzekł starzec z tak pewnym siebie uśmieszkiem na twarzy, że Lane poczuł chęć przefasonowania mu jej nieco.

— Posłuchaj, Mariner, według komputera...

— Lane, do diabła, jak myślisz, kto kartował tę cholerną planetę? — rozsierdził się stary. — Cała wiedza w twoim komputerze jest oparta na moich raportach.

— W takim razie wiesz coś, czego w nich nie umieściłeś? — spytał Lane.

— Oczywiście — odparł Mariner. — Przecież opracowywałem swoje sprawozdania dla górników i kolonistów, a nie dla zawodowych łowców.

— Mam rozumieć, że nie zdradzisz mi tego, co wiesz, dopóki nie przystanę na twoje warunki?

— Zgadza się, Lane.

Lane opuścił głowę i zastanawiał się długą chwilę.

— W porządku, stary sukinsynu — powiedział w końcu. — Masz ten swój układ. A teraz powiedz, jak zamierzasz zdobyć demonorożce?

— Zobaczysz — uśmiechnął się Mariner. — Sugerowałbym, żebyś zaczął myśleć o tym, jak zabić Pyłożercę. Możemy o tym pogadać, kiedy zjem śniadanie.

Wstał i pokuśtykał do kambuza, śpiewając starą, galaktyczną szantę o łysej, zielonoskórej kobiecie imieniem Ikela, która każdy liczący się szczegół miała w trzech egzemplarzach.

ROZDZIAŁ 5

Ansard IV była gorącą planetą, gorącą i wilgotną. Prawie trzy czwarte jej powierzchni pokrywał błękitnozielony, słodkowodny ocean. Reszta — jeden wielki i trzy wyspowe kontynenty — składała się z odwiecznych lasów, gęstej dżungli, trzech budzących szacunek łańcuchów górskich i z rzadka rozrzuconych, niewielkich pustyń.

Na wyspowych kontynentach znajdowało się mnóstwo jezior połyskujących wśród potężnej dżungli. Korony drzew czasem przesłaniały światło słoneczne, ale deszcz zawsze w jakiś sposób się przez nie przedostawał, nawet tam, gdzie światłu się to nie udawało. Każdego dnia, każdej minuty, na jednych obszarach lasu lało, gdzie indziej tylko padało, więc grunt zazwyczaj był morzem mazistego błocka.

Nikt nie zadał sobie trudu sklasyfikowania owadów Ansard IV, lecz Lane przypuszczał, że jeśliby ktokolwiek podjął się takiej roboty, to nie byłby jej w stanie skończyć przed opisaniem dwumilionowego gatunku. Atmosfera nie była aż tak bogata w tlen, jak na niektórych pokrytych dżunglą planetach, które odwiedził, ale było go dosyć, aby musiał co trzy godziny łykać depresanty tylko po to, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach.

Wylądował „Śmiercionośnym”, zgodnie ze wskazówkami Marinera, na oceanicznej plaży, pobrał próbki atmosfery, wody, fauny i flory (czyli po parę egzemplarzy owadów i traw) i wytaszczył z ładowni sprzęt, który uważał za niezbędny. Zaaplikował Muftiemu pogłębiony sen i odszukał Marinera, który boso, z butami w rękę, przechadzał się po piasku wokół statku.

— No więc? — spytał.

— No więc co? — odpowiedział pytaniem stary.

— Jeśli chcesz wynieść się stąd za tydzień, czy coś koło tego, i zacząć szukać swojego Pyłozercy, sugerowałbym, żebyś powiedział mi, jak zamierzamy znaleźć i zabić dwa tuziny demonorożców.

— Bez trudu — odrzekł Mariner. — Widzisz ten stary wulkan? — Wskazał na górę odległą o jakieś osiem kilometrów.

— Tak.

— Tam właśnie są.

— Na zboczach czy wewnątrz krateru? — spytał Lane.

— Wewnątrz. Wulkan jest wygasły od prawieków. Jego dno pokrywają trawy i kępy lasów i jest dość wody, żeby nic, co tam żyje nie musiało nigdy go opuszczać. Zupełnie jak w Kraterze Ngorongoro na starej Ziemi.

— Widzieliśmy mnóstwo kraterów podchodząc do lądowania — rzekł Lane. — Skąd masz pewność, że właśnie w tym żyją demonorożce?

— Do tego będzie najwygodniej dojść — odpowiedział Mariner. — Dlatego go wybrałem. Wszystkie są niemal identyczne. A jeśli chodzi o demonorożce — do diabła, na tym świecie nie ma nic, co mogłoby im zagrozić. Ta przeklęta planeta praktycznie do nich należy. Żyją w każdym lesie, na każdym skrawku dżungli i w każdym kraterze.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, żeby wylądować wewnątrz krateru? — zdziwił się Lane. — Mamy bardzo sprawny statek i można było to zrobić bez trudności.

— I ryzykować przepłoszenie zwierzyny? Za żadne skarby, Lane. Jeżeli ja mogę się przespacerować osiem kilometrów, to ty też.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym wylądował w kraterze, kiedy już zabijemy te przekłete zwierzaki — powiedział Lane. — Czy też wolałbyś taszczyć je tutaj?

— Nie myślałem o tym — przyznał Mariner.

— Ani o tym, jak zdołamy utrzymać owady z dala od zwłok w trakcie naszego powrotnego spaceru do statku? — dorzucił Lane.

Uśmiechnął się, bo Mariner miał bardzo niepewną minę.

— Nie przejmuj się, Mariner. Mam konserwant, którym możemy je spryskać. Stwardnieje i powinien wytrzymać wystarczająco długo, żeby nic się przezeń nie przegryzło do czasu sprowadzenia statku. To pochodna środka, którego używam do utrwalania skór i ciał w ładowni.

— Czym zamierzasz je zabić? — spytał stary.

— Miotaczem ultradźwiękowym — odparł Lane.

— To są naprawdę duże zwierzęta — rzekł Mariner z powątpiewaniem.

— Wiem — odpowiedział Lane. — Ale są one przeznaczone do muzeów. Nie mogą uszkodzić skór. Wezmę imploder molekularny na wypadek kłopotów, jednak wolałbym go nie używać. Pozostawia wyjątkowo mazistego trupa.

— Ty jesteś łowcą — starzec wzruszył ramionami.

— Zgoda — powiedział Lane. — Jesteś gotów wyruszyć zaraz, czy wolisz poczekać do jutra?

— Im wcześniej wyruszymy, tym wcześniej skończymy robotę — powiedział Mariner.

Spakowali żywność, zestawy medyczne, broń Lane'a, konserwant, kompas, różne środki pobudzające i depresanty, najrozmaitsze środki do odstraszenia owadów, latarki,

radiolatarnie oraz wodę i rozpoczęli wędrówkę przez pierwotny las.

Była to mozolna praca — przedzieranie się przez wysysające stopy błocko i wspinanie się na korzenie drzew, które musiały rosnać od tysięcy lat. Odpoczywali często, głównie z powodu Marinera, lecz posuwali się w stałym tempie dwóch kilometrów na godzinę.

Lane był zdumiony różnorodnością kształtów i wielkości owadów. Zwłaszcza jeden spośród latających gatunków go zafascynował. Wielkie, podobne do ważki, długie na niemal czterdzieści centymetrów. Wydawało się, że nie miały oczu, czułków czy innych organów zmysłów, lecz nigdy nie chybiały polując na mniejsze owady. Lane nie mógł dostrzec ich aparatów gębowych, a ich metoda ataku też niewiele wyjaśniała. Spadały na bezradne ofiary chwytając je w silne kleszcze i odlatywały. Mimo usilnych starań Lane nie mógł dojść, jak pożerały zdobycz. Spytał o to Marinera, lecz ten tylko potrząsnął głową.

— Albo to mutanty, albo endemity — rzekł. — Nie widziałem ich, kiedy kartowałem planetę. Może mają aparaty gębowe w kleszczach?

— Zbyt mało wydajne — stwierdził Lane. — Jedyne, co mi przychodzi do głowy możliwe do zaakceptowania jako wyjaśnienie, to że kruszą mniejsze owady o spód odwłoka i pobierają pokarm za pomocą czegoś w rodzaju osmozy, ale nie wydaje mi się, żeby w ten sposób mogły uzyskać dużo substancji odżywczych.

— Kto wie — stary wzruszył ramionami. — Zabij parę sztuk w drodze powrotnej i zrób sekcję. Jak skończysz badania, zawsze możesz je dać Muftiemu.

— On lubi tylko żywe owady — rzekł Lane. Rozejrzał się dookoła. — Miałyby tutaj używanie.

— Postarajmy się dojść do krateru, zanim te przeklęte owady domyślą się, że jesteśmy jadalni i to one zaczną mieć używanie — powiedział Mariner, przyspieszając kroku.

Wędrowali w milczeniu przez następne trzydzieści minut. Wtedy usłyszeli z północnego zachodu dziwne, głębokie trąbienie, po którym dobiegł ich odgłos łamanych gałęzi.

— Demonorożec? — spytał Lane zaciskając dłoń na imploderze.

— Zbyt mocny i głośny dźwięk, żeby mogło to być cokolwiek innego — powiedział stary.

— Trzymaj się blisko mnie, Mariner — rzucił Lane.

— Nie sądzę, żebyśmy wyszli na jakąś odkrytą przestrzeń, więc praktycznie nic nie będziemy widzieli.

— Nie obawiaj się niespodziewanego ataku — rzekł stary. — Nic się nie podkradnie bez zaalarmowania nas. Las jest zbyt gęsty.

— Już zostałem zaalarmowany — stwierdził Lane.

— A jeżeli mówimy o podkradaniu się, sądzę, że ani myślą to robić. Jednakże jeśli po trzasku gałęzi łamanych w odległości dwudziestu metrów potrafisz określić, skąd to przeklęte bydlę na nas wyskoczy, byłbym niezmiernie zobowiązany, gdybyś podzielił się ze mną swoją wiedzą. Poza tym wcale nie jestem pewien, czy tam jest tylko jeden demonorożec. W gruncie rzeczy cała informacja, którą wypełniłeś komputer, skłania mnie ku wnioskowi, że pojedynczy demonorożec to duża rzadkość.

— Hmm, nie będzie długo pojedynczy, jeśli dalej będziesz tak gadał — zauważył Mariner.

— Zorientuje się, że tu jesteśmy czy będziemy gadać, czy nie — odparł Lane rozglądając się po otaczających krzewach. — Robimy dość hałasu idąc, a ja ani myślę spędzić nocy w tym bagnie. Demonorożec czy nie, zamierzam spać dziś na obrzeżu krateru. Zbyt ciężko się tu oddycha i byłbym dużo szczęśliwszy, gdybym nie musiał co parę minut wywlekać owadów z butów.

Poszli dalej zachowując wzmożoną ostrożność i trzy godziny później dotarli bez przygód do podnóża wulkanu. W miarę jak wspinali się na jego zbocze, dżungla przerzedzała się i po następnych czterech godzinach znaleźli się na szczycie, akurat gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Zjedli lekki posiłek, potem położyli się pod dwoma drzewami o gładkich pniach i zasnęli z bronią w dłoniach.

Lane obudził się o świcie i zobaczył wielkie, rogate zwierzę stojące w odległości trzydziestu metrów i przyglądające mu się ciekawie. Pokryte było kudłatą, czerwonobrazową sierścią. Czworonożne, wielkości niedużego bizona, z rogami, przy których nawet poroże legendarnego wielkiego kudu ze wzgórz Afryki na starej Ziemi wydawałoby się bardzo skromne. Wyglądało całkiem niegroźnie, ot jak jakiś roślinożerca, dopóki nie spojrział na jego łapy. Rozszerzały się na końcu i najprawdopodobniej były zaopatrzone w wysuwane pazury. To sugerowało drapieżnika.

Przyjrzał się głowie zwierzęcia. Jako ekspertowi wystarczyła mu chwila, by zauważyć, że oczy były wąsko rozstawione, co oznacza niezbyt szeroki kąt widzenia. Kolejna cecha drapieżców. Jednak ciało było za wielkie jak na zwierzę odżywiające się wyłącznie tym, co upoluje. Na tej planecie nie było po prostu dość potencjalnych ofiar, aby mogło się utrzymać przy życiu. Kształt szczęk świadczył o braku

specjalizacji: za krótkie na pomieszczenie wszystkich wielkich trzonowców niezbędnych zwierzęciu roślinożernemu, natomiast za wąsko się otwierające jak na ścisłego drapieżnika. Zwierzę miało duże uszy, przystosowane do warunków panujących na planecie, gdzie widoczność jest silnie ograniczona przez dżunglę. W tej chwili obydwa były nastawione, skierowane wprost na łowcę.

Demonorożec wpatrywał się w niego bez agresji i bez obawy, czego zresztą należało się spodziewać po zwierzęciu, które nie miało naturalnych wrogów i nigdy przedtem nie widziało człowieka. Lane ułożył imploder na kolanach i powoli uniósł miotacz ultradźwiękowy. Ostrożnie, łagodnie, pamiętając, żeby nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów wycelował miotacz w demonorożca i nacisnął spust.

Rezultat był zdumiewający. Demonorożec wykonał pełne salto w tył, opadł na ziemię z łomotem, gwałtownie potrząsnął głową, szarpnął się i wydał z siebie to samo głębokie trąbienie, które Lane słyszał poprzedniego dnia. Nagle skoncentrował znów wzrok na łowcy, potknął się raz i zaszarżował przez dzielącą ich przestrzeń ze zwinnością zaskakującą u tak dużego zwierzęcia. Lane jednym ruchem odrzucił miotacz, chwycił imploder i strzelił. Demonorożec chrząknął, zaskoczony, i w pół kroku zamienił się w górę galarety.

— Nie żartowałem mówiąc, że trudno je zabić — powiedział Mariner nadal oparty o swoje drzewo.

— Nie spałeś? — zapytał Lane zaskoczony jego odezwaniem się.

— Nie. Chciałem zobaczyć, z jakim myśliwym się związałem, więc siedziałem cicho i przyglądałem się.

— Byłeś ze mną już na dwóch polowaniach — stwierdził Lane. — Co zamierzałeś zrobić, gdyby ten przeklęty bydlak zaatakował, gdy jeszcze spałem?

— Strzelić z mojego miotacza — odpowiedział Mariner. — Obudziłbyś się, zanim zdążyłby poważniej narozrabiać. A tak na marginesie, czemu zabiłeś go imploderem? Mogłeś schować się za drzewo i nadal używać miotacza.

— Nie mogliśmy załadować go na statek — wyjaśnił Lane. — Nawet gdybym zabił go z miotacza, i tak musiałbym usunąć zwłoki przy użyciu implodera.

— Twarde bydlaki, nie? — rzekł Mariner przyglądając się smętnym szczątkom demonoroźca.

— Owszem, twarde — powiedział Lane. — Spotkałem zwierzęta zdolne przeżyć chwilę w więzce z miotacza ultradźwiękowego, lecz zawsze próbowały z niej uciec. Po raz pierwszy widziałem dziś zwierzę szarżujące wprost na źródło drgań rozwalających mu mózg. Nie sądzę, żeby to był wynik dezorientacji, nie, on po prostu był groźny i twardy. Myślę, że nie dam rady zabić demonoroźca za pomocą miotacza w czasie krótszym od około minuty, a raczej nawet dziewięćdziesięciu sekund. To oznacza, że muszę strzelać z odległości około siedemdziesięciu pięciu metrów. Trochę bliżej i mogę być zmuszony do użycia implodera w razie szarży, nieco dalej i da radę uciec poza skuteczny zasięg miotacza.

— Wspaniała rzecz, miotacz ultradźwiękowy — powiedział stary. — Stań w więzce i przepali ci połowę obwodów w mózgu, strzelaj z niego, a nie usłyszysz nawet pomruku.

— Demonorożec też nic nie usłyszał. Po prostu poczuł. Lane wstał, zebrał swoje oporządzenie, rzucił ostatni raz okiem na szczątki zwierzęcia i odwrócił się do Marinera.

— Musimy ruszać. Następnego demonoroźca, którego zabiję, chciałbym móc zabrać.

Dotarli do dna krateru przed upływem pięciu godzin i mając do dyspozycji osiem do dziewięciu godzin dziennego światła rozpoczęli polowanie na dobre.

Lane znalazł swoje pierwsze demonoroźce w zagajniku drzew owocowych, około czterystu metrów od obrzeża krateru. Zajęło mu prawie godzinę oddzielenie jednej sztuki od stada, ale w końcu mu się udało i strzelił z miotacza z odległości osiemdziesięciu metrów. To zwierzę zareagowało nawet gwałtowniej niż spotkane na krawędzi krateru. Gdy dostrzegło Lane'a zaszarżowało padając o mniej niż długość ciała od jego stóp.

Natychmiast odwrócił się ku pozostałym czterem. Dwa uciekły w gęstszy las rosnący za zagajnikiem, jeden gapił się na niego, a jeden powoli się zbliżał. Błysnęła mu myśl, żeby zabić bliższego z implodera, a potem skupić się na zdobyciu dalszego, ale postanowił spróbować zachować obie sztuki w całości. Zabił bliższego bez kłopotu, a w tym czasie drugi nawet się nie poruszył.

— Można by je wystrzelać jak kaczki, jak mawiali starożytni — powiedział Lane do Marinera, który stał nieco z tyłu. — Nikt na nie przedtem nie polował, więc wiedzą za mało, żeby się przestraszyć.

Ruszył w kierunku ostatniego demonoroźca. Właśnie miał wycelować miotacz, gdy zwierzę zaszarżowało w milczeniu. Lane był zaskoczony, ale nie stracił głowy. Uważnie wycelował i strzelił z odległości trzydziestu metrów. Demonorożec na moment opadł na kolana, lecz natychmiast się podniósł. Lane cały czas trzymał go w wiązce. Zwierzę zbliżało się uparcie i łowca musiał w ostatniej chwili uskoczyć w bok. Wtedy

demonorożec dostrzegł Marinera i nastawiwszy rogi zaszarżował na niego.

Lane rzucił miotacz i strzelił z implodera. Zwierzę było tak blisko starca gdy zginęło, że Lane musiał pomóc mu wygrzebać się spod szczątków.

— Dzięki, Lane — wydyszał Mariner łapiąc z trudem oddech.

— A bodajby cię diabli! — uciął Lane. — Od tej chwili ty masz imploder i trzymasz się co najmniej sto metrów za mną. I niech cię Bóg ma w swej opiece, jeśli będziemy musieli zamienić jeszcze jednego demonorożca w kupę galarety!

Wrócił do dwóch nadających się do użytku okazów i spryskał je konserwantem. Potem podszedł do nędznych szczątków trzeciego i zmusił Marinera do zamienienia ich za pomocą implodera w kałużę cieczy. Potem stał i czekał, aż wszystko wsiąknie w miękki grunt.

— Po co to? — spytał stary.

— Demonorożce nie wiedzą, że pojawił się tu nowy drapieżca — wyjaśnił Lane. — Po co zostawiać im jakiegokolwiek wskazówki?

— Co z pozostałymi dwoma okazami?

— Konserwant nie przepuści żadnego zapachu, a sądząc po budowie tych zwierząt, bardziej ufają one swym nosom niż oczom.

Późnym popołudniem Lane zabił jeszcze trzy demonorożce, a potem rozbił obóz u podnóża ścian krateru, otaczając go mnóstwem różnych urządzeń ostrzegawczych. Żadne ani pisnęło do rana i następnego dnia zabił następne siedem zwierząt.

Trzeciego dnia zrobiły się podejrzliwe, więc zmienił bazę operacyjną przenosząc się na przeciwległą stronę krateru, odległą o jakieś dziewięć kilometrów. Tu w ciągu dwóch dni

zabił osiem następnych sztuk, po czym uznał za wskazane przenieść się jeszcze raz.

Rankiem szóstego dnia zakończył realizację zamówienia i, nie czując się ani trochę bohaterским myśliwym, wrócił na statek, obudził Muftiego, pozbierał demonorożce i przygotował się psychicznie na sześć pozbawionych jakichkolwiek wydarzeń tygodni, w czasie których Mariner miał gonić za swym ulotnym marzeniem.

ROZDZIAŁ 6

Minął tydzień. Potem drugi i trzeci.

„Śmiercionośny” minął Pinnipes, dotarł do końca chmury pyłu i ruszył w drogę powrotną. Jak dotąd nie natrafili na żaden ślad Pyłożercy. Przelecieli obok pół tuzina gwiazd, a potem koło następnych dwudziestu. Buszowali w obrębie i na zewnątrz chmury, sprawdzili kilka zarejestrowanych czarnych dziur, od czasu do czasu wystrzelili flarę. I nic.

— Szukanie igły w stogu siana byłoby łatwiejsze od naszego zajęcia — powiedział Lane, gdy posilali się w trakcie przerwy na odpoczynek. — To jest cholernie wielka galaktyka, Mariner, a bestia, której szukamy, cholernie mała.

— On jest gdzieś tutaj — odparł stary z głębokim przekonaniem. — Jestem starym, niedołącznym człowiekiem, Lane, a ta wspinaczka w górach Ansard wcale nie poprawiła mojego stanu. Ale jeśli gdziekolwiek w kosmosie istnieje Bóg, nie pozwoli mi umrzeć nie dając możliwości stanięcia oko w oko z

Pyłóżercą. Byłem w zbyt wielu miejscach i widziałem zbyt wiele dziwnych rzeczy, abym nie miał zagwarantowanego jeszcze jednego widoku rzeczy najdziwniejszej ze wszystkich.

— Najpierw musimy to znaleźć — zauważył Lane. — Wtedy będziesz mógł się napatrzeć do woli.

— Na pewno go znajdziemy — odrzekł Mariner.

— Pozostały ci jeszcze trzy tygodnie — potwierdził Lane wstając od stołu i idąc w stronę hamaka.

Poszukiwania nie zajęły trzech tygodni ani nawet dwóch. Trwały jeszcze dokładnie jedenaście dni, dwie godziny i trzydzieści pięć minut.

— Niech mnie diabli wezmą! — wykrzyknął Lane przeglądając tablicę wskaźników. — Albo jest tam błędzący bez celu statek, albo pomimo wszystko mamy tego twojego Pyłóżercę.

Odsunął się na bok, żeby starzec mógł popatrzeć na tablicę. Mariner spróbował analizy spektroskopowej, ale nie otrzymał żadnego wyniku.

— To on. — Oczy starego błyszcząły podnieceniem.

— Czysta energia i prawie tak wielki jak gwiazda neutronowa.

— Nie mogłeś tego wywnioskować na podstawie danych z naszych czujników — zauważył Lane.

— Ten tutaj jest gigantem — odpowiedział Mariner.

— Kiedy zbliżymy się wystarczająco, to przesłoni sobą gwiazdy.

— Trochę mniej kiepskiej poetyki, a więcej nawigacji — uśmiechnął się Lane, wykreślając za pomocą komputera kilka kursów, które pozwoliłyby „Śmiercionośnemu” przeciąć drogę bestii, po czym wybrał najmniej bezpośredni. Cały czas w trakcie zbliżania się „Śmiercionośnego” do stworzenia, Lane śledził je za pomocą czujników. Bestia przemieszczała się

niespiesznie, bardzo podobnie jak wtedy, gdy widział ją ostatnim razem. Brakowało im jeszcze około dwóch godzin do punktu spotkania, gdy stworzenie zmieniło kurs.

— Sądziysz, Lane, że próbuje umknąć? — zaniepokoił się Mariner.

— Wątpię — odpowiedział Lane. — Prawdopodobnie nawet jeszcze nie wie, że tu jesteśmy. Poza tym dlaczego miałyby nas unikać?

— Może wie, że na pokładzie jest zabójca — zasugerował Mariner.

— Nie przypisujemy mu zbyt wielu nadprzyrodzonych właściwości — rzekł Lane. — Poza tym, chcemy tylko na to popatrzeć, a nie zabijać.

— Może on nie widzi różnicy — powiedział Mariner.

— A kiedy zbliżymy się dostatecznie, może ty również jej nie będziesz widział.

— Nie mam nic przeciwko temu, że zapożyczyłeś swoje imię od Starożytnego Żeglarza, ale jestem diabelnie pewien, że nie życzę sobie, abyś gadał tak jak on.

Obrócił się w stronę komputera, wprowadził nowe współrzędne bestii i zmienił odpowiednio kurs statku. Przez następne dziewięćdziesiąt minut nic się nie wydarzyło i Lane włączył ekrany telewizyjne.

— Powinniśmy go zobaczyć, jeśli tylko w ciągu minuty wyjdzie z chmury — powiedział Lane. — Z tej odległości będzie prawdopodobnie wyglądał jak bardzo jasna gwiazda, ale powinien trochę pulsować i przemieszczać się jak sto diabłów.

Czekali, przenosząc wzrok z czujników na ekran i z powrotem, ale stworzenie ani myślało wylecieć z chmury pyłu.

— Zbliżamy się — rzekł w końcu Lane. — Może wypłoszymy go stąd.

Przełączył „Śmiercionośnego” na ręczne sterowanie i zbliżył się na około osiem tysięcy kilometrów. Bestia wciąż pozostawała w obrębie chmury, więc wypalił z jednego z dział laserowych.

— Nie zabijaj go, zanim nie zdołam go zobaczyć! — krzyknął Mariner.

— Potrzebne byłoby coś lepszego niż laser, żeby zabić to zwierzę — powiedział Lane. — Próbuję tylko wygonić je w otwartą przestrzeń.

Zwierzę zatrzymało się w miejscu i „Śmiercionośny” znalazł się w odległości mniejszej niż tysiąc kilometrów, zanim Lane zdołał zahamować statek. Widzieli teraz fragment Pyłóżercy, coś jakby lekko mżący kawałek chmury.

— Nie podoba mi się to — zaniepokoił się Lane. — To cholerne bydlę powinno coś robić.

Zbliżył się jeszcze nieco, zatrzymując statek w odległości pięciuset metrów. Dłonie mu zwilgotniały i zaczęła go swędzieć lewa powieka. Podsunął statek do przodu.

— Cholera! — mruknął. — Dlaczego to się nie rusza?

— Trzęsiesz się jak liść, Lane — rzucił Mariner śmiejąc się histerycznie.

— Ty też bynajmniej nie wyglądasz na odprężonego — odpalił Lane patrząc na pocącego się obficie starca.

Tkwili nieruchomo — statek i kosmiczna bestia. Lane uświadomił sobie, że rzeczywiście dygocze, jak słusznie spostrzegł Mariner. To go wytrąciło z równowagi. Przez ćwierć wieku polowań i zabijania wielokrotnie dosłownie o włos ocierał się o niebezpieczeństwo i zazwyczaj im sytuacja była trudniejsza, tym bardziej był opanowany. Teraz walczył z

wzbierającą gdzieś w środku ślełą paniką, pragnieniem, żeby podwinąć ogon i uciec z tego miejsca tak szybko, jak to tylko możliwe. Z nadludzkim wysiłkiem woli przesunął rękę ku dźwigni przyśpieszenia i znów zaczął zbliżać się do bestii. Mariner przypiął się pasami i wbił mocno w oparcie fotela. Siedział z poszarzałą twarzą, kurczowo wpijając palce w poręcze.

Stworzenie zaczęło się wycofywać, aż w końcu wysunęło się z chmury w otwartą przestrzeń. „Śmiercionośny” opuścił chmurę w kilka sekund później i obydwaj mężczyźni po raz pierwszy ujrzeli je w całej okazałości. Miało kształt nieregularnej kuli jarzącej się wewnętrznym, czerwono-pomarańczowym, nieustannie zmieniającym natężenie blaskiem. Nie dostrzegli żadnych narządów zmysłów ani organów mogących służyć do poruszania się, chociaż bez wątpienia stworzenie było świadome swego otoczenia i, gdyby tylko zechciało, zdolne do oddalenia się w każdej chwili. Było wielkie, mogło mieć siedem kilometrów średnicy, chociaż jego wymiary zmieniały się co chwilę, równocześnie z każdą zmianą koloru. Lane nie próbował nawet zgadywać, jak ono się odżywia, czym się odżywia i nawet czy w ogóle się rozmnaża. Podejrzewał, że nie. Mogło mieć rok, stulecie albo być równe wiekiem galaktyce. Otaczała je aura ponadczasowości sprawiająca, że takie rozważania stawały się daremne i bezsensowne. Wisiało w przestrzeni — olbrzymia, pulsująca rzecz zbudowana z czystej energii, budząca szacunek swymi rozmiarami i drzemiącą ogromną siłą.

— No i co — spytał Lane — było to warte czekania?

— Wspaniale! — wyszeptał Mariner. — Spełnił wszelkie moje oczekiwania.

— Zobaczmy, czy uda nam się zmusić go do podskoku i dojść, w jaki sposób się porusza — powiedział Lane.

Skierował imploder molekularny na stworzenie, ale zupełnie bez rezultatu.

— To by się zgadzało — zamruczał Lane. — W tej piekielnej rzeczy nie ma przecież ani jednej cząsteczki.

W dalszym ciągu czuł od czasu do czasu gwałtowną chęć ucieczki, ale lepiej potrafił ją opanować teraz, kiedy bestia dryfowała w nieco większej odległości.

— Co on tam robi, Lane? — zapytał Mariner.

— Diabli wiedzą — odpowiedział Lane. — Prawdopodobnie przygląda się nam tak jak my jemu. Jest piękny, nieprawdaż?

Obaj popatrzyli na stworzenie widoczne na ekranie i w tym właśnie momencie przestało się oddalać, a zaczęło zbliżać ku nim.

— Mamy dwa wyjścia — rzekł Lane ze spokojem, którego nie czuł. — Możemy uciekać albo sprawdzić, czy wibrator utrzyma tę bestię w przyzwoitej odległości.

— Uciekajmy — zaproponował Mariner.

Lane również czuł przemożną chęć ucieczki. Była ona tak silna, że z największym trudem zmusił się do pozostania. Nie nawykł do strachu i czuł się bardzo zaniepokojony. Uznał, że jedynym sposobem przezwyciężenia tego uczucia jest wyjście mu naprzeciw. Nawet nie myślał o zbliżającym się do statku stworzeniu. Jego jedyną troską było pokonanie przyczajonego dotychczas w głębi duszy demona przerażenia, który nagle wyrwał się spod kontroli. Przesunął dłoń na spust wibratora — dużego, pokładowego emitera fal radiowych — i wypalił w zwierzę.

Wtedy rozpętało się piekło.

Lane i Mariner wrzasnęli równocześnie. Starzec bezwładnie osunął się w fotelu. Lane zdołał zachować pozycję ciała, choć nie można było tego powiedzieć o jego zdrowych zmysłach. Całe przerażenie i rozterki znikły i zostały zastąpione przez coś innego, coś tak dziwnego, obcego i bolesnego, że zagroziło mu rozdarciem osobowości na strzępy.

Instynktownie utrzymywał bestię w celowniku wibratora i manewrował statkiem w stronę chmury pyłu. Potem, zanim odzyskał przytomność umysłu, stał przez dobre dziesięć minut nieruchomo, z wybałuszonymi oczami.

Spojrzał na ekran, ale nie zobaczył nic, prócz pyłu. Zespół czujników początkowo niczego nie wykazywał, ale w końcu udało się odszukać obiekt, który musiał być bestią oddalającą się niemal z prędkością światła.

— Obudź się, Mariner — Lane podszedł do starca i potrząsnął nim.

Stary nie odpowiedział. Przyłożył więc ucho do jego piersi szukając bicia serca. Nie usłyszał nic. Uchylił powieki starego. Źrenice nie reagowały na światło. Nie wyczuł tętna ani śladu oddechu.

— Cóż, przynajmniej zobaczyłeś go przed śmiercią — rzekł Lane.

Przerzucił ciało przez ramię, zaniósł je do śluzy i tam złożył. Chwilę później szybowało w przestrzeni — zdeformowany strzęp, który kiedyś był człowiekiem. Potrząsnął głową, ciągle jeszcze oszołomiony tym, co go spotkało. Potem wrócił do sterowni i obliczył dwa kursy — jeden pogoni za stworem, drugi do Northpoint. Gapił się na nie dłuższy czas. Potem, ostatecznie, wziął kurs do domu czując gdzieś głęboko prawie niezauważalny, nikły głos krzyczący w szoku i cierpieniu.

ROZDZIAŁ 7

Niemożliwe! — wykrzyknął Tchaka.

— Dlaczego? — Lane domagał się uzasadnienia. — Dlatego, że nigdy przedtem nie widziałeś nic takiego?

— Ponieważ nikt nigdy nie widział nic takiego! — powiedział Tchaka.

Siedzieli z drinkami w dłoniach w należącym do Tchaki sklepie z mapami. Ściany były zawieszane mapami Northpoint, jej systemu słonecznego, galaktyki oraz paru rzadko odwiedzanych światów. Część z tych map była niewątpliwie produktem nieokiełznanej wyobraźni karto grafów. Jeden z regałów, przypominający olbrzymi stojak na wino, wypełniony był rulonami map i planów. Poza tym w tej ogromnej sali stały regały na książki i stojaki na taśmy zawierające starożytne i niemal starożytne mapy. Na środku pokoju zwisał z sufitu wielki, starannie zaprojektowany kandelabr złożony z setek dokładnych topograficznych odwzorowań Ziemi i innych światów zamieszkałych przez gatunek ludzki. W pokoju stały też niezliczone globusy rozmaitych planet, niektóre metalowe, inne lśniące i połyskujące jak sztuczne oko Tchaki. Kilka z nich było wykonanych z materiałów całkowicie nie znanych Lane'owi.

— Ale przecież wiemy, że empaci istnieją! — stracił cierpliwość Lane.

— Nikt, nigdy przedtem nie zgłosił istnienia empaty nadającego — powiedział Tchaka. — Każda z pozostałych ras empatów jest zdolna wyłącznie do odbioru.

— W porządku, może więc słowo „empata” jest tu niewłaściwe — rzekł Lane. — Jednak wierz mi, Tchaka, ta przeklęta istota wysyła swoje emocje. Ilekroć znalazłem się zbyt blisko niej, byłem tak przerażony, że trząsałem się jak osika.

— Też byłbym przerażony — odpowiedział Tchaka.

— I co z tego?

— Cholera jasna, nic nie rozumiesz! — rozżłościł się Lane. — Nigdy przedtem czegoś takiego nie odczuwałem!

— Nigdy wcześniej nie widziałeś nic podobnego do Bestii Sennych Życzeń — stwierdził Tchaka.

— To nie ma nic do rzeczy. Do diabła, kiedy polowałem na bystronury używałem siebie jako przynęty w oceanie, w którym nie ma w ogóle widoczności. To mnie nie przerażało. Wielokrotnie zostałem poszarpany przez zwierzęta na nie zamieszkanym planetach, gdzie znikąd nie mogłem oczekiwać pomocy i to też mnie nie przerażało. A tu nagle, uzbrojony po zęby na pokładzie „Śmiercionośnego”, trząsałem się ze strachu jak liść na wietrze.

— Różni ludzie boją się różnych rzeczy — stwierdził Tchaka.

— Ja nie boję się niczego — powiedział Lane. — Ale to ja przerażałem Bestię i ten strach został do mnie wyemitowany. Ilekroć odleciała na odległość wystarczającą, żeby jej strach zmalał, natychmiast uspokajałem się i ja.

— Wydaje mi się, Nicobarze — rzekł Tchaka, bezwiednie drapiąc się mieszadłem do drinków po sztucznym oku — że jest to najbardziej skomplikowane usprawiedliwienie uczucia strachu, jakie w życiu słyszałem. Długie, i pełne fascynujących wywodów.

— Dzięki za uznanie — rzucił Lane sucho.

— Dla płacącego klienta wszystko. — Tchaka wyszczerzył się radośnie. — Na marginesie, czy czułeś ból, gdy strzeliłeś do Bestii, Nicobarze? Zakładam, że strzeliłeś do niej.

— Użyłem przeciw niej wibratora.

— To co tu robisz? — spytał Tchaka triumfalnie. — Jeśli twoja teoria jest prawdziwa, powinieneś być umrzeć w chwili, gdy wiązka uderzyła w cel.

— To nie zmienia mojej teorii ani na jotę — zaprzeczył Lane.

— Nie sądzę, żeby Pyłozerca, czy Handlarz Śmierci, czy jakkolwiek go nazwiemy, odczuwał ból. Przynajmniej w ten sposób jak ty czy ja. Sądzę, po zastanowieniu, że nie ma w tym nic zaskakującego. Dlaczegoż by istota zbudowana z czystej energii miała być wyposażona w doznania bólowe?

— Więc nie można jej zabić?

— Tego nie powiedziałem — zaprotestował Lane. — Bez wątpienia może być uśmiercona i to przy użyciu wibratora.

— Ale sądziłem, że powiedziałeś...

— Że nie odczuwa bólu — wpadł mu w słowo Lane.

— To coś kompletnie innego niż stwierdzenie, że nie można jej zabić.

— Dla mnie nie — rzekł Tchaka.

— Wypróbowałem na niej działo laserowe i imploder molekularny — powiedział Lane. — Bez efektu. Reakcję otrzymywałem tylko po strzale z wibratora.

— Ale nie reakcję bólową — upewnił się Tchaka.

— Nie.

— No to co to była za reakcja?

— Całe mnóstwo odczuć, część z nich zbyt obca, żeby dało się je zrozumieć, część zbyt słaba, żeby można było je określić. Dominujące wrażenie, jakie pamiętam, to głęboki żal pomieszany z solidną dawką lęku przed nieznanym.

— To mogło być cokolwiek — stwierdził Tchaka.

— Nie — zaprzeczył Lane. — To było coś bardzo specyficznego. To była śmierć.

— Ale nie zabiłeś jej.

— Zapewne zniszczyłem maleńki ułamek, drobny fragment całości. Dość, żeby ta istota przekazała mi odrobinę poczucia, jak smakuje śmierć.

— Skoro się upierasz, Nicobarze — zgodził się Tchaka. — Ale w takim razie, dlaczego zabiło to tylko Marinera, a nie was obu?

— Proste — odrzekł Lane. — Mariner był stary, gotowy na śmierć, być może nawet na nią czekał po przyjrzeniu się temu swojemu Pyłozercy. Ja jestem młodszy i silniejszy. Jeszcze nie chcę umierać. Być może trzeba czegoś więcej niż posmak śmierci, aby mnie zabić.

— Może mojemu koktajlowi się uda — rzekł Tchaka wstając i podchodząc do baru ukrytego za stojakiem z mapami. — Powinien cię załatwić, zanim znowu zobaczysz Bestię Sennych Życzeń. Na marginesie, nadal twierdzę, że nie istnieje nic takiego jak emiter emocji.

— Być może masz rację — rzekł Lane. — Być może ona również odbierała moje emocje. Nie mam sposobu, żeby to sprawdzić. Ale wiem, co czułem i wiem, co zabiło staruszka. Przez całe życie nie miewałem koszmarnych snów, a teraz, od momentu spotkania z tym stworem, mam je co noc.

— To musi być bestia nie lada, jeśli wywołała koszmary u wielkiego Nicobara Lane'a — stwierdził Tchaka, nalewając sobie kolejnego drinka.

— Jest. To jest mechanizm obronny z piekła rodem — powiedział Lane. — Im gwałtowniej temu zagrozić, tym silniejsze przerażenie odczuwa atakujący.

— Oprócz ciebie, Nicobarze, kto lub co, w całym wszechświecie, by to zaatakowało?

Lane wzruszył ramionami.

— Coś musiało, inaczej taki mechanizm obronny by się nie rozwinął.

— To jest cały kłopot z tobą, Nicobarze — rzekł Tchaka, pozwalając sobie na luksus szerokiego uśmiechu, który załśnił odbiciem światła kandelabra w jego złotych zębach. — Widzisz wszystko z pozycji łowcy. Może we wszechświecie jest coś jeszcze oprócz mięsa i mięsożerców.

— Na przykład?

— Może Bóg nie jest myśliwym, Nicobarze. Może On jest uosobieniem miłości.

— Nie rozumiem, o czym mówisz — odparł Lane.

— Posiadanie takiego mechanizmu, jeśli on w ogóle istnieje, byłoby bardzo interesujące. Zadałem sobie w duchu pytanie: co Tchaka by z nim zrobił? Ponieważ zaś Tchaka jest miłym, myślącym o innych i szczodrym aż do przesady diabelnym ogierem, sprawiłbym, aby moje kobiety czuły to samo co ja, gdy patrzę na nie, dotykam ich, tulę, wypełniam je nasieniem. W ten sposób bym tego użył, Nicobarze, i kto jest władny osądzić, że to twój punkt widzenia jest bliższy Bożej idei Bestii Sennych Życzeń niż mój? Może to jest mechanizm rozrodczy, Nicobarze? Może to emituje chuć i pożądanie, aby przyciągać inne Bestie Sennych Życzeń?

— Zakładasz, że istnieją inne Bestie Sennych Życzeń — powiedział Lane. — Wcale nie jestem tego pewien.

— Może ich nie ma — zgodził się Tchaka. — Ale nie ma też naturalnych wrogów. Dlaczego opowiadasz się za jedną przyczyną powstania tego mechanizmu odrzucając inną?

— Jeśli to mechanizm rozrodczy, to w jakim celu emitowałyby przerażenie lub śmierć? — spytał Lane.

— Czy nie chciałbyś, aby kobieta ci powiedziała, że rozkosz, jaką jej sprawiłeś, nieomal zabiła ją? — Tchaka wykrzywił się szpetnie. — Ale może się mylę. Może jedynie Tchaka potrafi je w ten sposób wysłać do raju.

— Sądziłem, że wszystkie twoje kobiety lądują w piekle — rzekł Lane.

— Tam pobierają nauki, Nicobarze — odparł Tchaka. — A kiedy nauczą się swojej sztuki, przychodzą pracować dla mnie.

— Nie mam żadnego empirycznego dowodu przeciw temu — stwierdził Lane z krzywym uśmiechem.

— Chodźmy poszukać dowodów — zaproponował Tchaka szykując się do opuszczenia pokoju.

— Tchaka — odezwał się Lane. — Byłem raz na Ziemi, a także widziałem i ludzi, i zwierzęta na całkiem sporej liczbie planet, i bez wątpienia jesteś jedyną żyjącą istotą, jaką spotkałem, będącą wyłącznie pożądanym.

— Biję to na głowę pogoń za kolejną szczyptą śmierci — zaśmiał się Tchaka. — Ilekroć mnie o to spytasz, zawsze opowiem się za życiem.

— Są tacy, którzy nie zgodziliby się z twoją definicją życia.

— Co oni wiedzą? — obruszył się Tchaka. — Ludzie, którzy wiedzą, jak żyć, żyją, Nicobarze. Ludzie, którzy nie wiedzą, formułują definicje życia.

— Czy kiedykolwiek myślałeś o napisaniu książki składającej się z twoich prostych, drobnych twierdzeń filozoficznych? — spytał Lane z uśmiechem.

— Często — odrzekł Tchaka. — Ale nie czuję szacunku do ludzi, którzy mieliby czas ją przeczytać.

— Przypuszczam, że ma to jakiś specyficzny sens — powiedział Lane.

— Oczywiście, że ma. Oprócz tego, że jestem pożądanym samcem, jestem po prostu wrażliwy. Chodźmy na dół, Nicobarze.

— Nie, dzięki. Przyszedłem tu na górę w określonym celu.

— Innym niż pogawędka z Tchaką? Ranisz mi serce.

— Nieco opium i drobna blondynka i bez trudu je uleczysz — rzekł Lane. — Jakoś dziwnie nie potrafisz patrzeć na siebie jako na obiekt współczucia.

Tchaka wzruszył ramionami.

— No to po co tu przyszedłeś?

— Po co ktokolwiek miałby tu przychodzić? Żeby obejrzeć mapy.

— Ależ one są starożytne i nieaktualne — zdziwił się Tchaka.

— Tylko kolekcjonerzy je kupują.

— Wiem, jakie one są.

— To czemu chcesz tracić na nie czas? — spytał Tchaka. — Użyj którejś z nich do odnalezienia planety morskiej, a zalecisz na gazowego giganta.

— Nie szukam planet — odpowiedział Lane podchodząc do stelaża i wyciągając losowo parę map.

— Gwiazd? Na co można polować na gwiazdach?

— Nie szukam również gwiazd — rzekł Lane.

— A co oprócz tego jest... — Tchaka roześmiał się serdecznie.

— Szukasz Bestii Sennych Życzeń! Musiała ci poprzestawiać klepki, Nicobarze. Nie znajdziesz jej na żadnej mapie!

Lane podniósł wzrok na potężnego mężczyznę.

— Ktoś, kto nie wiedział, co to jest, mógł zaznaczyć ją jako gwiazdę. W dawnych latach nie było precyzyjnych czujników. Widziana na ekranie telewizyjnym i częściowo przesłonięta

przez międzygwiazdny pył mogła wyglądać jak odległa gwiazda. Jeśli znajdę parę takich raportów, będę mógł jeszcze lepiej rozpracować jej schemat żerowania.

— A po co to wszystko? — zapytał Tchaka. — Przecież nie zamierzasz na nią polować.

— Nazwij to ciekawością — powiedział Lane, przyglądając się pierwszej mapie i odkładając ją po chwili do stojaka.

— Nazwę to zidioceniem — rzekł Tchaka, podczas gdy Lane rozwinął kolejną mapę. — Im większą krzywdę jej wyrządzisz, tym więcej cierpienia do ciebie wróci.

— Nie chcę jej krzywdzić — stwierdził Lane. — Chcę tylko nieco więcej się o niej dowiedzieć.

— To samo słyszę od każdego, kto wybiera się do meliny narkomanów — powiedział Tchaka. — W tym jest śmierć, Nicobarze. Chodź ze mną na dół i popróbuj nieco radości życia.

— Później — odparł Lane patrząc na następną mapę.

— Daj spokój, Nicobarze. Stawiam.

— Nie teraz.

— Ha! Co się ze mną dzieje? — krzyknął Tchaka. — Nigdy nie spotkałem człowieka, z którym miałbym mniej wspólnego. Dlaczego miałbym się przejmować tym, co robisz?

— Nie powinienes.

— Co byś zrobił, gdybym wziął cię pod pachę i zniósł na dół?

— Prawdopodobnie próbowałbym cię zabić — powiedział Lane.

— Nie dałbyś rady, Nicobarze.

— Myślę, że nie. Zamierzasz spróbować?

— Jeślibym to zrobił, przestalibyśmy być przyjaciółmi, czyż nie?

— Owszem, przestalibyśmy.

— Dlaczego Tchaka miałby dbać o to, czy jesteś jego przyjacielem, czy nie?

— Przeciwności się przyciągają — odparł Lane z uśmiechem.

— Może dlatego jesteś tak zainteresowany Bestią Sennych Życzeń — powiedział Tchaka. — Nie znalazłeś większego przeciwieństwa.

— Chyba nie dostrzegasz różnicy pomiędzy atrakcyjnością a zainteresowaniem — rzekł Lane. — Dla ciebie atrakcyjne są twoje dziwki, ja interesuję się tyra stworzeniem.

— To kompletny nonsens — stwierdził Tchaka. — Ta przeklęta rzecz nie ma już żadnej wartości rynkowej, odkąd wiadomo, z czego jest zbudowana.

— O wiele mniejszy nonsens, niż używanie przez właściciela towaru częściej, niż robią to jego klienci — odparł Lane wyciągając kolejną garść map. — Ten stwór nigdy nie miał żadnej wartości, twoje dziewczyny miały, póki ich nie zużyłeś do cna.

— Czy obrażasz moje dziwki? — oburzył się Tchaka.

— Ani mi to przez myśl nie przeszło — rzekł Lane — tylko twoją uczciwość.

— W takim wypadku uzyskujesz przebaczenie — powiedział Tchaka ze śmiechem.

Podszedł do drzwi.

— Przyślę ci tu na górę dziewczynę z czymś do picia.

— Nie za prędko — rzucił Lane rozkładając mapy na pięknie tkanym dywanie. — I niech to będzie kawa.

— Opłakuję cię, Nicobarze — rzekł Tchaka.

— Opłakuję tę, z którą dzisiejszej nocy pójdziesz do łóżka — skrzywił się Lane.

— Czy mam kazać jej rankiem przesłać ci tu na górę entuzjastyczne wyznanie? — zapytał Tchaka, lecz Lane nie

odpowiedział, całkowicie zatopiony w studiowaniu starożytnej mapy.

ROZDZIAŁ 8

Minęły już trzy miesiące od opuszczenia Piekelnego Portu i ładownie statku pękały w szwach. To było owocne polowanie. Ptaki, ssaki, gady, płazy, torbacze, ryby i kilka stworzeń nie dających się w ogóle sklasyfikować — wszystkie one musiały ulec jego broni i umiejętnościom.

Teraz, w końcu, zmęczony rzezią, usiadł przy komputerze nawigacyjnym, wiedząc doskonale, że wypełnił wszystkie zobowiązania i powinien wracać do macierzystej bazy i wiedząc równie świetnie, że wcale do domu się nie wybiera.

Wprowadził współrzędne chmury pyłu do systemu kartograficznego, potem dodał wszystkie znane miejsca, gdzie widziano Pyłożercę włączając pół tuzina znalezionych na starych mapach u Tchaki.

Następnie wyregulował natężenie malutkich punktów świetlnych oznaczających miejsca pobytu bestii tak, że te z ostatniego okresu były jaśniejsze. Przy pomocy głównego komputera „Śmiercionośnego” oszacował prawdopodobny kierunek i prędkość poruszania się stwora, po czym ustalił środek układu współrzędnych w tym obszarze i wszedł na ten kurs.

To było idiotyczne. Przyznawał to z brutalną szczerością, która zawsze cechowała jego stosunek do siebie samego. Nie miał wcale dużo paliwa, zdawał sobie sprawę, że jeżeli teraz

nie polecą prosto na Northpoint będzie musiał gdzieś wylądować, aby uzupełnić zapasy wody. Przemierzanie przestrzeni międzygwiazdnej, w przeciwieństwie do lądowania i startu, prawie nie zużywało zasobów statku ani portfela. W dodatku, skoro znajdował się tylko o tydzień lotu od przypuszczalnego miejsca pobytu bestii, była to zbyt dobra okazja, żeby jej nie wykorzystać.

Zapadł w pogłębiony sen na sześć dni, pozostawiając Muftiego własnemu losowi. Gdy się obudził, dokonał kilku poprawek kursu, zjadł olbrzymi posiłek — pogłębiony sen nie hamował całkowicie metabolizmu, tylko go spowalniał, co sprawiało, że zawsze po przebudzeniu czuł się niemal zagłodzony na śmierć — i zaczął przegląd wskazań przyrządów. Nie znalazł, czego szukał.

Spędził następne dwa tygodnie w tej okolicy to zagłębiając się w chmurę pyłu, to z niej wylatując, i nie napotkał na najłżejszy nawet ślad stworzenia. Pozostał tam, jak długo mógł, po czym skierował się w stronę Belial — niewielkiej planety z dwoma Osadami Handlarzy i praktycznie niczym więcej.

Gdy przybył, zostawił „Śmiercionośnego” w hangarze portu kosmicznego, zaaplikował Muftiemu pogłębiony sen i powędrował do „Pałacu”, raczej nędznego odpowiednika baru Tchaki.

Na obiad zamówił danie podobne do cielęciny, uzupełnił je deserem w postaci dwóch szklaneczek alphardzkiej brandy, zastanowił się przez chwilę nad spędzeniem godzinki czy dwóch w burdelu, odrzucił tę myśl i wynajął mały pokój na noc.

Gdy obudził się i zapłacił rachunek, spytał w recepcji, czy na Belial są jakieś antykwariaty książek lub taśm. Udało mu się

opanować wybuch gniewu, gdy recepcjonista w odpowiedzi zwinął się we dwoje ze śmiechu, po czym wrócił do hangaru.

— Prawie gotów? — spytał szefa działu obsługi.

— Taa... — odpowiedział mężczyzna. — Nie powiedział pan, ile potrzebuje pan paliwa. Ostatnio był strajk i cena jest nieco wyższa w tej okolicy, więc zatankowałem panu tylko tyle paliwa, żeby mógł pan bezpiecznie wrócić do domu. Zakładam, opierając się na dokumentach statku, że pochodzi pan z Northpoint.

Lane przytaknął.

— Nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia do ładowni przy czyszczeniu statku. Jest pan myśliwym, czy kimś w tym rodzaju?

— Tak — odpowiedział Lane.

— To jest coś — rzekł mężczyzna z podziwem. — Musi być pan niezły w swoim fachu.

— Najlepszy — powiedział Lane ponuro. — Przy okazji, chciałbym dostać tyle paliwa, ile może mi pan dać. To samo dotyczy wody pitnej.

— To będzie pana kosztować, panie Lane — odpowiedział mężczyzna. — Jak już powiedziałem, cena paliwa jest...

— Pamiętam, co pan powiedział — przerwał Lane.

— Mam jedno konto w dużym banku na Alphard i drugie na Northpoint. Może pan sprawdzić, jeśli ma pan jakieś wątpliwości.

— Nie chciałbym wtykać nosa w nie swoje sprawy, panie Lane — powiedział szef obsługi — ale na co, u diabła, ma pan zamiar zapolować, że potrzebuje pan aż tyle paliwa i tak niewiele przestrzeni w ładowni, żeby to pomieścić?

— Pierwsza część pana wypowiedzi była słuszna — powiedział Lane.

— Jak to?

— Wtyka pan nos w nie swoje sprawy.

Mężczyzna przyglądał się łowcy przez dłuższą chwilę, po czym wydał odpowiednie polecenia swoim ludziom.

Lane wystartował jeszcze tego samego popołudnia i skierował się w stronę chmury pyłu. Przybył tam trzy dni później.

W dalszym ciągu nie było śladu bestii. Lane zbyt się tym nie trapił. Lubił siedzieć samotnie przy pulpicie sterowniczym „Śmiercionośnego” i uznał, że cieszy go to znacznie bardziej niż tropienie dziwacznych zwierząt na obcych planetach.

W czasach gdy człowiek nie wyruszył jeszcze w Kosmos, myśliwi cenili nade wszystko wiatr smagający twarz czy słone bryzgi morskiej wody. Słońce na ramionach, upojenie chłodnym, świeżym powietrzem w płucach.

Lane współczuł im. On czuł nie jedno, ale pięćset słońc na swej szyi i ramionach, wdychał rześkie powietrze na wielu światach i był na setkach innych planet, gdzie jeden wdech nie przefiltrowanej atmosfery oznaczał śmierć. Bywał i nad oceanami, i w ich głębinach, nie tylko słonowodnych, ale wypełnionych chlorem, amoniakiem czy pół tuzinem innych morderczych cieczy. W walce z żywiołami nie widział za grosz romantyzmu. To była gra, śmiertelna gra z Naturą, którą prędzej czy później każdy łowca musiał przegrać.

Patrzył na jeden z ekranów telewizyjnych, na miliardy gwiazd, których widoku nie zaburzała ani atmosfera, ani ponura świadomość, że zawsze będą poza zasięgiem i zastanawiał się, co też czułby starożytny łowca, gdyby dane mu było posiedzieć obok niego przez parę minut. Wyprowadził Muftiego z pogłębionego snu, podsunął mu garść martwych, wysuszonych jaszczurek i trzymał go na kolanach, dopóki

zwierzak nie połknął przekąski, po czym powrócił do przyrządów. Usadowił się w fotelu opierając skrzyżowane nogi na krawędzi komputera nawigacyjnego i zamknął oczy nieświadomie gładząc pierś i szyję Muftiego. W chwilę później spał.

Przez następne dziesięć tygodni nie wydarzyło się kompletnie nic, a on wciąż czuł się zadowolony. Przestrzegał nieskomplikowanych rytuałów jak jedzenie, opieka nad Muftim, ćwiczenia, sprawdzanie, czy nic nie gnije w ładowni, wykreślanie poprawek kursu, sen. Gdy zaczynał się nudzić, brał lekkie narkotyki i halucynogeny, a raz czy dwa zalał się w trupa. Jednakże większość czasu czuwał, był spokojny, trzeźwy, jasno myślący i — co jest podstawową cechą dobrego myśliwego — cierpliwy.

Miał nadal nocne koszmary, ale przywykł do nich i poświęcał im tyle samo uwagi co innym denerwującym go sprawom. Wielokrotnie budził się roztrzęsiony, z krzykiem, ale po chwili uświadamiał sobie, gdzie jest, powoli uspokajał się, aby w końcu z powrotem zapaść w sen.

To właśnie przydarzyło mu się po dziesięciu tygodniach od opuszczenia Belial. Obudził się z krzykiem trzęsąc się w hamaku tak silnie, że niemal zeń wypadł. W końcu zaczął dochodzić do siebie i zdał sobie sprawę, że jest na „Śmiercionośnym” i właśnie miał nocny koszmar.

Lecz tym razem poczucie grozy nie opuściło go. Okrywało go jak koc, realne i przygniatające. Czuł słodko-kwaśny smak w ustach i uświadomił sobie, że przegryzł dolną wargę niemal na pół. Potrząsnął głową starając się zebrać myśli i z okrzykiem uniesienia, które przedarło się przez warstwy lęku, zrozumiał, co się dzieje.

Wyskoczył z hamaka, pognął do głównego ekranu telewizyjnego i zobaczył bestię unoszącą się około trzy tysiące kilometrów od statku.

Przełączył statek na ręczne sterowanie i posunął się do przodu, jednocześnie naprowadzając celowniki wibratora na Pyłóżercę. Stworzenie cofnęło się i „Śmiercionośny” zwiększył szybkość. Razem sunęli przez chmurę oddaleni ciągle o te same trzy tysiące kilometrów i stopniowo uczucie strachu zaczęło zanikać. W ciągu pół dnia stworzenie wyzbyło się całkowicie strachu przed Lane’em, który wykorzystał ten fakt do zmniejszenia dystansu.

W odległości tysiąca kilometrów zaczął odczuwać wzrastające przerażenie bestii i gdy znalazł się od niej w odległości trzystu kilometrów, bał się tak jak jeszcze nigdy w życiu. Oderwał oczy od ekranu i przyrządów i spojrzał na Muftiego, na którym całe zajście nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Lane umocnił się w przekonaniu, że małe zwierzątko jest albo nieinteligentne, albo całkiem szalone.

Skierował wszystkie czujniki statku na stworzenie starając się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Bezskutecznie. Mogło być nieinteligentne, ale nic na to nie wskazywało. Nie można było wywnioskować, czy ma organy wewnętrzne analogiczne do tych, jakie mają istoty z krwi i kości. Równie prawdopodobne było, że ma jakiś mechanizm, dzięki któremu porusza się w przestrzeni jak i to, że nie ma żadnego. Czujniki były całkowicie bezużyteczne.

Lane wycelował działo laserowe około 12 stopni powyżej stworzenia i wypalił. Pyłóżerca ani nie przeraził się bardziej, ani nie zmienił kursu. Lane wystrzelił następną wiązkę i trzymając spust działa obniżył ją tak, aby przeszła przez środek stworzenia. Nie było żadnej reakcji.

Zwiększył szybkość „Śmiercionośnego” i Pyłożerca zrobił to samo tak szybko, że odległość między nimi zmalała tylko o sto metrów, co nasunęło mu roboczą hipotezę, że stworzenie może być równie dobrze dwukierunkowym empatą.

Przesunął dłoń w stronę wibratora. Jeśli stworzenie mogło czytać jego myśli lub nawet emocje, powinno w tym momencie zwiększyć szybkość — ale nic takiego nie uczyniło i Lane był zmuszony jeszcze raz przemyśleć hipotezę.

Oczywiście, rozważał, przecież nie miał zamiaru strzelać z wibratora i bestia wiedziała o tym. Jedynym sposobem, aby przekonać się, czy stworzenie może przewidzieć jego działanie, było naprawdę otworzyć ogień.

Poczuł lekki dreszcz emocji, gdy zdał sobie sprawę, że niewątpliwie to właśnie musi zrobić. Przypiął się pasami do fotela, zastanawiając się, czy zrobić to samo z Muftim, ale zdecydował, że nie ma potrzeby, po czym nacisnął spust.

Uczucie było równie intensywne jak miesiące wcześniej, gdy strzelił do Bestii pierwszy raz. Fala emocji uderzyła go z siłą pioruna, odrzuciła mu głowę w tył i spowodowała, że kończyny zadrgały spazmatycznie. Niosła w sobie żal, niemalże religijny strach przed nieznanym, coś, co mogło być analogią bólu, głębokie, mroczne, tajemnicze i całkowicie obce. Prawie tak samo silne było uczucie szoku i zaskoczenia.

Niemal natychmiast zdjął rękę ze spustu i siedział tak, sztywny, dyszący, ze szklanymi oczami. Gdy wreszcie pozbierał się, Pyłożerca zniknął, ale Lane znalazł go za pomocą przyrządów i wznowił pogoń. W myślach zanalizował swoje ciało: tętno wracało do normy, skurcze i drżenie mięśni prawie znikły, wzrok miał w dalszym ciągu nieco osłabiony, ale funkcjonował, oddech był jeszcze nieregularny, natomiast zdolność kojarzeniowa bez zarzutu.

Następnie sprawdził odczyty Pyłożercy. Nie było sposobu, żeby zmierzyć jego masę, ale objętość wyglądała na stałą i na pewno nie zmniejszył szybkości.

Spędził cztery dni w pościgu bez widocznego zmniejszenia odległości pomiędzy nimi. W tym czasie Mufti domagał się więcej uwagi i uczucia niż zazwyczaj i Lane wywnioskował, że gdy strzelił do Pyłożercy, zwierzak musiał jednak coś poczuć.

Lane nie jadł prawie nic, spał krótko i nieregularnie, spędzając poza tym czas z oczami przyklejonymi do tablicy przyrządów. Był prawie milion kilometrów za bestią, która chyba uważała to za odległość bezpieczną, bo nie próbowała jej zwiększyć, chociaż miał głębokie przekonanie, że mogła to uczynić bez trudu.

Było mu coraz trudniej śledzić Pyłożercę za pomocą przyrządów, które nie były przystosowane do pracy przy szybkościach większych od prędkości światła i piątego dnia pościgu ostatecznie zgubił trop.

Następne trzy miesiące spędził próbując ponownie odnaleźć Pyłożercę. Jego nastrój wahał się od ponurego do jeszcze bardziej ponurego i nawet Mufti, w czwartym tygodniu, trzymał się od niego w bezpiecznej odległości. W końcu kilka ciał zwierzęcych zaczęło kruszyć się w ładowni i zdał sobie sprawę, że musi bardzo szybko wyładować je w jakimś porcie, jeśli nie chce stracić dochodu z całego polowania.

Ociągał się jeszcze dzień czy dwa, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że może przez przypadek spotka znowu bestię, ale w końcu wziął kurs na Lodin XI, największą w okolicy planetę zajmującą się przeładunkiem i wysyłką towarów.

Kiedy układ Lodin pojawił się na ekranie, wciąż rozmyślał o Pyłożercy. Tym razem podszedł doń bliżej, tak blisko, że mógł nieomal wyciągnąć rękę i dotknąć go. I jedyne, co tym razem

uzyskał w nagrodę za stratę czasu i kłopoty, to kolejny subtelny posmak śmierci, udział w czymś tak dziwnym, groteskowym, tajemniczym i budzącym grozę, że chyba żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zechciałby tego doświadczyć ponownie. Na pewno nie Tchaka, że swoim wybujałym apetytem na życie, nie goniący za nieznanym Mariner, nie Lane, którego emocje całkowicie zanikły po ćwierćwieczu krwawych rzezi. A mimo to spędził trzy miesiące w pogoni za dziwnym, pulsującym stworzeniem. Gdy mijał orbitalne stacje paliwowe i doki i zaczął przygotowywać się do lądowania na suchej, jałowej powierzchni Lodin XI, w dalszym ciągu zapytywał sam siebie: dlaczego?

ROZDZIAŁ 9

Lodin XI miała tyle wspólnego z Northpoint co działo laserowe z procą. Pierwszą oznaką jej rozwoju cywilizacyjnego były orbitalne stacje paliwowe. Żadna z peryferyjnych planet, na których powstały Osady Handlarzy, nie miała ani dosyć pieniędzy, ani nie prowadziła wystarczająco rozległych interesów, żeby móc sobie pozwolić na budowę tak skomplikowanych struktur. Dlatego „Śmiercionośny”, jak większość statków z pogranicza, został tak zbudowany, aby mógł lądować na planetach.

Lecz stacje paliwowe były tylko drobnym świadectwem jej zaawansowania. Podzielona została pomiędzy siedemnaście nacji — również całkowicie nie znanych na planetach

pogranicza — z których każda mogła się pochwalić co najmniej dziesięcioma, a niektóre nawet pięćdziesięcioma miastami. Według najświeższych ocen rdzenna ludność mówiła jedenastoma językami i przypuszczalnie dwukrotnie większą liczbą dialektów. Demokracje, republiki, monarchie i państwa totalitarne współistniały obok siebie bez żadnych widocznych tarć. Rasa ludzka również prowadziła tu interesy, miała osiedle mieszkaniowe i w chwili obecnej stanowiła prawie cztery procent populacji Lodin XI.

Budowle rdzennej rasy były... obce. Tworzony przez nie układ przestrzenny przeczył logice. Ulice znikwały w miejscach, gdzie oczekiwano ich poszerzenia.

Niektóre jednopiętrowe konstrukcje były całkowicie przejrzyste, podczas gdy wiele drapaczy chmur w ogóle nie miało okien. Nie było centrów biznesowo-handlowych. Wielkie magazyny i fabryki wyrastały w samym środku wariacko rozplanowanych dzielnic mieszkaniowych, które z kolei wdzierały się na teren portu kosmicznego i ogrodów zoologicznych. W samym środku tego architektonicznego szaleństwa można było natrafić na puste parcele nie zabudowane z niewiadomych przyczyn. Szerokie bulwary bez celu i sensu łączyły i przecinały całkowicie odmienne obszary zabudowy, a jednocześnie do niektórych co ważniejszych biur rządowych można się było dostać jedynie pokonując nie utwardzoną pustynię.

Lane wylądował „Śmiercionośnym” w Wolnym Porcie, kolonii ludzkiej położonej na obrzeżach Belarby, największego centrum handlowego planety. Spędził resztę dnia finalizując sprzedaż swoich trofeów. Zdecydował, że koszt wysłania całych, zakonserwowanych zwłok będzie mniejszy niż zapłata, jakiej zażądałoby miejscowi oprawiacze i wypychacze. Okazało

się w końcu, że będzie unieruchomiony na Lodin XI przez co najmniej tydzień, zanim nadejdą wszystkie należne mu czeki i wybrał się na poszukiwanie odpowiedniego miejsca do zamieszkania na czas przymusowego pobytu.

Wolny Port był dużą osadą, liczącą ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i zbyt wyspecjalizowaną, aby oferować wielobranżowe przedsiębiorstwa w stylu prowadzonego przez Tchakę. Lane wybrał największy i najokazalszy hotel, jaki mógł znaleźć, został poinformowany, że Mufti nie zostanie wpuszczony wraz z nim do pokoju i w końcu poprzestał na mniejszym hotelu o nieco mniejszych restrykcjach.

Ograniczenia, zresztą, były tu na porządku dziennym. Lodinitów nie wpuszczano do Wolnego Portu bez niewiarygodnie skomplikowanych dowodów tożsamości i oni z kolei rewanzowali się tym samym w stosunku do ludzi, jak i — w nieco mniejszym stopniu — wielu pozostałych, wyrosłych wokół Wolnego Portu, kolonii rozumnych przybyszów z innych planet.

Istniał też obszar neutralny, sektor o dziwnym kształcie, mający całkowicie międzynarodowy, a właściwie interplanetarny charakter. Stanowił on rodzaj ziemi niczyjej pomiędzy Wolnym Portem a Belarbą, wypełniony głównie przez centra kulturalne, restauracje i miejsca służące do zawierania czarnorynkowych transakcji. Plotka głosiła, że można tam było nabyć niewolnika niemalże dowolnej rasy spotykanej w galaktyce. Nikt nie brał poważnie tej pogłoski, co niewątpliwie było przyczyną, dla której tak plotka jak i proceder miały się świetnie.

Lane'owi pozostało mnóstwo czasu do stracenia, więc postanowił zobaczyć, co też ziemia niczyja ma do pokazania. Najpierw, jak zawsze, odszukał muzeum.

Tutaj, w świetnie imitujących naturalne pozach, były setki dziwnych, egzotycznych stworzeń, z których niemal wszystkie zostały zabite przez ludzi mu podobnych dla zaspokojenia ciekawości tych, którym się nie chciało, bądź którzy nie śmieli podążyć tam gdzie on, daleko poza pogranicze.

Pierwszym eksponatem, który zwrócił jego uwagę była diabłosowa. Wielka, rogata, czerwonoooka, z zębami sterczącymi na wszystkie strony, o prawdziwie szatańskim wyglądzie została po mistrzowsku wypchana i pozszywana. Jednak było oczywiste, że wypychacz nigdy w życiu nie widział diabłosowy w akcji. Głowę miała przechyloną pod złym kątem i całkowicie wyprostowane nogi, co niemal nigdy nie zdarzało się w naturze.

Przeszedł do ekspozycji poświęconej planetom wodnym i zatrzymał się przed parą bystronurów. Miały znajome mu szerokie ryje stanowiące wlot wody przetłaczanej przez ich potężne cielska jak w silnikach strumieniowych oraz brzytwowate płetwy i ogon pozwalające im osiągnąć ogromną prędkość i mogące posłużyć do posiekania zdobyczy na plasterki. Patrząc na dioramę zaczął wątpić w zdrowy rozum człowieka, który polowałby na nie na dnie morza, całkowicie pozbawiony widoczności i zdolności manewru.

Wtedy dostrzegł małą plaketkę wypisaną w ośmiu głównych językach Lodin XI oraz canphoryjskim i ziemskim.

BYSTRONURY DRAPIEŻNIKI ZAMIESZKUJĄCE OCEANY PINNIPES II, ZWYKLE SPOTYKANE NA GŁĘBOKOŚCI KILOMETRA LUB WIĘCEJ. TĘ PARĘ UPOLOWAŁ NICOBAR LANE, RASA LUDZKA, 4062 E.G.

Potrząsnął ze zdumieniem głową, zastanawiając się, jak, u diabła, przeżył to polowanie.

Przeszedł do sali istot rozumnych, gdzie niezliczone tablice bezustannie przypominały, że te eksponaty nie zostały zabite przez łowców, lecz dobrowolnie podarowane przez rodzime planety zmarłych. Miejsce przeznaczone dla człowieka pozostawiono puste, a mieszkańcy Lodin XI byli wszyscy ubrani i upozowani w małą scenkę. Pozostałe eksponaty — a było ich ponad pięćdziesiąt — wystawiono nagie w niezdarnych pozach.

W końcu dotarł do ogromnej, pustej przestrzeni o niemal sześćdziesięciometrowym boku i dwukrotnie mniejszej wysokości i popatrzył na tabliczkę:

ZAREZERWOWANE DLA BESTII SENNYCH ŻYCZEŃ

Przyszło mu na myśl pytanie, czy ktokolwiek w muzeum miał najmniejsze pojęcie o wielkości i wyglądzie tego stworzenia. Przekonał się, że to tylko chwyt reklamowy, gdy natrafił na cztery inne, dużo mniejsze, puste miejsca przeznaczone dla Handlarza Śmierci i innych spośród niezliczonych imion stworzenia.

— Życzę szczęścia — mruknął pod nosem.

Potem, znużony pobyt w muzeum, wyszedł na zewnątrz, w suchy skwar, i przeszedł do galerii sztuki znajdującej się dwieście metrów dalej, przy tej samej, wariacko krętej ulicy, której nagłe poszerzenia i zwężenia pojawiały się jeszcze bardziej bezsensownie niż zakręty.

Sposób wypychania zwierząt nie różnił się zbytnio na planetach, lecz pojęcie sztuki było tak zróżnicowane, jak to tylko możliwe. Lodinicy nie używali farb ani niczego w tym

rodzaju. Wszystkie ich prace stanowiły płaskorzeźby, nie całkiem abstrakcyjne, ale nie przypominające niczego, co Lane kiedykolwiek w życiu spotkał. Ich koloryt był jednostajny i nużący, ale tego należało się spodziewać po rasie widzącej barwy tylko od żółtej do niebieskiej. Lane powłóczył się tu chwilę próbując pojąć, na co patrzy, ale dał za wygraną i przeszedł do części budynku poświęconej sztuce ludzkiej.

Były tu standardowe krajobrazy lądowe, morskie, kosmiczne, akty pulchnych dam, martwe natury i rzeźby imitujące dzieła Michała Anioła (moda na renesans wracała w systemie Deluros, co oznaczało, że większość planet zamieszkałych przez człowieka zacznie jej hołdować akurat wtedy, gdy już będzie całkowicie nieaktualna).

Wkrótce Lane poczuł rosnący niepokój. Tkaniny i obrazy nie interesowały go bardziej niż zwierzęta wypchane i wystawione w muzeum. Spędził w sumie pięć godzin usiłując wsączyć w siebie nieco kultury, aż w końcu był gotów przyznać sam przed sobą, że go to śmiertelnie nudzi.

Resztę popołudnia i następne dwa dni spędził w bibliotece, bezskutecznie poszukując jakichkolwiek informacji na temat Pyłożercy. Następny dzień zużył na przeszukanie dwóch znajdujących się w Wolnym Porcie sklepów z książkami i taśmami — jednego współczesnego i jednego antykwariatu — z takim samym rezultatem.

Gdy wrócił z drugiego sklepu do hotelu, czekał tam na niego radiogram, zawierający informację, że William Campbell Blessbull XXIII był bardzo zdziwiony stanem przesyłki otrzymanej od Lane'a. Cztery z jedenastu zwierząt miały być w różnych stadiach rozkładu i do momentu zastąpienia ich innymi wstrzymywano zapłatę za całe zamówienie.

Lane potwierdził odbiór radiogramu, a potem wysłał wiadomość do swojego prawnika polecając mu pozwać Blessbulla do sądu o pieniądze za siedem przyjętych egzemplarzy, a także sprawdzić stan pozostałych czterech. Potem, znudzony i podenerwowany, wrócił na ziemię niczyją w poszukiwaniu jakiejś nielegalnej rozrywki. Na nic, co znalazł, nie miał ochoty, więc wstąpił do małego, czarnorynkowego sklepiku i kupił fałszywe dokumenty dające mu wstęp do Belarby.

Słońce właśnie zachodziło, gdy wszedł na teren Belarby. Nie bardzo wiedział, czego właściwie się spodziewa — być może czegoś w stylu bardziej egzotycznych osad rdzennej ludności, jakie zdarzało mu się odwiedzać na planetach pogranicza — lecz Belarba była po prostu kolejnym miastem. Odmiennym, bez wątpienia, lecz nie tym, czego pożądał.

Po pierwsze, był nieprzyjemnie świadom dość natarczywych, nieprzyjaznych spojrzeń, jakimi obdarzano go w trakcie wędrówki po nie układających się w żaden logiczny schemat ulicach. Wstąpił do jednej z miejscowych restauracji, żeby coś zjeść, lecz nie był w stanie przeczytać menu i udało mu się w końcu złożyć zamówienie gdy, z głębokim zakłopotaniem, spróbował porozumieć się z kelnerem za pomocą gestów. W trakcie oczekiwania na posiłek zaczęło mu się robić niewygodnie w krześle zaprojektowanym dla istot, których wszystkie zapasy tłuszczu znajdowały się w pośladkach, a łokcie przy samych ramionach. Poręcze otaczały go jak klatka, plecy mu zeszywniały i zdrętwiały nogi. Rzucił tylko okiem na danie, które z trzaskiem postawił przed nim wrogo wyglądający pikolak, zapłacił rachunek i wyszedł nie kosztując ani kęsa.

Lodinicki bar był następny na jego liście. Podany mu napój dawał się pić, ale był obrzydliwie słaby i gdy grupa tubylców zaczęła się z wolna, nieznacznie przemieszczać w jego kierunku, zdecydował, że niewarta skórka wyprawki i nie ma co nadstawiać niepotrzebnie karku.

Później wędrował po prostu ulicami, próbując zgłębić mentalność, która stworzyła tak bezkształtne budynki i bezsensowne przejścia. To było jak zły sen. Lodinici byli wystarczająco podobni do ludzi, żeby budowle i przedmioty ich cywilizacji na pierwszy rzut oka przypominały rzeczy, do których był przyzwyczajony. Jednak przy bliższym przyjrzeniu się wszystko traciło sens. Napotkał budynki pozbawione czegokolwiek, co mogłoby być uznane za wejście; sklepy, w których, zdawało się, rozdawano za darmo towar każdemu przechodniowi, który wykazał choćby ślad zainteresowania. Widział fabryki produkujące drobne drewniane i metalowe przedmioty wyglądające na całkowicie pozbawione zastosowania.

W końcu przeładowany mózg odmówił dalszej współpracy i Lane zdecydował, że czas wracać na ziemię niczyją. Wtedy zdał sobie z niesmakiem sprawę, że zgubił się kompletnie, on, myśliwy, który bez problemu przemierzał tysiące kilometrów dzikich ostępów.

Przez następne dwie godziny wędrował po krętych ulicach, zawracających i tworzących pętle czy znienacka kończących się ścianą budynku. W końcu zobaczył po drugiej stronie przejścia przedstawiciela swojej rasy i, raczej zawstydzony, przyznał się do kłopotu.

— Po prostu niech pan spyta Lodinitę — powiedział napotkany.

— Nie mogę — odparł Lane. — Nie znam języka.

— To jakim sposobem wydano panu papiery, chyba że... —
Twarz mu stwardniała. — Nielegalne przebywanie na terenie
Belarby jest ciężkim przestępstwem. Wie pan o tym,
nieprawdaż?

— Człowieku, z mojego punktu widzenia być mieszkańcem
Belarby to przestępstwo. Chcę się tylko dowiedzieć jak, u
diabła, wydostać się z tego domu wariatów.

Instrukcje były bardzo skomplikowane, jako że Lane odszedł
dość daleko od ziemi niczyjej. Dopiero w godzinę po świcie
dotarł do swojego hotelu.

Spał przez resztę dnia, niepokojony jedynie przez dobrze mu
już znane koszmary. Wstał, gdy się wieczorem ochłodziło.
Ogolił się, wziął prysznic, ubrał się i zaczął zastanawiać się,
dokąd iść. Jeszcze nie próbował żadnego z domów publicznych
czy spelun narkotykowych Wolnego Portu, słyszał też o
kabarecie zbrojeńców pokazującym nieskończony ciąg
perwersji, ale nie zdołał w sobie wzbudzić entuzjazmu do
którejkolwiek z wymienionych rozrywek. Zamówił butelkę
cygniańskiego koniaku do pokoju i usiadł na łóżku gapiąc się
w okno posepnymi, zamyślonymi oczami.

Patrzył poza granice miasta, na rozciągającą się tam
bezkresną, czerwobrunatną pustynię. Potem powoli uniósł
wzrok i wpatrzył się w czyste, nocne niebo.

To było gdzieś tam, w górze, żerując na chmurze pyłu, jarząc
się czerwopomarańczowym światłem, płynąc lekko przez
pustkę. Na swój sposób było piękne, mające tylko drobne
niedoskonałości, takie jakie może mieć jedynie prawdziwa
piękność.

Dysponowało też potężną mocą. Nie mocą poruszania gór,
wznoszenia miast czy niszczenia planet — ta była
zarezerwowana dla człowieka. Niemniej miało ją, moc

wchłaniania milionów odłamków śmierci i odrzucania ich prosto w twarz atakującego, moc odesłania najdrobniejszego sygnału zagrożenia temu, kto je wywołał. Nie, żaden normalny człowiek raz tego doświadczywszy nie poddałby się temu ponownie z nieprzymuszonej woli.

I w końcu, z uczciwością niemal zbyt bolesną, żeby ją znieść, przyznał się sam przed sobą do tego, o czym wiedział od miesięcy.

Jemu się to podobało.

ROZDZIAŁ 10

Lane przechodził przez teren uczelni usiłując nie czuć się jak żywy antyk. Zatrzymał parę studentów, spytał o drogę i w końcu dotarł do budynku, którego szukał.

Wjechał ruchomą rampą na szóste piętro, zszedł z niej i ruszył długim, lśniącym, dobrze oświetlonym korytarzem licząc po drodze drzwi. Gdy dotarł do pokoju, o który mu chodziło, zapukał raz i wszedł do środka.

Pokój, chociaż przeładowany książkami, taśmami, papierami i różnego rodzaju przedmiotami należącymi do obcych kultur i technologii, był nawet jeszcze lepiej utrzymany niż korytarz. Przymarszczone białe firaneczki wisiały w oknach, a na rogu zajmującego środek pokoju olbrzymiego biurka stał wazon ze świeżymi kwiatami. Za biurkiem siedziała osoba tak niezwykła, że żaden rysownik komiksów nie odważyłby się kogoś takiego narysować.

Była to drobna, starsza pani. Źle, poprawił się w myśli Lane, była to jedyna w swoim rodzaju Starsza Pani z szopą krótko ostrzyżonych, puszystych, siwych włosów i policzkami cherubinka, mająca na sobie około dwudziestu dodatkowych kilogramów oraz uśmiech, za który większość tkliwych babć oddałyby wszystkie swoje zęby.

— Tak? — spytała podnosząc wzrok. — Czym mogę panu służyć, młody człowieku?

Lane uśmiechnął się.

— Bardzo dawno temu byłem młodym człowiekiem, niemniej dziękuję pani. Szukam Ondyny Gillian.

— Właśnie ją pan znalazł — powiedziała kobieta również się uśmiechając.

— Pani? — zdziwił się Lane. — Nie całkiem tak sobie panią wyobrażałem.

— Wszystkiemu winne imię — wyjaśniła Ondyna kiwając głową radośnie. — Większość ludzi oczekuje, że zobaczy kogoś w rodzaju nieuchwytniej jak błędny ognik morskiej nimfy z muszelkami we włosach.

— Wcale nie — zaprzeczył Lane. — Oczekiwałem sztywnej kobiety o surowych zasadach, która wyrzuci wiadomość ode mnie do kosza na śmieci.

— Wiadomość? — podchwyciła. — W takim razie musi pan być panem Lane.

— Zgadza się — potwierdził Lane. — I, jeśli wolno mi powiedzieć, zupełnie nie przypomina pani zimnokrwistej, pozbawionej emocji kobiety o analitycznym umyśle, która jest autorką przeczytanych przeze mnie monografii.

— Och, dziękuję panu bardzo — powiedziała z błyskiem w oku. — Może przysunie pan sobie krzesło i usiądzie?

Lane zamknął za sobą drzwi i podsunął krzesło w stronę biurka. Gdy usiadł, Ondyna wręczyła mu trójwymiarową fotografię.

— Sześcioro z moich wnuków — rzekła z dumą. — Mój syn, który od czasu do czasu zapomina, że historia naszej rodziny nie rozpoczyna się w dniu jego narodzin, w końcu zdecydował się przysłać mi to dziś rano.

Lane popatrzył na dzieci, z których żadne nie wyglądało nawet w połowie tak słodko i niewinnie jak ich babcia, i wydał z siebie serię odpowiednich, uprzejmych dźwięków.

— Czy mogę poczęstować pana herbatą? — zapytała Ondyna.

— Herbatą? — powtórzył Lane. — Nie piłem herbaty od, och, chyba ze dwudziestu lat. Z wielką przyjemnością.

Zanim jeszcze skończył zdanie, Ondyna pośpieszyła do ściany, odsunęła płytę, chwyciła metalowy czajnik i przelała jego zawartość do małej chińskiej filiżanki.

— Cukier? — spytała stając obok, gdy pociągał pierwszy łyk.

— Prawdę mówiąc nie pamiętam — przyznał się Lane.

— Odradzałabym, źle działa na zęby.

— Na pewno ma pani słuszność — powiedział Lane pociągając następny łyk. — Jest znakomita.

— Jeszcze lepsza jest z cytryną — stwierdziła Ondyna. — Podać panu?

— Nie, dziękuję — odmówił Lane. — Proszę, niechże pani usiądzie.

— Przepraszam — rzekła Ondyna nie wyglądając przy tym ani trochę na skruszoną. — Czasami zbyt się ekscytuję, zwłaszcza odkąd dzieci dorosły i odeszły z domu. Wiem, że jest to uważane za okropnie niewłaściwe, ale ja tak lubię robić coś dla ludzi.

— To wiąże się z celem mojej wizyty — oświadczył Lane. — Potrzebuję pomocy, choć nie związanej z opieką macierzyńską.

— Będę zachwycona, panie Lane — powiedziała Ondyna. — Tak rzadko ktokolwiek, z wyjątkiem od czasu do czasu studentów, zagląda tu do mnie. Z pewnością nie mam zamiaru pana odstraszać, ale czy mogę spytać, po co pan mnie szukał?

— Oczywiście — rzekł Lane. — Z tego co zdołałem ustalić jest pani wiodącym, żyjącym autorytetem starożytnych nie-ludzkich cywilizacji w pobliżu chmury pyłu.

Tak się składa, że jestem niezmiernie zainteresowany tym obszarem.

— Och, nonsens! — wykrzyknęła rumieniąc się lekko. — Przeprowadziłam trochę badań nad cywilizacjami na planetach znajdujących się w tej okolicy, ale z pewnością nie jestem wiodącym autorytetem, nawet biorąc pod uwagę tylko ten uniwersytet. Jestem jedynie starą kobietą, która postanowiła nie usychać w oczekiwaniu, aż jej dzieci przypomną sobie, aby wpaść od czasu do czasu na obiad.

— Jest pani nazbyt skromna — stwierdził Lane.

— Pan jest nazbyt uprzejmy — odparła Ondyna z uśmiechem.

— A tak przy okazji, czy widział pan ją?

— Słucham? — spytał Lane zaskoczony.

— Jak to? Bestię Sennych Życzeń, oczywiście. Czy już pan ją widział, czy też dopiero zamierza pan spróbować ją znaleźć?

Uśmiechnęła się lekko i nałała mu następną filiżankę herbaty.

— Widziałem ją — przyznał Lane i pomyślał, że Ondyna Gillian była nie całkiem taka różowiotka i puszysta, na jaką wyglądała.

— Tak myślałam — powiedziała radośnie.

— Chcę wiedzieć wszystko, co tylko może mi pani o niej powiedzieć — wyznał Lane. — Fakty, opowiadki, mity, legendy, bajki, bez różnicy. Pomyślę nad tym dokładniej później.

— Dlaczego właściwie się pan nią interesuje, panie Lane?

— Jestem myśliwym.

— I chciałby pan zabić Bestię Sennych Życzeń?

— Nie jestem pewien — odparł Lane. — Jak na razie chciałbym się dowiedzieć o niej czegoś więcej.

— Czy jakieś muzeum finansuje pana? — spytała Ondyna.

Pokręcił głową.

— Jestem niezależny. Poza tym żadne muzeum nie miałyby z tego pożytku. Przynajmniej dopóki nie odkryję, jak wypchać i wystawić kulę energii.

— Gdzie ją pan widział?

— Za pierwszym razem koło Pinnipes. Nurkowała wokół czarnej dziury i zgubiłem jej ślad.

— Pierwszy raz? — Ondyna nagle zmarszczyła brwi. W tej samej chwili obdarzyła go uśmiechem, będącym, jak Lane zaczął podejrzewać, maską, za którą ukrywał się umysł znacznie bardziej błyskotliwy, niż starała się to okazywać jego właścicielka.

— Czy widział ją pan jeszcze od tamtej pory?

— Dwukrotnie — przyznał Lane.

— To bardzo interesujące — zauważyła Ondyna. — Czy mogę poczęstować pana babeczką do herbaty?

Lane pokręcił głową.

— No dobrze — powiedziała sprawiając wrażenie zawiedzionej, ale sama wzięła jedną. — Od czego powinnam zacząć? Chyba od początku. Bestia Sennych Życzeń pojawiła się w takiej czy innej formie w dziewięciu różnych kulturach

obszaru chmury pyłu. W każdym przypadku rasy te osiągnęły etap podróży międzygwiazdnych, co oczywiście nasuwa mi wniosek, że bestia nigdy nie zbliża się do układów planetarnych. Czy mogę podać panu poduszkę do siedzenia?

— Nie, dziękuję, bardzo proszę mówić dalej.

— Oczywiście — powiedziała Ondyna obdarzając go kolejnym uśmiechem. — Najstarszy przekaz pochodzi z Lemm, od płazopodobnej rasy, która podróżowała w kosmosie, kiedy człowiek wciąż jeszcze huśtał się na gałęziach i wydłubywał larwy z ziemi — chociaż, w moim przekonaniu, *Australopitecus africanus* nie miał większych talentów do wspinania się na drzewa niż ja. Stopy miał po prostu do tego nie przystosowane. Całe to gadanie o wspinaniu się na drzewa jest nic nie warte, zgadza się pan ze mną?

— Nie mam zdania na ten temat — rzekł, uśmiechając się, Lane. — Pani kończy każdą wypowiedź pytaniem.

— Przepraszam, panie Lane — usprawiedliwiła się Ondyna. — To taki mój mały, nerwowy nawyk. Przypuszczam, że to dlatego, żeby zmusić ludzi do słuchania mnie. Nawet nie ma pan pojęcia, jakie może to być skuteczne, gdy wykładam przed pełną salą znudzonych studentów. Moje dzieci, oczywiście, nie zwracają na to uwagi, ale cóż, nie można mieć wszystkiego.

— Wracając do Lemm — spróbował Lane.

— A tak, Lemm. Ponieważ byli płazopodobni, ich zainteresowanie ograniczało się do planet wodnych, więc dotarli w końcu na Pinnipes II. Oczywiście warunki życia okazały się tam zbyt surowe.

Słyszając to Lane stłumił śmiech pokrywając go niezręcznym kaszlem.

— Ale w którymś momencie podróży natknęli się na formę życia w przestrzeni międzygwiazdnej. Ponieważ nie odkryto

jeszcze żadnego innego stworzenia, które może żyć w próżni, a także widziano je — włączając w to pańskie doświadczenia — w granicach pewnej odległości od układu Pinnipes, jestem przekonana, że to stworzenie było rzeczywiście Bestią Sennych Życzeń.

— Czy pozostawili jakiś jej opis? — spytał Lane.

— Obawiam się, że nie, panie Lane — odparła Ondyna. — Musi pan pamiętać, że ich zainteresowanie Bestią lub czymkolwiek innym nie mającym nic wspólnego z planetami pokrytymi wodą, było tylko marginalne. Natknęłam się na to doniesienie podczas moich lektur i wydedukowałam resztę.

— Jak dawno miało to miejsce?

— Moje badania, czy spotkanie z Bestią? — spytała Ondyna.

— Spotkanie — uściślił Lane.

— Co najmniej milion lat temu, prawdopodobnie bliżej półtora miliona.

— Zbyt dawno — stwierdził Lane.

— Co proszę?

— Chciałbym dojść do tego, ile czasu zajmuje jej zatoczenie pełnego kręgu podczas żerowania — wyjaśnił Lane. — To dałoby mi pojęcie, gdzie mógłbym się na nią natknąć w danym momencie. Jednakże to zbyt dawno. Od tego czasu musiała przemierzyć żerowisko tam i z powrotem wiele razy. Proszę mówić dalej.

— Następne wiarygodne doniesienie pochodzi od Dorna z układu planetarnego Belore — powiedziała Ondyna.

— Czy w wojnie parę tysięcy lat temu nie wytłukiliśmy ich do nogi? — zdziwił się Lane.

— Prawie — wyjaśniła Ondyna. — Jednostki przetrwały i resztką tej rasy żyje nawet do dziś, chociaż wydaje mi się, że pozostało ich tylko około setki.

— Co oni mieli do powiedzenia o Bestii? — spytał Lane.

— Całkiem sporo — odpowiedziała Ondyna. — W gruncie rzeczy wygląda na to, że zbudowali całą swoją kulturę bazując na Bestii Sennych Życzeń.

— Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? — Lane był szczerze zdumiony.

— Miałam nadzieję, że to pan mógłby coś na ten temat zasugerować — przyznała Ondyna. — Wygląda na to, że Dornowie i Bestie Sennych Życzeń byli odwiecznymi wrogami, przynajmniej tak twierdzą Dornowie.

— Bestie Sennych Życzeń? — zdziwił się Lane. — To było ich więcej niż jedna?

— Oczywiście — odpowiedziała Ondyna. — Wydaje się, że tworzyły całą rasę. Historia Dornów jest tu niejasna, czego należało oczekiwać po tak długim czasie, ale wydaje się, że w pewnym okresie Dornowie zaczęli polować na bestie, prawdopodobnie traktując to jako rytualną ceremonię inicjacyjną. Według wszystkich źródeł, które odnaleziono, byli przekonani, że wybili je do ostatniej sztuki. Gdy natknęłam się na doniesienia innych kultur na temat Bestii Sennych Życzeń, założyłam, że były one tylko mitami opartymi na legendach Dornów. Jednak zbyt wiele razy widzieli ją członkowie naszej rasy, którzy nie mogli mieć żadnego kontaktu z kulturą Dornów, zaczęłam więc podejrzewać, że co najmniej jedna uszła z życiem.

— Jakiej broni używali? — spytał Lane.

— Dornowie? Nie mam pojęcia. Nigdy się tym nie interesowałam, panie Lane. Tak czy inaczej, kiedyś w czasie lub tuż po rzezi w kulturze Dornów nastąpiła drastyczna zmiana. Zaczęli być rasą wyznawców śmierci. Nie życia po śmierci jak starożytni Egipcjanie, ale śmierci jako końca

samego siebie. Myślę, że są jedyną tego rodzaju kulturą w całej znanej części galaktyki.

— Bestia Sennych Życzeń jest najczęściej wymienianym imieniem tego stworzenia. Skąd się ono wzięło?

— Tak naprawdę nie wiem tego na pewno — przyznała Ondyna. — Stara legenda mówi o statku pełnym ludzi-zwiadowców, którzy natknęli się na nie wieki temu. Podobno stworzenie w jakiś niewiadomy sposób wywoływało tak potworne sny i koszmary, że albo tracili zmysły, albo umierali. Jest to absolutnie nie potwierdzone i ani trochę nie wierzę w tę bajkę — przerwała na moment dla złapania tchu, rzucając mu szybkie spojrzenie. — Ale legenda powtarzana przez kilka stuleci może zaowocować nie tylko taką nazwą jak Bestia Sennych Życzeń, lecz także Handlarz Śmierci. Jeśli chodzi o Latarnika Słońc i inne nazwy, to nie mam żadnych informacji o ich pochodzeniu. Musi pan pamiętać, panie Lane, że stworzenie to jest na marginesie moich zainteresowań, nigdy nie próbowałam go badać i wiem o nim tyle, na ile wiąże się z kulturami, które studiuje.

— Może pani dodać jeszcze jedno imię do tej listy — powiedział Lane. — Pyłóżerca.

— Pyłóżerca — powtórzyła. — Tak, to niewątpliwie pasuje, prawda? I oczywiście jest bardzo barwne. Całkowicie je akceptuję, panie Lane. Czy to pan mu je nadał?

— Nie, ja w ogóle nie nazywam tego stworzenia. Imię to wymyślił człowiek, którego bestia zabiła. Nawet nie znałem jego imienia.

— Jaka szkoda — westchnęła Ondyna szczerze. — Czy był pan przy tym?

Skinął głową.

— Dlaczego pan również nie zginał, jeśli wolno mi spytać?

— Był starym, steranym człowiekiem — wyjaśnił Lane.

— Mógł być pan powiedzieć, że to pan był młodym, pełnym wigoru człowiekiem — rzekła Ondyna — ale zostawmy to.

— Nie chciałem okazać braku szacunku — usprawiedliwił się Lane.

— Wiem. — Ondyna ponownie przywołała uśmiech na twarz.

— Jestem trochę przewrażliwiona. Czy może mi pan powiedzieć, jak zginął pana towarzysz?

— Bestia posługuje się chyba mechanizmem obronnym, z jakim do tej pory nigdy się nie spotkałem — zaczął Lane i zrelacjonował ich ostatnie spotkanie ze stworzeniem w szczegółach, włączając śmierć Marinera. Pomiął tylko swoją własną reakcję.

— Fascynujące! — wykrzyknęła Ondyna. — I, rzeczywiście, to w dużym stopniu wyjaśnia legendę o zwiadowcach, którzy tracili zmysły. — Jednakże — dodała marszcząc brwi — to w ogóle nie wyjaśnia kultury Dornów, nieprawdaż?

— Chyba nie — zgodził się Lane.

— Czy jest coś, co pan może mi powiedzieć o Bestii Sennych Życzeń?

— Stworzenie ma około siedmiu kilometrów średnicy, jest mniej więcej kuliste, nie widać żadnych organów zmysłów czy służących do poruszania się. Pulsuje mętnawym światłem barwy czerwonopomarańczowej, emituje podczerwień i jest w pełni zdolne do osiągnięcia prędkości światła.

— I oczywiście Biblia zaaprobowałaby je — powiedziała Ondyna.

— Obawiam się, że nie całkiem panią rozumiem — oświadczył Lane.

— W jakikolwiek sposób go pan zrani, wróci to zaraz do pana — wyjaśniła Ondyna. — Nie mogę sobie wyobrazić lepszej ilustracji starego powiedzenia „oko za oko, ząb za ząb”.

— Być może — zgodził się Lane.

Ondyna zerknęła na staroświecki zegarek.

— O mój Boże! — wykrzyknęła. — Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno. Obawiam się, że muszę uciekać, panie Lane. Jutro są urodziny mojej najstarszej wnuczki, a ja właściwie nie kupiłam jej jeszcze żadnego prezentu.

— Ile ma pani wnuków? — spytał Lane.

— Jedenaścioro — odparła z dumą.

— Kupowanie prezentów dla wszystkich musi być nie lada wydatkiem.

— A od czego jest babcia? — uśmiechnęła się. — Poza tym gdyby nie ja, ich rodzice nie pamiętaliby ani o ich urodzinach, ani o świętach.

Zmarszczyła perkaty nossek w zamyśleniu, po czym wyciągnęła kawałek papieru, coś na nim napisała i wręczyła go Lane'owi.

— Na pewno będzie pan chciał rozmawiać z Dornem — powiedziała. — Ludzkość niewiele może od nich oczekiwać, ale to powinno posłużyć jako list polecający do jednego z nich, który okazał się dość pomocny w moich badaniach. Nazywa się Vostuvian.

— Dziękuję — rzekł Lane.

Spojrzał na kartkę, ale nie był w stanie przeczytać z niej ani słowa.

Kiedy Lane ruszył do drzwi, Ondyna pośpiesznie myła filiżankę i zmiatała kilka okruszków sprzed pojemnika na ciastka.

— A, panie Lane! — zawołała za nim.

— Tak? — odwrócił się do niej.

— Chmura pyłu ma tryliony trylionów kilometrów sześciennych objętości, prawda?

Lane skinął głową.

— Szanse na spotkanie się dwóch rzeczy, nawet gwiazd, w obrębie chmury są astronomicznie małe, czyż nie tak?

— Tak.

— W takim razie — powiedziała biorąc ściereczkę i wycierając biurko — myślę, że na pańskim miejscu zadałabym sobie pytanie, dlaczego spotkałem Bestię Sennych Życzeń już trzy razy.

ROZDZIAŁ 11

Belore była brudną planetą, brudną, suchą i zakurzoną. Tu i ówdzie można było znaleźć nieco wody, zaledwie dosyć do podtrzymania życia. Kiedyś było jej więcej, kiedyś były tu roziskrzane światłami miasta tętniące życiem, w których kwitły rzemiosło i handel, a mieszkańcy planety przemierzali ulice i żyzne równiny dumni, szczęśliwi i pełni nadziei. Teraz miasta zamieniły się w rozpadające się ruiny, handel stał się odległym wspomnieniem, a mieszkańcy nędzną pozostałością niegdyś silnej i prężnej rasy.

Lane przedarł się przez zakurzone pole do małego rzędu szałasów zbudowanych z suszonych cegieł. Było ich czterdzieści jeden i zamieszkiwali je ostatni z rasy Dornów. Gdzieś na planecie była jasno oświetlona Osada Handlarzy

oraz kilka rafinerii rudy i hut, lecz Dornowie nie byli zainteresowani kontaktami z żadną z obcych ras, które osiedliły się na ich planecie. Oni po prostu siedzieli, jedli, spali i czekali na śmierć ostatniego przedstawiciela ich gatunku.

Gdy Lane dotarł do najbliższego szałas, po raz pierwszy zobaczył Dorna. Płci męskiej, zaskakująco humanoidalny z wyglądu, około dwóch metrów wzrostu, niewiarygodnie chudy, łysy, o olbrzymich, wyłupiastych oczach i dużych, szeroko rozstawionych nozdrzach. Każda dłoń zaopatrzona była w trzy palce i dwa przeciwstawne kciuki, stawy rąk i nóg znajdowały się bardzo blisko dłoni i stóp, ale całość sprawiała dość harmonijne wrażenie.

Lane podszedł do Dorna.

— Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć Vostuviana? — spytał.

Dorn po prostu patrzył na niego.

Lane spróbował jeszcze raz w języku Ziemi, potem powtórzył pytanie w galaktyckim, canforiańskim, dwóch dialektach terrazańskich, a nawet w barbarzyńskiej gwarze humanoidów, która narodziła się na peryferiach.

Dorn w ogóle nie zareagował.

— Vostuvian — powtórzył, tracąc cierpliwość.

Bez odpowiedzi.

Postanowił właśnie chodzić od szałas do szałas, aż znajdzie Dorna, który zareaguje na nazwisko, gdy usłyszał cichy głos, niemal szept gdzieś zza pleców.

— Ja jestem Vostuvian.

Odwrócił się i znalazł twarzą w twarz z Dornem. W pierwszej chwili wyglądał identycznie jak poprzedni, lecz po bliższym przyjrzeniu się zdołał dostrzec drobne różnice pomiędzy nimi.

No i oczywiście szmaty noszone przez nich różniły się kolorem i długością.

— Mówisz ziemskim?

— Kiedy muszę — powiedział Vostuvian. — Wolałbym nie, lecz nie sądzę, abyś władał belorańskim.

— Jeszcze nie — odparł Lane.

Vostuvian zrobił lekki ruch, zakołysał biodrami, przy całkowicie nieruchomej reszcie ciała i natychmiast drugi Dorn odszedł pozostawiając ich samych.

— Kim jesteś? — spytał Vostuvian półszepem, który Lane uznał za normalny głos Dorna. Był tym zaskoczony, ponieważ uszy Dornów stanowiły małe otwory po obu stronach głowy, bardzo małe otwory.

— Skąd znasz moje nazwisko i jaki masz interes do rasy Dornów?

Lane wyciągnął notatkę Ondyny i podał ją Dornowi, który spojrzał na nią pobieżnie i upuścił na ziemię, skąd zwiął ją gorący wiatr.

— Co cię interesuje w *straigorze*?

— Co to jest *straigor*? — spytał Lane. — Czy to twoja nazwa Bestii Sennych Życzeń?

— Nie — odparł Vostuvian. — Bestia Sennych Życzeń to twoja nazwa *straigora*. Jednakże z uprzejmości będę używał twojej nazwy. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Jestem myśliwym — powiedział Lane. — Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tym stworzeniu.

— Spóźniłeś się — stwierdził Vostuvian. — Ostatnia Bestia Sennych Życzeń została zabita przez moją rasę wiele wieków temu.

— Nie całkiem — rzekł Lane. — Widziałem jedną mniej niż sześć miesięcy standardowych temu.

— Niemożliwe — stwierdził Vostuvian. — Opisz ją.
Lane zrobił to z najdrobniejszymi szczegółami. Gdy skończył, usiłował dopatrzeć się najdrobniejszej choćby zmiany w postawie Vostuviana. Nie dostrzegł nic.

— To była Bestia Sennych Życzeń — powiedział Dorn. Usiadł w kurzu. Lane zrobił to samo.

— Teraz oczywiste pytanie: pomoc dla którego z was — dla ciebie przez działanie, czy dla Bestii Sennych Życzeń przez jego zaniechanie — jest mi mniej wstrętne?

Zamknął oczy i siedział nieruchomo przez dobre trzy minuty, nawet nie oddychając. W końcu zwrócił się do Lane'a.

— Co chcesz wiedzieć?

— Jak mogę zabić Bestię Sennych Życzeń samemu przy tym nie ginąc?

— Niegdyś przed tym samym problemem stanęła moja rasa — powiedział Vostuvian. — Z początku w ogóle nie byliśmy zdolni do zgładzenia Bestii Sennych Życzeń. Później, po dokładniejszym ich zbadaniu, opracowaliśmy broń, która je zabijała, lecz zabójca również ginął. W końcu udoskonaliśmy broń na tyle, że niszczyła je dostatecznie szybko, aby nie były w stanie przekazać atakującemu śmiertelnej dawki swego bólu.

— Jak działa ta broń? — spytał Lane.

— Kiedy została doprowadzona do perfekcji — odrzekł Dorn — była pierwszym, i chyba jedynym urządzeniem, w którym praktycznie wykorzystano prawa entropii.

— Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej?

— Bestia Sennych Życzeń jest formą życia zbudowaną z energii. Nasza broń zmniejszała gęstość tej energii, odprowadzając ją i rozpraszając. W efekcie, przez odbieranie im wewnętrznej energii, sprowadzaliśmy te stworzenia do najniższego poziomu energetycznego wszechświata.

— Tak po prostu? — spytał Lane z uśmiechem.

— Tak po prostu — potwierdził Vostuvian obojętnie.

— Przypuszczam, że nie macie pod ręką egzemplarza tej broni entropowej?

Vostuvian wskazał na żaloszny ciąg szalaszów.

— Jak sądzisz?

— Czy ktokolwiek wśród Dornów zna zasady budowy tej broni? — zapytał Lane.

— Tak — odparł Vostuvian.

— Ty?

— Tak — powtórzył Vostuvian.

— Dlaczego jej nie zbudowałeś?

— Po co? — spytał Vostuvian. — Za sto lat moja rasa wymrze niezależnie od tego, czy zbudowałbym ją, czy nie.

Lane poskrobał się po głowie próbując pojąć mentalność rasy, która dysponowała sekretem właśnie opisanej mu broni. Broni, która niewątpliwie mogła przepędzić na zawsze wszystkich obcych najeźdźców z powierzchni Belore. A tymczasem Dornowie zamiast zbudować ją wybrali gromadną wegetację w brudzie i zaniedbaniu. Nagle Vostuvian stał się bardziej obcy.

— Jeśli dostarczyłbym materiały, czy mógłbyś zbudować dla mnie tę broń?

— Tak — potwierdził Vostuvian.

— Czego będziesz potrzebował?

Vostuvian wyrzucił z siebie listę niezbędnych elementów.

— Zbyt kosztowne — powiedział Lane. — A także zdobycie tego wszystkiego zajęłoby zbyt dużo czasu. Może powinienem trzymać się wibratora?

— Co to jest wibrator? — spytał Vostuvian.

Lane wyjaśnił mu zasady działania broni.

— Nawet w przestrzeni jej zasięg skuteczny wynosi około dwudziestu tysięcy kilometrów, pewnie nieco więcej, i jej wiązka uderza z siłą kafara.

— Nie można zabić Bestii Sennych Życzeń za pomocą wibratora — stwierdził beznamiętnie Vostuvian.

— Już zniszczyłem jej małe fragmenty — zaproponował Lane.

— Nie zniszczyłeś — odparł Dorn.

— Owszem — upierał się Lane. — Czułem to.

— Co skłania cię ku przekonaniu, że ty i Bestia Sennych Życzeń tak samo odbieracie wrażenia? — spytał Vostuvian.

— Co masz na myśli? — zaniepokoił się Lane, nagle zaczynając rozumieć.

— To, co ty odczuwasz jako gorąco, dla stworzenia tak odmiennej budowy jak Bestia Sennych Życzeń może być wrażeniem zimna, wilgoci albo jakimś kompletnie niepojętym. Twój głód może być dla niej sennością, twoja agonia jej łagodną stymulacją.

— Interesująca hipoteza, nic więcej — skwitował Lane. — Wiem, co czułem.

— To nie hipoteza — zaprzeczył Vostuvian. — To fakt. Nawet nie masz pojęcia, co naprawdę czułeś.

Zrobił małą przerwę, potem mówił dalej.

— Bestie Sennych Życzeń nie mają gęstości większej niż chmury pyłu, które podtrzymują ich istnienie. Bardzo rzadko zbliżają się do planet. Nie mogą wyrządzić nam żadnej fizycznej krzywdy. Jak myślisz, dlaczego moja rasa zdecydowała się rozpętać wojnę na wyniszczenie przeciwko nim?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Lane.

— Ponieważ, zabójco zwierząt, fizyczna krzywda jest najmniejszym złem spośród cierpień, jakie mogą spotkać

rozumną istotę. Reagujemy o wiele silniej na bodźce mentalne i emocjonalne. Wczesne typy broni Dornów były podobne do twojego wibratora i reakcje tych stworzeń były podobne, o ile nie identyczne z okazanymi przez spotkaną przez ciebie Bestię. My także sądziliśmy, że doświadczamy ich przedśmiertelnych mąk.

Vostuvian znów zamknął oczy, sztywno zamierając w bezruchu za wyjątkiem niewielkich poruszeń palca u stopy. Potem, jakby nic się nie wydarzyło, rozluźnił się, otworzył oczy i mówił dalej.

— Uzależniliśmy się od tego, co uważaliśmy za zapowiedź śmierci. Wstrząsnęło to nami, lecz również zrodziło pożądanie następnych spotkań. Cała nasza kultura zaczęła ewoluować i przekształcać się w dziwny twór czczący śmierć i gardzący życiem, ponieważ nic z wcześniejszych doświadczeń naszej rasy nie wpłynęło na nas równie silnie, jak oznaki agonii emitowane przez Bestię. Potem, wiele tysięcy lat później, znaleźliśmy pierwsze, niezdarne egzemplarze broni opartej na prawach entropii.

One naprawdę zabijały Bestię, a nas wraz z nimi. Nie było najmniejszego podobieństwa pomiędzy tym, co odczuwaliśmy przedtem, a tym, co czuliśmy teraz. Właśnie wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że nasze wcześniejsze rodzaje broni nie czyniły tym stworom najmniejszej krzywdy.

— To co one robiły? — spytał Lane, czując bolesną pustkę gdzieś koło żołądka.

— Sprawiały im przyjemność — wyjaśnił Vostuvian.

— Dawały im niewyobrażalną rozkosz, i w rezultacie sprawiały nam równie niewyobrażalną rozkosz. Patrząc wstecz, powinniśmy byli zdać sobie z tego sprawę. Nie ma radości czy przyjemności w śmierci, która jest końcem

wszystkiego, jednak nigdy wcześniej nie doświadczyliśmy emocji innej rasy i błędnie poczytywaliśmy ekstazę za cierpienie, zmysłowość za chorobę. Czy rozumiesz, co ci powiedziałem?

— Tak — odparł Lane.

W tej samej chwili znalazł odpowiedź na pytanie Ondyny Gillian, dlaczego już trzykrotnie odnalazł Bestię Sennych Życzeń. To ona odnalazła jego.

Wpatrywał się w ziemię przez długi czas próbując zebrać myśli i przeanalizować swoje uczucia. Wystarczająco trudno było mu się przyznać do jakiegoś perwersyjnego dreszczyku wywołanego śmiercią, pomimo że zarabiał na życie zabijaniem zwierząt. Ale to było coś całkowicie innego, coś, czemu nie był gotów stawić czoła.

Nagle zalała go fala wściekłości i nienawiści. A kiedy furia wrzała w nim, zmiatając na bok wszystkie inne emocje, zanim zdążył je uporządkować, poczuł nagłą wspólnotę z Vostuvianem. Teraz wiedział, czemu Bestie Sennych Życzeń stały się śmiertelnymi wrogami Dornów, i wiedział też, że jedyny żyjący stwór stał się również jego śmiertelnym wrogiem.

— To zajmie około dwóch lat — powiedział na głos.

— Przyślesz mi materiały do budowy broni entropowej — rzekł Vostuvian. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

— Tak. Ile policzysz sobie za budowę?

— Nic. Śmierć Bestii Sennych Życzeń będzie wystarczającą zapłatą. Polecę z tobą.

— Nie ma mowy — odmówił Lane.

— Jak ją znajdziesz? — spytał Vostuvian.

— Nie będę musiał — odparł Lane powstrzymując dreszcz. — Ona mnie odnajdzie.

— Nie, jeśli będziesz miał na pokładzie broń entropową — zaprzeczył Dorn. — Ona wie.

Lane z powagą, długo patrzył na Vostuviana.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć? — zapytał w końcu.

— Jeżeli potrafisz wymyślić jakikolwiek powód, dla którego miałbym ci kłamać, to nie powinienes mi wierzyć — oświadczył Vostuvian.

— Może chcesz sam ją zabić — zasugerował Lane.

— Skoro tak, dlaczego miałbym w ogóle mówić ci o broni entropowej? — odparł Dorn.

— Żeby namówić mnie do zabrania cię ze sobą — stwierdził Lane.

— Nie myślisz normalnie — powiedział Dorn.

— Może i nie — zgodził się Lane. — Lecz i tak nie polecisz ze mną, to moje ostatnie słowo.

— Nie dasz rady zabić Bestii Sennych Życzeń beze mnie.

— Znajdę ją na pewno — stwierdził Lane ponuro.

— Nie powiedziałem, że jej nie znajdziesz — odparł Vostuvian. — Powiedziałem, że nie będziesz w stanie jej zabić.

— Miej tylko tę broń gotową, kiedy będę jej potrzebował — powiedział Lane.

Wstał, otrząpał się z kurzu i odszedł.

— Dwa lata, trzy lata, tuzin — wyszeptał Vostuvian za oddalającą się postacią. — Prędzej czy później będziesz mnie potrzebował i ja będę tu, będę czekał.

Jego słowa zawisły w czasie i przestrzeni, podczas gdy Lane szedł do „Śmiercionośnego”.

ROZDZIAŁ 12

„Śmiercionośny” już dwa lata cicho przemierzał pustkę.

W ciągu ostatnich dwudziestu standardowych miesięcy lądował trzykrotnie: raz, aby zakupić większość elementów niezbędnych do budowy broni entropowej, raz, aby przesłać je na Belore i raz, aby zamknąć kilka kont bankowych przy okazji tankowania paliwa. Teraz statek kierował się z powrotem na Northpoint, gdzie ulokowana była reszta pieniędzy Lane’a.

To była długa podróż. Dwukrotnie wydawało mu się, że widzi Bestię Sennych Życzeń, ale mylił się w obu przypadkach. Nawet Mufti był znudzony tak bardzo, że Lane zaaplikował mu dwa okresy pogłębionego snu, po sto dni każdy. Wolałby, żeby istniał jakiś mniej uciążliwy sposób dobrania się do swoich pieniędzy. Niestety, finansjera Demokracji nie prowadziła ożywionych kontaktów ze światami pogranicza, szczególnie tymi, które nie akceptowały kredytów, wobec czego nie pozostało mu nic innego jak podjąć pieniądze osobiście. Spędzał więc długie godziny rygorystycznie przestrzegając rozkładu dnia, usiłując nie poddać się nudzie i próbował ignorować koszmary, które od dłuższego czasu dręczyły go i na jawie.

Tymczasem gdzie indziej zachodziły ważne wydarzenia. Demokracja powoli zaczynała się kruszyć. Kredyt miał pokrycie najpierw w uranie, potem w platynie, aż w końcu jedynie w zaufaniu i wierze, a tych, oczywiście, nie było w nadmiarze. Strajk Zrzeszonych Górników spowodował nieomal unieruchomienie na ponad miesiąc części galaktyki kontrolowanej przez ludzi, dopóki przyparty do muru rząd nie ugiął się pod ich naciskiem. W końcu opracowano metodę

leczenia eplazji, choroby krwi, która pojawiła się trzy stulecia wcześniej i szeroko się rozprzestrzeniła. Dalszych dwieście siedemdziesiąt osiem form życia, włączając świrowije, zostało wytępionych, a sto szesnaście nowych odkryto na planetach pogranicza.

Lane o tym wszystkim nie wiedział i nie dbał o to. Rządami nie interesował się bardziej niż one nim. Nie miał żadnych pieniędzy w kredytach. Choroby były dlań ważne tylko wtedy, gdy się jakąś zaraził. Górnicy nie mieli bezpośredniego wpływu na jego życie. A jeśli chodzi o wymarłe gatunki — cóż, dopóki będą zastępowane przez nowe, nie będzie narzekał na brak pracy.

W gruncie rzeczy i teraz nie mógł się uskarżać na jej brak. Syndykat Vainmill dwukrotnie poniósł ogromne koszty kontaktując się z nim w kosmosie, żeby złożyć zamówienia na określone gatunki zwierząt do ich muzeów. Przyjął obydwie zlecenia, ale jak dotąd żadnego nie zaczął realizować.

Od ponad dwóch lat jego uwagę zaprzętało jedynie zniszczenie Bestii Sennych Życzeń. Najpierw musiał dostać broń — nazwał ją już diluterem — a potem użyć jej przeciw swojej ofierze. Dopiero potem mógłby pozbierać resztki swojej kariery, jeśliby się udało odsprzedać broń po cenie kosztów, i raz jeszcze zdusić swoje emocje zajmując się wyszukanyimi formami rzezi.

Lane rzucił okiem na tablicę wskaźników po raz chyba milionowy. Jeszcze dwadzieścia siedem dni do Northpoint. Najwyższy czas, żeby w końcu zawinąć do portu, popić trochę, pospać w prawdziwym łóżku zamiast w hamaku i jeść prawdziwe jedzenie spłukując je litrem czy dwoma najlepszego piwa Tchaki. Trochę odpoczynku, trochę świeżego

powietrza, może dzień lub dwa z kobietą i będzie gotów do przygotowania końcowego etapu polowania.

I wtedy je zobaczył.

Nie wiedział, skąd nadciągnęło i co porabiało tak daleko od chmury pyłu, czy go śledziło, czy miało zamiar zaatakować. Ale było tam, w odległości siedemdziesięciu tysięcy kilometrów po prawej stronie dziobu, prawie 60 stopni poniżej statku.

Przeklął pod nosem i postanowił utrzymać kurs „Śmiercionośnego”. Stworzenie zbliżyło się na odległość około pięćdziesięciu tysięcy kilometrów.

Sprawdził czujniki, aby upewnić się, że główna tablica wskaźników nie pokazuje jakiegoś statku. Ale była to naprawdę Bestia. Zastanawiał się przez chwilę, po czym zwiększył szybkość „Śmiercionośnego” do maksimum. Stworzenie utrzymało dystans.

Pędzili tak sześć godzin. Potem stworzenie powoli i łagodnie zaczęło zmniejszać dystans pomiędzy nimi. Lane próbował robić uniki, ale bezskutecznie.

Gdy stworzenie zbliżyło się na dwadzieścia tysięcy kilometrów zaczął odczuwać napięcie, ale nie był w stanie powiedzieć, czy to jego własne emocje, czy Bestii. Jednak niezależnie od swego źródła potężniały z sekundy na sekundę i zabarwiały się dreszczykiem oczekiwania.

Energicznie potrząsnął głową i zaczął śpiewać na całe gardło usiłując zagłuszyć te uczucia, ale bezskutecznie.

Naraz stworzenie znalazło się w obrębie piętnastu tysięcy kilometrów od statku, potem dwunastu i Lane uświadomił sobie, że nie ma szans na dotarcie na Northpoint bez starcia z Bestią. Cały był zlany potem, dygotał i najpierw zapomniał słów, a później melodii wywrzaskiwanej piosenki.

Chociaż wiedział, że to bezcelowe, wycelował działo laserowe w Bestię i wypalił. Potem, z tym samym poczuciem bezsensowności swoich poczynań, strzelił z implodera molekularnego.

— Idź precz! — wrzasnął do głównego ekranu, na którym bestia właśnie zaczęła być widoczna. — Nie jestem gotów do walki z tobą!

Ale stworzenie nie odleciało. Zbliżyło się, pulsując, na odległość sześciu tysięcy kilometrów. Lane zmniejszył szybkość „Śmiercionośnego” prawie do zera, mając nadzieję, że stwór przemknie obok dając mu w ten sposób czas na manewry, ale Bestia tego nie zrobiła. Zatrzymała się niemal równie sprawnie jak statek i teraz unosiła się w odległości mniejszej niż pięć tysięcy kilometrów.

Odczucia Lane’a nie różniły się od tych, których doświadczył przy poprzednim spotkaniu, ale teraz, gdy umiał je zinterpretować, czuł się zbrukany. Znowu strzelił z działka laserowego i znowu nie było żadnej reakcji.

I wtedy, wydając z siebie charczący dźwięk, coś pośredniego pomiędzy krzykiem a szlochem, nacisnął spust wibratora.

Wstrząs emocjonalny był równie silny jak poprzednio, lecz tym razem doszedł do siebie zaledwie po minucie czy dwóch. Spojrzał na wskaźniki i zobaczył stworzenie oddalające się równie szybko jak poprzednio.

Padł na krzesło uświadamiając sobie, że przez wiele minut stał, i zaczął dygotać. Tym razem, wiedział to na pewno, dreszcze były generowane przez jego ciało, nie były mu przekazane z zewnątrz.

Stworzenie uciekało i lada moment miało znaleźć się poza zasięgiem czujników „Śmiercionośnego”. Umysł i emocje Lane’a znów należały do niego i położenie statku w kurs na

Northpoint byłoby kwestią sekund. Stworzenie mogło poczekać, dopóki nie będzie odpowiednio uzbrojony. Najważniejszą rzeczą było teraz dostać się na Northpoint i podjąć pieniądze niezbędne do ukończenia konstrukcji dilutera.

Lecz gdy sięgał do przyrządów nawigacyjnych wiedział, że wcale nie leci na Northpoint.

ROZDZIAŁ 13

Lane, milczący i nieruchomy, siedział w swoim biurze. Oczy miał otwarte, wpatrzone w jakiś niezmiernie odległy, widoczny tylko dla niego punkt. Mufti wczepił się w sufit cicho gaworząc do siebie. W sąsiadującym z biurem hangarze trzech mechaników pracowało przy „Śmiercionośnym”.

Ktoś zapukał do drzwi. Lane ani drgnął i pukanie stało się bardziej natarczywe. W końcu drzwi otwarły się ukazując Tchakę w całej jego wielobarwnej, metalicznej krasie.

— Nicobarze! — zawołał silnym, huczącym głosem.

Lane spojrzał na niego bez słowa.

— To już pięć lat — powiedział Tchaka. — Kiedy przyleciałeś?

— Dzisiejszej nocy — odparł Lane.

— I nie zajrzałeś do baru Tchaki?

— Nie byłem spragniony.

— To chodź teraz — zaproponował Tchaka. — Pierwszy drink zawsze jest na koszt zakładu.

— Nie piję — rzekł Lane.

— Musiałeś zwariować w próżni — zaśmiał się Tchaka. — Najwyższy czas odzyskać grunt pod nogami.

Podszedł bliżej i w półmroku przypatrzył się Lane'owi z bliska. Włosy łowcy, niegdyś brązowe, gęste, grube, faliste były teraz rzadkie i posiwiałe. Oczy miał wpadnięte i podkrążone, ciało wychudłe i niedożywione, palce długie, przypominające szpony, kości policzkowe wystające, obciągnięte pergaminową skórą.

— Co się, u diabła, z tobą stało, Nicobarze? — zapytał Tchaka.

— Nie poznałbym cię, gdybyś wszedł do baru.

— Pięć lat to szmat czasu — rzekł Lane. — Ludzie się zmieniają.

— Nie w ten sposób — zaprzeczył Tchaka. — Co się stało?

— Nic.

— To dlaczego pozbywasz się wszystkiego? — spytał Tchaka.

— Nic nie może zdarzyć się w Piekielnym Porcie, żeby Tchaka o tym nie wiedział. Gdy tylko o tym usłyszałem, byłem pewien, że jesteś w mieście i gdy nie znalazłem cię u siebie przyszedłem tutaj. Po co ci tyle pieniędzy, Nicobarze?

— Nie twoja sprawa — powiedział Lane.

— Nie mogę się z tobą zgodzić, Nicobarze. — Tchaka uśmiechnął się. — Wszystko, co może kosztować mnie dobrego klienta, to moja sprawa, a jeśli wydasz te pieniądze gdzie indziej, nie będziesz mógł wydać ich u mnie.

— Mam niejasne przeczucie, że bar Tchaki przetrwa bez moich pieniędzy — stwierdził Lane.

— To prawda — przyznał Tchaka. — Ale Tchaka nie zrezygnuje bez walki z robienia z tobą interesów. Co ci się przydarzyło?

— Nic — odrzekł Lane. — Dlaczego, u diabła, po prostu się stąd nie wyniesiesz?

— Bo mam ochotę na rozmowę — powiedział Tchaka.

Podszedł do ściany, zdjął ze stojaka z bronią miotacz ultradźwiękowy Lane'a i zmiął go w prawej dłoni w bezkształtną bryłę metalu.

— Czy utniemy sobie teraz pogawędkę, Nicobarze?

— Nie, dopóki nie zapłacisz za mój miotacz — odparł Lane.

— Dam ci za niego dwa razy więcej niż cena rynkowa — rzekł Tchaka.

Rozejrzał się za krzesłem stwierdzając, że Lane siedzi na jedynym i zadowolili się wygodnym oparciem o ścianę.

— Ostatni raz, gdy cię widziałem, byłeś zagrzebany w stosie starych, rozpadających się map gwiazdnych. O ile pamiętam, chodziło o Bestię Sennych Życzeń. Znalazłeś ją w ogóle?

Lane skinął głową.

— Zabiłeś ją?

— Nie.

— Musi to być nie lada bestia, skoro Nicobar Lane nie może jej zabić.

— Zabiję ją, na pewno — powiedział Lane po raz pierwszy wykazując jakiekolwiek emocje.

— Czy właśnie to teraz robisz? — spytał Tchaka. — Zbierasz pieniądze, które mają ci pomóc ją zabić?

Lane ponownie skinął głową.

— Niezbędna jest specjalna broń. Muszę ją skonstruować.

— Najpierw będziesz musiał odnaleźć Bestię Sennych Życzeń — stwierdził Tchaka. — A to jest wielka galaktyka.

— Znajdę ją — powiedział Lane ponuro.

— To, że widziałeś ją raz czy dwa, nie znaczy, że możesz odnaleźć ją na życzenie.

— Nie raz czy dwa — zaprzeczył Lane. — Dziewięć razy.

— Dziewięć? — powtórzył Tchaka wpatrując się w jego nie widzące, nawiedzone oczy.

— Dziewięć — potwierdził Lane. — Dwa zanim stąd odleciałem ostatnim razem, raz pomiędzy tym odlotem a Lodin... — Jego zamierający głos na moment ucichł.

— A potem sześć razy odkąd opuściłem Belore.

— Belore? — zdziwił się Tchaka. — Na co można polować na Belore?

— Na nic.

— To co tam robiłeś?

— Spotkałem się z istotą, która potrafi zbudować broń.

— Czy skończyła ją?

— Nie wiem.

— To niepodobne do ciebie, Nicobarze — stwierdził Tchaka.

— Pozostawałeś do tej pory przy życiu dzięki zwracaniu uwagi na szczegóły, a teraz mówisz mi, że nawet nie wiesz, czy twoje narzędzie do zgładzenia mrzonek już zostało zbudowane. Jak długo ten Belorańczyk powinien nad tym pracować?

— Około czterech lat — rzekł Lane.

— Cztery lata to szmat czasu — powiedział Tchaka.

— Powinna być już gotowa.

— Tak sędzę.

— Dlaczego więc jeszcze jej nie masz?

— Nie kontaktowaliśmy się w ciągu ostatnich dwóch lat — wyznał Lane.

— To gdzieś ty był?

— W przestrzeni.

— I co robiłeś?

— Nie pytaj — rzekł Lane. — Daj sobie z tym spokój, Tchaka.

— A zatem widziałeś Bestię Sennych Życzeń sześć razy w ciągu ostatnich dwóch lat. — Tchaka uśmiechnął się. — No więc? Dlaczego uganiaasz się za nią, jeśli nie możesz jej zabić?

— Zamknij się — powiedział Lane miękko.

— Wydaje mi się to marnotrawstwem — oświadczył Tchaka.

— Pomyśl o pieniądzach, które zmarnowałeś na paliwo i żywność. Byłbyś dużo lepiej sytuowany, gdybyś wydał je tutaj, Nicobarze. Żaden potwór z próżni rodem nie jest w stanie dostarczyć ci takiej przyjemności jak jedna z pańienek Tchaki.

— Zamknij się! — wrzasnął Lane zrywając się na równe nogi.

— A może jest w stanie? — rzekł Tchaka rozpromieniając się.

— Czy o to chodzi, Nicobarze? Czy to właśnie robiłeś tam, w górze?

Lane zamachnął się na Tchakę. Potężny mężczyzna chwycił w locie jego pięść, znów się uśmiechnął i ścisnął, aż Lane opadł na kolana z jękiem bólu.

— Nie powinienesz być nawet próbować — powiedział ze śmiechem. — Gdy Tchaka umrze, to z rozkoszy, a nie za karę. Jeśli cię puszcze, spróbujesz mnie zaatakować jeszcze raz?

Nie było odpowiedzi i Tchaka zacisnął mocniej dłoń.

— Dobrze — wyszeptał Lane z zaciśniętymi zębami.

— Bardzo rozsądnie — rzekł Tchaka. — Mam nadzieję, że jesteś równie gwałtowny wobec swoich wrogów jak w stosunku do swoich przyjaciół.

Odkasznął i pomógł Lane'owi wstać.

— Opowiedz mi o tym, Nicobarze.

— Tu nie ma nic do opowiadania — odpowiedział Lane poruszając palcami z grymasem bólu.

— Nie zaczynamy od początku, dobrze? — zaproponował Tchaka. — Opowiedz mi o Bestii Sennych Życzeń.

— Ma około siedmiu kilometrów średnicy — zaczął Lane mechanicznie — czerwonopomarańczowej barwy, nie ma widocznych...

— Powiedz mi, co ona ci zrobiła, Nicobarze — przerwał mu Tchaka. — Gdzieś mam jej wygląd.

— Nic mi nie zrobiła — odrzekł Lane.

— Postarzałeś się o trzydzieści lat, wychudłeś na kość, najwyraźniej wygnała z ciebie chęć do życia i ty mówisz, że nic ci nie zrobiła? Zaczynij od początku, Nicobarze.

— Dobrze — powiedział Lane powoli. — Pamiętasz, jak mówiłem ci o jej mechanizmie obronnym?

— Który odrzuca w ciebie ból i śmierć? — upewnił się Tchaka.

— Tak, pamiętam.

— No więc, myliłem się.

— Tak sądziłem — powiedział Tchaka. — Nigdy nie wierzyłem w — jak ty to nazwałeś — nadającego empatę.

— Ten termin nadal ma zastosowanie — wyjaśnił Lane.

— Ale właśnie powiedziałaś...

— Że nie transmitowała do mnie śmierci. Wiem, co mówiłem.

— Wyrażasz się niejasno, Nicobarze — stwierdził Tchaka.

— To, co odczuwałem, to nie były ból czy śmierć, Tchaka — wyjaśnił Lane wyduszając z siebie słowa z widocznym wysiłkiem. — Czy teraz już rozumiesz?

Cała twarz Tchaki rozjaśniła się. Sztuczne oko zaczęło mrugać i błyskać szybciej i jaśniej niż kiedykolwiek, a gdy odrzucił głowę w tył i roześmiał się z całego serca, można było podziwiać każdy złoty ząb z osobna.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? — krzyknął. — Nowy dreszcz, nowa przyjemność! A ja, jak ten głupi, myślałem, że mój najlepszy przyjaciel stał się nekrofilem! W czym problem, Nicobarze? Dlaczego po prostu się tym nie napawałeś?

— Napawać się? — zdumiał się Lane. — Cieszyć się tym?

— Oczywiście! — zagrmiał Tchaka. — Znam ludzi, którzy przemierzili pół galaktyki szukając nowych wrażeń, którzy zaprzedałoby dusze w zamian za najkrótszy, najłżejszy posmak czegoś odmiennego, a ty po prostu poleciałeś i odkryłeś przypadkiem coś takiego. O, to się nazywa mieć dzikie szczęście!

— Nigdy tego nie odczuwałeś — zaproponował Lane.

— Nie miałeś tych przeklętych doznań w samym środku własnej czaszki.

— Bez wątpienia nie mogą być aż tak okropne — stwierdził Tchaka — albo nie spędziłbyś ostatnich dwóch lat uganiając się po całym kosmosie za sześcioma dawkami.

— Są straszne, zapewniam cię — wyszeptał Lane wbijając nie widzący wzrok w jakiś punkt poza głową Tchaki. — Nawet nie wiesz jak.

— Wiem jedno — rzekł Tchaka. — Jeśli byłbym na twoim miejscu, nie próbowałbym zabić tej przekłetej rzeczy. Próbowałbym się dowiedzieć, co to jest i wymyślić sposób, jak to złapać. Mogłoby to przynieść fortunę, Nicobarze.

— Musi zginąć — powiedział Lane cicho.

— Dlaczego? Dlatego, że czujesz się przez to zboczeńcem? Bo cię zawstydzą lub budzi twoje obrzydzenie? To nonsens, Nicobarze. Mógłbyś równie dobrze zabić każdą kobietę, z którą pójdziecie do łóżka nie sprawiło ci przyjemności albo każdego producenta nie smakującego ci alkoholu. Poza tym, kimże ty jesteś, żeby decydować, co komuś innemu mogłoby dostarczyć dreszczyku emocji?

— To nie zwykły dreszczyk — zaproponował Lane. — To jest... obce. Tego nigdy żaden człowiek nie powinien odczuć.

— Gdyby istoty ludzkie trzymały się kurczowo tego, co powinny odczuwać — rzekł Tchaka — nie mielibyśmy tytoniu,

narkotyków, homoseksualizmu czy alkoholu. Do diabła, cokolwiek co smakuje, pięknie brzmi, pachnie lub zapewnia miłe doznania jest w porządku. — Przerwał na moment, potem kolejny szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy. — Może Tchaka poleciałby z tobą i osobiście doświadczył tego uczucia.

— Nie — rzekł Lane twardo. — To jest wojna pomiędzy mną a tym stworem. Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

— Pomocy? — roześmiał się Tchaka. — Ja jestem po stronie Bestii Sennych Życzeń, Nicobarze!

— Nie rozumiesz, co ona może ci zrobić — stwierdził Lane.

— Mogę ci tylko powiedzieć — odparł Tchaka. — Nie zmieniałaby mnie w neurotyczny, żądny krwi worek kości. Słyszałem, że członkowie starożytnych rodów królewskich na starej Ziemi kopulowali z owcami i innymi zwierzętami gospodarskimi. Teraz Tchaka będzie lepszy i będzie uprawiał seks z kulą energii! Może moje imię trafi nawet do historii?

— Nie lecisz ze mną, Tchaka — powiedział Lane. — Zamierzam wziąć tę broń, zamierzam zabić tę rzecz i nic mnie nie powstrzyma.

— To jakby erotoman zabijał kobietę ze wstydu, że jej pożąda — zauważył Tchaka. — Ta przeklęta rzecz zwichrowała ci umysł, Nicobarze. Jeśli to dla ciebie zbyt wiele, chodź do mnie. Znajdę ci nawet dziewicę — to znaczy, jeśli lekarz już skończył ją cerować.

— Nie interesuje mnie to — odmówił Lane.

— Na mój koszt, Nicobarze — kusił Tchaka. — Kto wie, może nauczyłeś się jakichś nowych sposobików od Bestii Sennych Życzeń?

— Zapomnij o tym — odparł Lane.

— Nie mów, że zrezygnowałeś z kobiet tak samo jak z alkoholu? — zaśmiał się Tchaka.

— W porządku, nie powiem ci tego.

— Naprawdę chciałbym wiedzieć, co takiego to bydlę serwuje — przyznał się Tchaka z zadumą. — Nie żartujesz, prawda?

— Nie, nie żartuję.

— Jeśli jest to coś aż tak potężnego, rozumiem, dlaczego goniłeś za tym przez ostatnie dwa lata.

— Skończyłeś już? — spytał Lane. — Możemy dać sobie z tym spokój?

— Nie całkiem — rzekł Tchaka. — Dlaczego wróciłeś taki szmat drogi do Piekielnego Portu po pieniądze? Świetnie wiem, że masz konta na pół tuzinie planet w całej galaktyce.

— Już nie — wyznał Lane.

— Więc zakup tej broni cię zrukuje?

Lane skinął głową.

— Prawie.

Tchaka zachnął się.

— Trzydzieści lat oszczędzania pieniędzy i zostają one wydane ot tak sobie. Powinieneś być mądrzejszy i wydać je wszystkie u Tchaki, Nicobarze.

— Zarobię więcej — powiedział Lane. — Po zabiciu tego stwora.

— Ba, ale na co je wydasz? — spytał Tchaka. — Zrezygnowałeś z kobiet, alkoholu i prawdopodobnie również z narkotyków.

— Są inne rzeczy, na które można wydać pieniądze, Tchaka — odparł Lane po raz pierwszy z uśmiechem.

— Nie dla ludzi takich jak ty czy ja, Nicobarze — zaprzeczył Tchaka. — Nie dla ludzi żyjących na pograniczu. Co kupisz? Dom? Mieszkasz w swoim statku. Bibliotekę? Gdyby

interesowały cię książki i taśmy, nigdy byś się tu nie pojawił. Stroje, klejnoty, błyskotki? Kto by je podziwiał? Nie, Nicobarze, gdy żyjesz z dnia na dzień jak my obaj, musisz wydawać pieniądze na rzeczy, którymi możesz się cieszyć pomiędzy tymi dniami.

— To ich nie wydam — rzekł Lane. — Po prostu wrócę do polowania.

— Dlaczego nie zrobisz tego teraz?

— Nie mogę — powiedział Lane. — Nie mogę nic zrobić, dopóki nie zabiję tego stwora.

— Nazywasz to ciągle rzeczą lub stworem — zauważył Tchaka. — Sądziłem, że ma nazwę.

— Ma mnóstwo nazw — stwierdził Lane.

— To dlaczego nie używasz jednej z nich?

— Żadna z nich nie oddaje istoty rzeczy. To jest stwór. Prosto i jasno.

— Kiedy po niego wyruszasz?

— Za dwa lub trzy dni — odpowiedział Lane. — Gdy tylko statek będzie gotów. Właśnie wysłałem pieniądze za ostatnie dwie części, lecz i tak muszę polecieć na Belore i zainstalować broń na „Śmiercionośnym”.

— Naprawdę możesz przyjść i wypić strzemienego przed odlotem — zaproponował Tchaka.

Lane potrząsnął głową. Tchaka wzruszył ramionami i ruszył do drzwi.

— Spoczywaj w spokoju, przyjacielu. Miło było cię znać.

— Mówisz tak, jakbym był już martwy — rzekł Lane. — Ten przeklęty stwór jeszcze mnie nie wykończył.

— Popatrz w lustro, Nicobarze — odparł Tchaka i wyszedł.

ROZDZIAŁ 14

Lot z Northpoint na Belore trwał osiemdziesiąt trzy dni. Lane spędził około cztery piąte drogi w pogłębionym śnie, a pozostały czas poświęcił na przeglądanie setki map gwiazdnych, dopóki nie poznał zerowiska Bestii niemal na pamięć. Usiłował nie myśleć o tym, że nie pokazywała się w tym regionie przez ostatnie dwa lata.

W końcu dotarł na Belore i posadził „Śmiercionośnego” około pięć kilometrów od szafasów Dornów. Zanim przeszedł tę odległość, Vostuvian wyszedł mu naprzeciw.

— Długo cię nie było, zabójco zwierząt — powiedział Dorn swoim zwykłym półszepem.

— Byłem zajęty — wyjaśnił Lane.

— A teraz już zakończyłeś załatwianie swoich spraw? — spytał Vostuvian.

— Nie — odrzekł Lane. — Teraz moje sprawy dopiero się zaczynają. Czy broń jest gotowa do zainstalowania na statku?

— Jest gotowa — odparł Vostuvian. — A czy ty jesteś gotów?

— Tak.

— W porządku — powiedział Vostuvian. — Przez jakiś czas obawiałem się, że wyprawisz się na Bestię Sennych Życzeń ze swoim wibratorem. Cieszę się, że cię źle oceniłem.

Lane rzucił mu krótkie spojrzenie, ale nie potrafił powiedzieć, czy ta uwaga była szczerą, czy sarkastyczną. Przez kilka minut szedł koło Vostuviana w milczeniu, po czym odezwał się:

— Wyruszyłem na polowanie.

— Ach! I znalazłeś ją? — zaciekawiał się Vostuvian.

— Tak.

— Czy wreszcie przekonałeś się, że wibrator jej nie zabije?

— Tak — przyznał Lane. — Spotkałem Bestię sześć razy.

— Niektórych ludzi trudniej jest przekonać niż innych — stwierdził Vostuvian i Lane znowu nie umiał zakwalifikować jego komentarza.

— Jaki jest zasięg skuteczny twojej broni? — spytał w końcu.

— Pomiędzy sześćdziesiąt a siedemdziesiąt tysięcy kilometrów — odrzekł Dorn. — Jednak gdybyś mógł podejść na odległość dziesięciu — piętnastu tysięcy, zużycie energii statku będzie znacznie mniejsze. Będziemy musieli wyłączyć lub zbocznikować większość układów statku, które nie są absolutnie niezbędne. Jakie są twoje minimalne potrzeby?

Lane opuścił na chwilę głowę w zamyśleniu.

— Muszę oczywiście mieć układy podtrzymujące życie i magazyn żywności.

— Co myślisz o zamkniętym obiegu żywności? — spytał Vostuvian.

— Tylko jako ostateczność — odparł Lane. — Moje racje żywnościowe to koncentraty, a twoja broń nie potrzebuje przecież aż tyle miejsca.

— W porządku — zgodził się Vostuvian. — Czego jeszcze będziesz potrzebował?

— Komory pogłębionego snu z dwoma przedziałami.

— Z dwoma?

— Jeden dla Muftiego.

— Co to jest Mufti? — zapytał Vostuvian.

— Nieważne — odparł Lane. — Potrzebuję komory pogłębionego snu z dwoma przedziałami. System kartograficzny jest wbudowany w główny komputer, tak więc nie możesz go wyeliminować, nawet gdybyś chciał. To samo

dotyczy czujników i komputera nawigacyjnego. Mam dużo map gwiazdnych, które chciałbym zabrać, ale można je zrolować w dużą tubę. Potrzebuję co najmniej dwóch skafandrów, jednego próżniowego, a drugiego do przebywania na bardzo gorących planetach, obydwa zaopatrzone w tlen na dziesięć dni.

— Coś jeszcze? — zapytał Dorn.

— Mój suchy prysznic i to chyba byłoby wszystko — odpowiedział Lane. — I sądzę, że powinienem trzymać w pogotowiu jedną z broni pokładowych na wypadek, gdyby twój diluter zawiódł.

— Diluter?

— Broń entropowa — wyjaśnił Lane.

— Którą broń chcesz zostawić?

— Wibrator — odrzekł Lane.

— Działo laserowe ma znacznie większy zasięg — zauważył Vostuvian.

— Wibrator — powtórzył Lane zduszając w sobie wzbierający gniew.

— Jak sobie chcesz — zgodził się Vostuvian. — Zaczniemy montować broń na pokładzie jutro rano.

— Dlaczego nie teraz? — domagał się Lane.

— Czekaleś ponad cztery lata, zabójco zwierząt — rzekł Vostuvian — a moi ludzie czekali przez wiele tysięcy lat. Obaj możemy poczekać jeszcze jeden dzień. W tym czasie zjemy razem kolację. Ondyna Gillian zapewniła mnie, że nasza żywność jest dla ludzi nieszkodliwa i odżywcza.

Vostuvian milczał podczas drogi do szałasów i Lane podążał za nim bez słowa. Wkrótce dotarli do małych, rozpadających się budowli i Dorn zatrzymał się przed jedną z nich, tym tylko

różniącą się od pozostałych, że bardziej przydałby się jej remont.

— To mój dom — powiedział Vostuvian. — Możesz wejść do środka, jeśli chcesz.

— Nigdzie nie widzę broni — zauważył Lane rozglądając się po wiosce.

— A jak myślisz, jakiej jest wielkości? — zapytał Vostuvian i Lane'owi zdawało się, że po raz pierwszy zauważył minimalną zmianę wyrazu twarzy ponurego Dorna.

— Nie wiem — odparł Lane. — Wiem tylko, że posłałem ci tony materiałów w ciągu ostatnich kilku lat.

— Ponad dziewięćdziesiąt procent zostało użyte jako narzędzia — wyjaśnił Vostuvian. — A reszta rozmontowana i zmodyfikowana. Broń jest w środku. Chodź.

Vostuvian wszedł do szałas i Lane podążył za nim. Wygląd wnętrza niewiele różnił się od zewnętrznego, tyle że nie było tu światła słonecznego. Podłogę stanowiło klepisko, a raczej po prostu podłogi nie było. Znajdowały się tu dwa drewniane sprzęty, które mogły być krzesłami, łózkami czy też stołami. W jednym rogu tego jednoizbowego mieszkania leżały rzucone beztrosko na podłogę liczne taśmy, a nawet dwie książki napisane w języku, którego Lane nie był w stanie zidentyfikować.

— Mamy wspólną kuchnię — wyszeptał Vostuvian.

— Zaraz przyniosą jedzenie.

— A diluter?

Vostuvian zrobił kilka kroków, odgarnął ziemię z klepiska i odsłonił zagrzebane tu małe pudełko. Wyciągnął je na wierzch, ułożył na ziemi, otworzył i wyjął zwarte i bardzo skomplikowane urządzenie, które najbardziej ze wszystkiego przypominało starożytną maszynkę do mielenia mięsa.

— I to jest to? — spytał Lane z niedowierzaniem. — To jest rzecz, która pochłoneła moje oszczędności z trzydziestu lat?

Nachylił się, wziął je od Vostuviana i zważył w dłoni. Było cięższe, niż się zdawało na oko, co nie zmieniało faktu, że bez trudu podnosił je jedną ręką.

— To jest twoja broń entropowa — stwierdził Vostuvian.

— Lepiej, żeby to, do diabła, działało — powiedział Lane. — Nie sądzę, żebym odzyskał dwa procent zainwestowanych pieniędzy, jeśli rozmontuję to na części.

— Myślałem, że jedyny zysk, o jaki ci chodzi, to śmierć Bestii Sennych Życzeń — zauważył Vostuvian.

— Na jakiej podstawie twierdzisz, że ten gadżet jest w stanie zabić Bestię? — zapytał Lane wciąż wpatrując się w broń.

— Zabije ją — stwierdził Vostuvian. — Będziesz zdumiony, co on potrafi mając do dyspozycji całą energię twojego statku.

— W jaki sposób twoja rasa przegrała wojnę mając te zabawki na swoich statkach? — zdziwił się Lane.

— Ponieważ moja rasa niszczyła tylko obiekty militarne — odpowiedział Vostuvian. — Twoi przodkowie byli mniej wybiórczy i kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że nie mamy praktycznie do czego wrócić, poddaliśmy się.

— Nie całkiem tak to zapamiętałem z podręczników historii — stwierdził Lane.

— Książki do historii piszą zwycięzcy — rzekł beznamiętnie Vostuvian.

— Być może — odparł Lane — ale wydaje mi się, że pamiętam niewielkie starcie zwane bitwą o Sirius V, w której garstka naszych statków zdziesiątkowała waszą flotę.

— Rzeczywiście tak było — potwierdził Vostuvian.

— Lecz zrobili to w trakcie zawieszenia broni.

— Inaczej to pamiętam — rzekł Lane. — A ponieważ żaden z Dornów nie przeżył, myślę, że mogę czuć się usprawiedliwiony kwestionując prawdziwość twojej wersji.

— Kwestionuj sobie, co tylko chcesz — odparł Vostuvian. — Czy jesteś tu po to, by wznowić walkę przeciwko starym wrogom, czy po to, żeby uzbroić się przeciw nowemu?

Lane przyglądał się Dornowi przez dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami i powrócił do oglądania dilutera.

— Gdzie będzie mechanizm spustowy? — spytał w końcu.

— Gdzie tylko sobie życzysz. Ponieważ nie będziesz używał działa laserowego, możemy go tam zainstalować, zmodyfikować mechanizmy naprowadzające i śledzące cel i podłączyć je do głównego wyjścia mocy.

— Jeśli wiesz, jak to zrobić, to dlaczego twoi pobratymcy utracili sekret lotów międzygwiazdnych? — spytał Lane ostrym tonem.

— Nie utraciliśmy sekretu — zaprzeczył Vostuvian — tylko środki i chęci. Uważasz za niewyobrażalne, abym był zadowolony siedząc tu, na ojczystej planecie i czekając na wymarcie mojego gatunku. Ja uważam za równie niewyobrażalne, że ty spędziłeś większość swojego dorosłego życia uganiając się po galaktyce i przyśpieszając wymieranie innych gatunków. Który styl życia jest w większej harmonii z Wszechświatem?

— Nigdy nie uważałem, żeby siedzenie w kucki na ziemi i nie kiwnięcie nawet palcem w celu zmiany swojego losu było w zgodzie z istotą Wszechświata, a przynajmniej jego rozumnej części — powiedział Lane. — I, na wypadek gdybyś zapomniał, to Dornowie próbowali wytępić Bestie Sennych Życzeń i to ty sam chciałeś wziąć udział w polowaniu na ostatnią z nich.

Vostuvian właśnie miał odpowiedzieć, gdy do szafasu wszedł inny Dorn, położył na ziemi tace z jedzeniem i wyszedł. Lane, który nie miał nic w ustach od dwudziestu godzin, usiadł na ziemi i przyjrzał się bliższej tacy. Było na niej kilka warzyw pustynnych, z których większość przypominała czerwone kaktusy, i kawałek mięsa o wyglądzie czegoś pośredniego pomiędzy węgorzem a wężem, ale na pewno nie spokrewnionego z żadnym z nich.

— Czy masz jakieś sztucce? — spytał Vostuviana.

— Palce i zęby są wystarczające — odparł Dorn.

Lane wzruszył ramionami. Nieraz, na różnych planetach, był zmuszony do jedzenia bardzo nieapetycznych posiłków, tak więc brak srebrnej zastawy martwił go mniej niż większość ludzi. Sięgnął po mięso i podniósł je do ust. Mięso wygięło się spazmatycznie.

— Czy to cholerne bydlę jest żywe? — spytał pokazując je Vostuvianowi.

— Nie — odparł Dorn. — Jego włókna mięśniowe są tak zbudowane, że mogą kurczyć się nawet po pocięciu i ugotowaniu. Zapewniam cię, że jest całkowicie martwe.

— Lepiej, żeby było — mruknął Lane uważnie przyglądając się kawałkowi mięsa.

— My to lubimy — powiedział Vostuvian odgryzając ogromny kęs ze swojej porcji.

Lane przyjrzał się, jak Dorn łyka nie przeżute kawałki mięsa, niewiele różniąc się od dużego drapieżnika i postanowił zrobić to samo. Po chwili zrozumiał, dlaczego Vostuvian nie żuł swojej porcji. Był to najtwardszy, najgorzej ugotowany kawał mięsa, jaki zdarzyło mu się kosztować. Nawet oderwanie kęsa zębami wymagało sporego wysiłku, przypuszczał więc, że głównym powodem, dla którego w ogóle gotowano to mięso,

było nasączenie go tłustym sosem na tyle, by wielki kęs mógł się prześliznąć przez gardło bez większych trudności. Próbował odgadnąć po smaku, z jakim zwierzęciem miał do czynienia, lecz mu się nie udało. Doszedł do wniosku, że może to i lepiej, smakowało mu bardziej — a może raczej mniej mu nie smakowało — bez znajomości jego pochodzenia.

Odgryzł jeszcze dwa ogromne kęsy mięsa, zdecydował, że nie jest ono warte wkładanego wysiłku, po czym skoncentrował się na kaktusie próbując nie pociąć sobie języka na plasterki. Nieraz jadał już gorsze rzeczy, niemniej jednak zaczął z czułością myśleć o koncentratkach pozostawionych na pokładzie „Śmiercionośnego”. Gdy skończył posiłek, wyprostował się, beknął dwa razy i odsunął tacę.

— Smakowało ci? — spytał Vostuvian.

— Przypuszczam, że tak jak tobie smakowałyby dobrze wypieczony stek — odparł Lane. — Czy dzisiejszej nocy mam spać tutaj czy na statku?

— Jak wolisz — powiedział Vostuvian. — Gdzie zaczniesz poszukiwania Bestii Sennych Życzeń?

— Gdzieś pomiędzy Alphardem i Canphor — odrzekł Lane. — Paliwa wystarczy mi na trzy lata. To powinno być aż nadto.

— Mam nadzieję — rzucił Vostuvian.

— Dlaczego nie miałyby wystarczyć? — spytał Lane.

— Wiemy, że w przeszłości Bestie Sennych Życzeń nieraz opuszczały chmurę pyłu nawet na dłuższy czas.

— Być może — zgodził się Lane. — Ale niezależnie od tego czy jest inteligentna, czy nie, ma swoje nawyki. Nie sądzę, aby to zrobiła, chyba że będzie przede mną uciekać lub za mną podążać. W każdym przypadku wyjdzie mi na strzał. To nasuwa mi następne pytanie: ile razy mogę wystrzelić z

dilutera bez pozbawienia „Śmiercionośnego” wszystkich rezerw mocy?

— Trzy razy, może cztery — odparł Vostuvian. — Czy planujesz spudłować za pierwszym razem?

— Nigdy nie pudłuję.

— W takim razie będziesz strzelał tylko raz — stwierdził Vostuvian.

— Lubię znać swoje możliwości, zanim wyruszę na polowanie — rzekł Lane. — Jakies zastrzeżenia?

— Żadnych — wyszeptał Vostuvian. — Po prostu założyłem, zabójco zwierząt, że...

— Jeszcze jedno — przerwał mu Lane. — Nazywam się Lane, nie Zabójca Zwierząt. Jak chcesz się do mnie zwracać, to używaj mojego nazwiska.

— Jak sobie życzysz, Lane — powiedział Vostuvian.

— Jeszcze jedno pytanie: co stanie się z systemami statku, gdy wystrzelę z dilutera?

— Tak zaprojektuję obwody, żeby nie wpłynęło to na system podtrzymywania życia — odpowiedział Dorn.

— Inne układy będą nieczynne w czasie strzału, może nawet trochę dłużej.

— Jaki jest maksymalny czas pracy dilutera, zanim przepali wszystkie obwody? — spytał Lane.

— Dziesięć sekund, może jedenaście — odrzekł Vostuvian. — Zabicie Bestii Sennych Życzeń zajmie około ośmiu sekund, tak więc na twoim miejscu celowałbym bardzo uważnie.

— Wezmę to pod uwagę — rzucił Lane sucho.

— Trzy lata mogą nie wystarczyć do zabicia Bestii Sennych Życzeń — rzekł Vostuvian po dłuższym milczeniu.

— Wtedy będę polował cztery lata lub dziesięć albo pięćdziesiąt.

— Ze mną zajmie to mniej czasu niż beze mnie — rzucił Vostuvian.

— Nie — odparł Lane.

— Jesteś niepraktyczny, Lane — zauważył Dorn.

— Vostuvian, nie przepadam za tobą już teraz. Lubiłbym cię jeszcze mniej, gdybyśmy byli skazani na swoje towarzystwo na statku niezależnie od tego na jak długo.

— Szukasz towarzystwa, czy chcesz upolować Bestię Sennych Życzeń? — zapytał Vostuvian.

— Jedno nie wyklucza drugiego — odrzekł Lane. — Mam Muftiego jako towarzystwo i to stworzenie jako zdobycz.

— Mimo wszystko upolowałbyś ją sprawniej, gdybyś miał mnie na pokładzie — nalegał Dorn.

— Już jestem sprawny — odparł Lane. — Dlaczego miałbym cię zabrać?

— Żeby mieć pewność, że strzelisz z dilutera, a nie z wibratora — powiedział Vostuvian.

Lane w jednej sekundzie poderwał się na nogi. W następnej dwie puste tace przeleciały przez pokój omijając o włos głowę Vostuviana. Lane rzucił się na Dorna chwytając go jedną ręką za niewiarygodnie chudą szyję i potrząsnął nim gwałtownie.

— Jeśli jeszcze raz kiedykolwiek powiesz coś podobnego — wysyczał przez zaciśnięte zęby — rasa Dornów wymrze szybciej, niż się tego spodziewasz. Zrozumiano?

Vostuvian nie próbował mu odpowiedzieć ani nawet skinąć głową. Stał sztywno z zamkniętymi oczami, nie oddychając. Przez chwilę Lane miał wrażenie, że go zabił, ale gdy zwolnił chwyt i odstąpił, Dorn otworzył oczy, tak jakby nic nie zaszło.

— Na twoim miejscu zachowałbym swój gniew dla Bestii Sennych Życzeń — wyszeptał chrapliwie.

— Mam go w nadmiarze — powiedział Lane zimno.

— Zdaję sobie z tego sprawę — rzekł Dorn łagodnie gładząc się po szyi. — Czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie: dlaczego?

— Nigdy — rzucił Lane. — Masz coś jeszcze do powiedzenia, zanim wrócę na statek?

— Jedno pytanie — odpowiedział Vostuvian. — Jak już raz wspomniałem, Bestia Sennych Życzeń nie zbliży się do statku, na którym zainstalowana jest broń entropowa. Co zrobisz, jak nie będziesz mógł jej znaleźć?

— Będę się o to martwił, kiedy, i jeśli w ogóle, ten problem powstanie — powiedział Lane. — Coś jeszcze?

— Nie.

— Dobrze. Bądź na „Śmiercionośnym” o świcie i zjeżdżaj do diabła ze statku, jak tylko skończysz robotę.

Później, idąc w stronę statku, zastanawiał się, gdzie i kiedy stał się taki wybuchowy.

ROZDZIAŁ 15

Czasu zaczynało brakować.

Lane przebywał w przestrzeni przez trzydzieści dwa standardowe miesiące nie widząc nawet śladu stworzenia. Oceniał, że zostało mu paliwa na jakieś pięć miesięcy, a wody i żywności nawet na mniej.

Jak dotąd była to przeraźliwie frustrująca wyprawa. Nie mógł położyć się w pogłębiony sen z obawy minięcia się ze stworem. Nie mógł lądować na planetach z obawy zużycia zbyt dużej ilości paliwa. Nie miał nawet pewności, czy diluter działa. Jego możliwości były tak niepewne, że mogły być sprawdzone tylko w akcji.

No i, oczywiście, najbardziej frustrująca była nieobecność Bestii. Zanim diluter został zamontowany na pokładzie, podążała za nim przez całą galaktykę wywlekając na wierzch ciemną stronę jego osobowości. Teraz, gdy był gotów do walki, była nie do znalezienia. Na domiar złego zaczynało brakować nie tylko czasu. Nie było pieniędzy na zakup kończących się zapasów i paliwa.

Lane ponownie przejrzał mapy gwiazdne sprawdzając, jakie jeszcze pozostały mu możliwości. Mógł kontynuować przeszukiwanie chmury pyłu jeszcze przez trzy miesiące, lecz wtedy jedynym źródłem pracy i ewentualnego zarobku w zasięgu „Śmiercionośnego” byłby William Campbell Blessbull XXIII, a jego pozew przeciwko Blessbullowi nadal był w sądzie. Z drugiej strony, gdyby zmienił kurs natychmiast, mógł dotrzeć do systemu Deluros z parodniowym zapasem paliwa — a co najważniejsze, choć nie pracował dla syndykatu Vainmill przez niemal osiem lat, przynajmniej nie mieli mu nic do zarzucenia.

Podjąwszy decyzję Lane opuścił chmurę pyłu i wziął kurs na Deluros VIII, stołeczną planetę rasy ludzkiej, centrum kulturalne, polityczne, finansowe i militarne Człowieka. Ludzkość już dawno rozprzestrzeniła się poza Ziemię i, podczas gdy miejsce swych narodzin traktowała z niemal nabożną czcią, przeniosła wszystkie ważne urzędy rządowe i finansowe do systemu Deluros. Układ ten położony był bardziej w centrum zamieszkiwanej przez nią przestrzeni, a także posiadał jedną z tych niezmiernie rzadkich planet, które mając warunki naturalne podobne do ziemskich oferowały jednocześnie dziesięciokrotnie większą powierzchnię.

Nawet tyle okazało się za mało dla człowieka i Deluros VI, druga planeta tlenowa systemu, została rozbita na czterdzieści

osiem planetoid. Na każdej umieściła się jakaś rządowa agencja lub ministerstwo. Armia natychmiast zagarnęła cztery z nich, a i tak zaraz zabrakło jej miejsca.

Lecz planetoidy to jedynie kulisy systemu Deluros. To Deluros VIII, lśniaca, o umiarkowanym klimacie, błękitno-złoto-zielona planeta stanowiła prawa i rządziła. Gdy Lane się do niej zbliżył, polecono mu wejść na orbitę, a następnie wprowadzić statek do jednej z tysięcy okrążających planetę stacji hangarowych i paliwowych. Zrobił, co mu polecono pozostawiając „Śmiercionośnego” na jednej ze stacji i wsiadł na prom odlatujący na powierzchnię.

Widział zdjęcia i obrazy przedstawiające Deluros VIII, rozmawiał też z ludźmi, którzy na niej żyli lub bywali, lecz żadne opowieści nie były w stanie przygotować go na spotkanie z tym gigantycznym światem. Kiedyś zastanawiał się, dlaczego żaden z mieszkańców Deluros VIII nigdy nie wykazywał oznak nacjonalizmu czy regionalizmu. Teraz wiedział.

Powierzchnię planety zajmowało jedno olbrzymie megalopolis. Były tam parki, farmy, jeziora, a nawet parę pustyń, lecz wszędzie pomiędzy nimi było miasto. Rozciągało się lśniące i nowe — jako że większa jego część miała mniej niż tysiąc lat, a w dodatku całość bezustannie reperowano i odnawiano — wyciągając wielkie metalowe, plastikowe i cementowe macki we wszystkich kierunkach, pokrywając oba bieguny, a nawet schodząc nieco pod powierzchnię oceanów. Budowle, które równie dobrze mogłyby być chłodno i bezosobowo funkcjonalne, reprezentowały szczytowe osiągnięcie aktualnej mody architektonicznej. Podczas gdy Lodin XI była dla niego kompletnie niepojęta, ta planeta, nawet z wysokości czterdziestu kilometrów, wyglądała

zrozumiale aż do przesady. Wielkie, szerokie trasy przelotowe łączyły w logiczny sposób sekcje miasta-planety, koleje jednoszynowe okręzały wielkie, gęsto zaludnione dzielnice, kompleksy przemysłowe tworzyły rozrzucone skupiska i wszystko razem robiło znajome, choć spotęgowane, wrażenie.

Prom wylądował na czymś będącym kombinacją lotniska, kosmodromu i dworca kolei jednoszynowej. Pasażerowie zostali poinformowani, że dostępne są stąd połączenia do dowolnego miejsca na globie. Gdyby zaś mieli interes do jakiejś agencji rządowej, będą musieli sprawdzić, czy ich sprawa może być załatwiona na tej planecie, czy też konieczne będzie udanie się na którąś z planetoid Deluros VI.

Lane podszedł do komputerowego informatora i zażądał adresu Ectora Allswortha. Został poinformowany, że Ector Allsworth nie był już stałym rezydentem na Deluros VIII, ale znajdował się na planecie od tygodnia. Bliższych danych o miejscu jego pobytu nie uzyskał.

Lane spróbował pytania o syndykat Vainmill, lecz skontaktowawszy się z nimi wideofonem natrafił na taką biurokratyczną zaporę z sekretarek, że zrezygnował z prób odnalezienia go przez korporację.

W końcu, wiedziony impulsem, wprowadził nazwisko Ilzy Vescott do komputera, który natychmiast wyświetlił małą czerwoną winietkę „POUFNE”. Lane był zbyt otrzaskany, aby nalegać.

Następnie zatrzymał się w biurze lokalnej wideogazety, gdzie tak długo przeszukiwał działy towarzyski i finansowy, aż znalazł reporterkę, która wspomniała o Ilzie Vescott trzykrotnie w ciągu miesiąca. Odnalazł ją, przekupił połową swoich ostatnich czterech tysięcy talarów Marii Teresy i udał się pod podany mu adres. Na szczęście nie było to po

przeciwnej stronie planety i licząca dwieście kilometrów podróż nie uszczupliła w widoczny sposób reszty jego zasobów.

Po południu piechotą dotarł do domu Ilzy Vescott. Budynek oddalony był od autostrady niemal o kilometr i otoczony pedantycznie wystrzyżonym trawnikiem, porośniętym jasnobłękitną, zmutowaną darnią, który ozdabiały z rzadka porozrzucane ogródki w stylu angielskim. Przypominał bardziej pałac niż dom, okazały hotel niż prywatną rezydencję. Lane oceniał go na dobre trzysta pokoi, każdy wielkości przeciętnego domku. Wznosił się na piętnaście pięter, gładki, lśniący, roztaczający aurę niezdobytej fortecy.

Jeśli Lane czuł się nieswojo składając wizytę w standardowym stroju myśliwskim — jedynym rodzaju odzienia, jaki nosił od lat — to nie pokazywał tego po sobie. Podszedł do końca wielkiego podjazdu z ruchomą taśmą i został szybko przewieziony do głównego wejścia rezydencji.

Rzeźbione drzwi otworzyły się bezszelestnie wpuszczając go do wyłożonego obsydianem foyer. Było tu mnóstwo drzwi prowadzących w głąb budynku, wszystkie zamknięte.

— Jestem w pełni zautomatyzowanym systemem ochrony typu Oko Szpiega — powiedział metaliczny głos. — Proszę podać swoje nazwisko i cel wizyty.

— Nicobar Lane, zabójca.

— Nie mam żadnych informacji o Nicobarze Lane — rzekł głos. — Czy jest pan umówiony?

— Też mi system ochrony! — zachnął się Lane. — Powiedz Ilzie Vescott, że w jej domu znajduje się zabójca.

— Nie odpowiedział mi pan na pytanie — odparł system Oko Szpiega. — Czy jest pan umówiony?

— Oczywiście — rzucił Lane. — A teraz mnie wpuść.

— Według moich danych nie był pan umówiony.

Nagle foyer rozbrzmiało wielokrotnymi echemi damskiego śmiechu.

— To wręcz bezcenne! — powiedział wysoki, nadal roześmiany głos. — Proszę wejść, panie Lane. Piąte drzwi po prawej stronie.

Lane podszedł do drzwi, otworzył je i wszedł do pokoju, którego wystrój, skromnie szacując, był dwa razy więcej wart niż „Śmiercionośny”. Podłogę pokrywał biały, puszysty dywan zrobiony ze skórek wraz z łebkami małych, arktycznych zwierzątek wielkości mniej więcej Muftiego. Ściany i sufit wyłożono lustrami — każde było inne, zaprojektowane tak, aby ukazywał się w nim inny, szokujący obraz pokoju powtórzonej w nieskończoność. Barokowe krzesła i stoły wypełniały pokój, wszystkie ze złota i platyny, wysadzone klejnotami, jakich Lane nigdy w życiu nie widział. A w najdalszym końcu ogromnej sali był bystronur. Jego skórę inkrustowano lśniąco, iskrzącymi się kamieniami szlachetnymi, a jego ogromny ryj został spreparowany w formie wyściełanego krzesła.

Na, czy też raczej w krześle siedziała Ilza Vescott. W pierwszej chwili wydała mu się jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widział w życiu, lecz gdy podszedł bliżej, zaczął zmieniać zdanie. Miała na sobie głęboko wydekoltowany, bardzo śmiały, niezmiernie obcisły, jednoczęściowy strój, zgodny z kanonem panującej obecnie mody, ale uderzył go pewien dysonans. Skóra, tak odważnie wyeksponowana, była zbyt doskonała, zbyt nieskazitelna. Nawet proces plastycznego odmładzania nie mógł dać takich efektów.

Podniósł wzrok na jej twarz. Również była bezbłędna, choć być może o nieco zbyt głęboko osadzonych oczach — a potem,

gdy znalazł się o parę metrów wiedział już skąd się wzięło to poczucie braku harmonii. Tak twarz, jak i ciało miała syntetyczne, sporządzone z materiałów o drobiazgowo opracowanej fakturze, ukształtowane przez medycznego rzeźbiarza, któremu udało się zamknąć esencję piękna i zmysłowości w jednym dziele. Tylko oczy — wiekowe, twarde i chłodne — należały do Ilzy Vescott i nawet czarodziej, który dał jej ciało i twarz współczesnej Wenus nie był w stanie ich całkowicie zmienić czy choćby ukryć.

Lane zmusił się do odwrócenia wzroku i wskazał na foyer.

— Ile to panią kosztowało?

— System ochrony? — Jej ciepłe, czerwone, sztuczne wargi ułożyły się w uśmiechu. — Nieco ponad dwieście tysięcy kredytów. Dlaczego pan pyta?

— Za tyle pieniędzy ktoś powinien był wprowadzić słowo „zabójca” do słownika. Mam zwierzaka, który kosztował mnie równowartość dwudziestu kredytów, a który zapewniłby pani dużo lepszą ochronę.

— Podoba mi się pańska brutalna szczerość, panie Lane — powiedziała wstając i wyciągając doń rękę, silną, pełną życia i zimną. — Kogo przyszedł pan zabić?

— Nikogo — odparł Lane. — Zabijam zwierzęta, nie ludzi.

— Jakież to staroświeckie — rzekła.

Dotknęła klejnotu na jednej ze swych bransolet i spod podłogi wyrósł bar pokryty z boków tymi samymi skórami, z których wykonano dywan.

— Czy mogę zaoferować panu drinka, zanim zacznie pan opowiadać o swoich pełnych desperackiej odwagi przygodach?

Lane skinął potakująco głową, więc otworzyła wysoką, smukłą butelkę nalewając jej zawartość do dwóch

kryształowych szklaneczek. Lane pociągnął łyczek, stwierdził, że mu smakuje i przełknął resztę jednym haustem. Ilza Vescott powoli sęczyła swojego drinka.

— Bardzo dobre — powiedział Lane.

— Czy powinnam pana znać, panie Lane? — spytała w końcu.

— Prawdopodobnie nie — odparł Lane. — Miałem styczność jedynie z Ectorem Allsworthem.

— Ach! Więc musi pan pracować dla syndykatu Vainmill.

— Pracuję dla siebie — zaproponował Lane.

— Subtelna różnica — stwierdziła Ilza Vescott. — A dlaczego przyszedł pan zobaczyć się ze mną?

— Ponieważ nie mogłem znaleźć Allswortha. Wiem, że jest na planecie, a pani dom stanowi najbardziej prawdopodobne miejsce jego pobytu. Czy jest tutaj?

— Tak, ale jest takim nudziarzem... — oznajmiła marszcząc sztuczny nos i ściągając syntetyczne wargi. — Poza tym on jest tylko najemnikiem. Jest moją własnością tak samo jak Vainmill, ten dom i wszystko, co pan widzi wokół.

— To dużo do posiadania jak na jedną osobę — zauważył Lane.

— Jestem niezwykłą osobą — oświadczyła Ilza Vescott wpatrując się w niego wiekowymi oczami z pełną dystansu przyjemnością. — I bardzo lubię posiadać różne rzeczy. Pan nie?

— Ja nie biorę niczego w posiadanie — odparł Lane.

— Ja to zabijam.

— A zabiciem konkretnie czego jest pan zainteresowany, panie Lane?

— Bestii Sennych Życzeń.

— Cóż za bajkowa nazwa! — wykrzyknęła. — Wyczarowuje w wyobraźni różne egzotyczne obrazy. Jak ona wygląda?

— Jak nic innego we wszechświecie.

— Czy jest bardzo piękna?

— Bardzo — potwierdził Lane. — Jest jak... jak żywa gwiazda. Pulsuje energią i lśni życiem. Żyje w przestrzeni, urodziła się tam i tam umrze.

— Czym oddycha? — spytała.

— Nie oddycha.

— To skąd pan będzie wiedział, że nie żyje?

— Będę wiedział — stwierdził Lane ponuro.

— Zawsze sądziłam, że zawodowi myśliwi są zimni i pozbawieni emocji — wyznała Ilza. — A patrząc na pana odnosi się wrażenie, że to pański śmiertelny wróg.

— Jej piękno to tylko jedna jej strona — wyjaśnił Lane. — To jest potężna, niebezpieczna i głęboko raniąca forma życia.

— Cienie doktora Jekylla i Mr. Hyde'a! — zaśmiała się Ilza. — Proszę mi opowiedzieć o tym coś więcej.

— Jest ostatnim przedstawicielem gatunku. Kiedyś było ich więcej, lecz zostały wszystkie wytępione wieki temu. Ta jedna przeżyła.

— Jeśli to ostatni egzemplarz z gatunku, to może powinien pan spróbować ją schwytać, a nie zabijać? — zasugerowała Ilza.

— Nie można jej schwytać — wyjaśnił Lane. — Można tylko ją zniszczyć.

— Jakiej jest barwy?

— Zmiennej — odparł Lane. — Czasami czerwona, czasami niemal żółta. To zależy od szybkości, z jaką się porusza i od tego, co w danej chwili czuje.

— Jak ktokolwiek może powiedzieć, co stworzenie takie jak to odczuwa? — zainteresowała się Ilza.

— To był tylko zwrot retoryczny — powiedział Lane sztywniejac. — Allsworth nachodził mnie przez lata próbując namówić do jej zabicia. Teraz jestem gotów to zrobić.

— Na pewno nie przyleciał pan taki kawał drogi na Deluros tylko po to, żeby nam o tym powiedzieć.

— Przyszedłem porozmawiać o cenie.

— Ach tak. A jakiej sumy zamierza pan zażądać za swoje usługi?

— Pół miliona kredytów lub ekwiwalent w dowolnej walucie.

— To dużo pieniędzy, nawet za coś tak niezwykłego jak Bestia Sennych Życzeń — stwierdziła Ilza.

— Dla pani nie — zaproponował Lane. — A to po prostu tyle kosztuje.

— Wygląda na to, że mimo wszystko muszę zasięgnąć rady Ectora — powiedziała Ilza zdejmując wyściółkę z poręczy bystronurowego krzesła i naciskając przycisk na odsłoniętej w ten sposób klawiaturze.

W chwilę później Allsworth wszedł do pokoju, nadal żółtooki, o szarej cerze, nieco bardziej otyły i łysy niż przy pierwszym spotkaniu na Northpoint. Przyglądał się Lane'owi dłuższą chwilę, zanim go rozpoznał.

— Lane? — spytał niezdecydowanie.

Lane skinął głową i wyciągnął rękę.

— Postarzał się pan — powiedział Allsworth. — Co pan porabia w systemie Deluros?

— Pan Lane zgłosił się na ochotnika do zabicia Bestii Sennych Życzeń — wyjaśniła Ilza. — Co o tym sądzisz, Ectorze?

— Myślałem, że właśnie pan powiedział mi, że to tylko mit — zauważył Allsworth.

— Myliłem się — odparł Lane.

— Ectorze — rzekła Ilza — ile zapłacimy panu Lane'owi za dostarczenie Bestii Sennych Życzeń do jednego z naszych muzeów?

— A ile żąda? — spytał Allsworth.

— Pół miliona kredytów — odpowiedziała Ilza.

— Natychmiast podpisz z nim kontrakt — rzekł Allsworth.

Odwrócił się do Lane'a.

— Dlaczego tak tanio? Wie pan równie dobrze jak ja, ile jest warta.

— Mam warunek — wyjaśnił Lane.

— O! — wyraził zdziwienie Allsworth.

— Chcę pieniędzy z góry.

— Tak myślałem! — oznajmił Allsworth. — Czy wyjdzie pan stąd grzecznie i spokojnie, czy mam pana wyrzucić?

— O co chodzi, Ectorze? — wtrąciła Ilza.

— Spójrz na niego, Ilzo — powiedział Allsworth stając obok niej. — Spójrz na jego oczy, dłonie. Od lat nie wypełnił żadnego kontraktu z nami czy kimkolwiek innym. Ile byś mu dała lat?

Ilza Vescott przyjrzała się przerzedzonym, białym włosom, zapadniętej, wyniszczonej twarzy, pomarszczonym dłoniom o szponiastych palcach.

— Co najmniej dziewięćdziesiąt.

— Ile masz lat, Lane? — zapytał Allsworth.

— Nie wasz interes — odparł Lane. — Umowa stoi czy nie?

— Jest naćpany — stwierdził Allsworth. — Nie widzisz, że to nałogowiec?

— Jaka szkoda — przyznała Ilza smutno. — A tak realistycznie pan o niej opowiadał.

— Bo ona jest realna — powiedział Lane. — Jest tam, w górze, a ja mam jedyną broń zdolną ją zabić.

— Jedyne co on ma, to jakiś nałóg, który wymaga zaspokojenia — oświadczył Allsworth. — Pozwól mi go wyrzucić za drzwi, Ilzo.

— Za moment — odpowiedziała Ilza z roztargnieniem. — Proszę opowiedzieć mi więcej o niej, panie Lane.

— Nie ma dużo więcej do opowiadania — stwierdził Lane. — Żyje, żeruje, lata i może zostać zniszczona, jeśli mi zapłacicie, żebym to zrobił.

— Co pan daje jako zabezpieczenie? — spytała Ilza.

— Chyba nie zamierzasz dać mu pieniędzy? — wtrącił się Allsworth.

— Siedź cicho, Ectorze — powiedziała Ilza. — To zwierzę pobudziło moją wyobraźnię. Jeśli Vainmill nie jest zainteresowany, zainwestuję sama. Co jest pańskim zabezpieczeniem, panie Lane?

— Wszystko, co mam — odpowiedział Lane.

— Wszystko — powtórzyła Ilza. — To bardzo dużo.

— Zwykle było więcej — rzekł Lane z goryczą. — Teraz jest to mój statek i moja broń.

— Pół miliona kredytów to zbyt wiele, żeby wydać je na mrzonkę — zdecydowała Ilza. — Nawet tak uroczą jak pańska. Dam panu pięćdziesiąt tysięcy kredytów zaliczki. Bierze pan lub nie.

— Biorę — odparł Lane bez wahania.

— Ector odprowadzi pana do statku — powiedziała Ilza. — Będzie pan mógł przekazać mu dokumenty.

— To grabież w biały dzień! — zaprotestował Allsworth. — Nigdy więcej go nie zobaczysz.

— Możliwe — zgodziła się Ilza nalewając sobie kolejnego drinka.

— W takim razie dlaczego to robisz?

— Bo mi to sprawia przyjemność — wyjaśniła. — Albo, jeśli wolisz, nazwij to współczuciem pięknej młodej kobiety dla starego człowieka, który swoje najlepsze lata ma dawno poza sobą.

A Lane, wpatrując się w wiekowe oczy osadzone w idealnym ciele nie potrafił rozstrzygnąć, który z podanych motywów był prawdziwy.

Ani też teraz, gdy miał środki na zatankowanie statku, nie dbał zbyt o to.

ROZDZIAŁ 16

Podczas gdy „Śmiercionośny” opuszczał system Deluros, Lane próbował ustalić co dalej. Pięćdziesiąt tysięcy kredytów wystarczy na utrzymanie statku lecącego z prawie maksymalną szybkością przez dekadę, stulecie lub całą wieczność pod warunkiem, że nie będzie musiał manewrować. Bezwładność raz rozpędzonego statku jest wystarczająca dla utrzymania stałej prędkości, ale przy każdej jej zmianie lub zmianie kierunku lotu zużywa się paliwo. I nawet z pieniędzmi Ilzy Vescott, jego koszt zwiększył się po rozpoczęciu na dobre pościgu za bestią.

Tak więc, chociaż zyskał trochę czasu, nie oznaczało to, że zdobył środki na złapanie stworzenia. W dalszym ciągu potrzebował więcej pieniędzy i nie bardzo wiedział, skąd je zdobyć. Jego pierwszą myślą było znalezienie stacji paliwowej na jakiejś planecie pogranicza i wzięcie, ile mu potrzeba z bronią w rękę, ale natychmiast ją odrzucił: cała policja tego

rejonu poszukiwałaby „Śmiercionośnego”, a podczas końcowej fazy polowania tego typu problemy były mu całkowicie niepotrzebne.

Zastanowił się nad innymi możliwościami. Minęło już sporo lat, odkąd wypełnił kontrakt, czy nawet takowy przyjął, było więc mało prawdopodobne, żeby mógł wrócić do polowań, nawet gdyby chciał. To pochłonęłoby zbyt wiele czasu, nawet jeśli udałoby mu się znaleźć pracę.

Oczywiście zawsze mógłby polować na zakazane lub objęte ochroną gatunki. Za niektóre z nich, takie jak dzwonecznik z Daedalus VII czy dingo, ostatnie dzikie zwierzę starej Ziemi, prywatni kolekcjonerzy byli gotowi zapłacić bająnskie sumy, a Lane był absolutnie pewien, że jest zdolny zabić każde zwierzę, które pływa, biega czy lata.

Jednakże, chociaż zapłata byłaby wyższa, miał te same zastrzeżenia co w przypadku legalnego polowania: czas, którego potrzebowałyby nawet więcej ze względu na konieczność ukrywania się i osobistego dostarczenia zdobyczy. Poza tym tak dawno nie polował, że nie miał aktualnych informacji, które gatunki są chronione i które zostały już wytępione.

Krótko zastanawiał się nad wyprawą na ufortyfikowaną planetę Braxton IV, gdzie Demokracja zbierała mionian, najsilniejszy jak dotąd narkotyk znany człowiekowi, ale odrzucił ten pomysł jako zbyt czasochłonny. Poza tym, jeśli nawet udałoby mu się tam, gdzie wielu innym powinęła się noga, potrzebował pieniędzy, a nie surowego mionianu, skoro nie miał pojęcia, jak zamienić go na gotówkę bez zwrócenia na siebie uwagi policji Demokracji.

Przez chwilę bawił się myślą o powrocie na Deluros VIII i obrabowaniu lub porwaniu Ilzy Vescott. Szybko porzucił tę

myśl, nawet nie ze względów moralnych, a z powodu znikomych szans powodzenia.

Przez wiele godzin analizował rozmaite warianty postępowania i kiedy odrzucił te niemożliwe i te nieprawdopodobne, uporządkował to, co zostało. Robił wszystko na zimno, sprawnie, szacując ryzyko i zyski, rozważając wszystkie za i przeciw. Kiedy skończył, dokładnie wiedział, co musi zrobić, aby zdobyć tyle paliwa, ile będzie mu potrzebne do odnalezienia bestii. Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu tego, co go czekało, traktował to jako przykrą konieczność. Najlepiej jak najszybciej mieć wszystko za sobą.

Włączył system kartograficzny, podłączył go do komputera nawigacyjnego i zażądał listy wszystkich planet zasiedlonych w ostatnim dziesięcioleciu. Następnie wyeliminował kolonie rolnicze — nie miałyby dość pieniędzy czy wymienialnych na gotówkę dóbr, aby warto było ryzykować. Szczególnie zaś zainteresowały go planety zasiedlone przez grupy religijne czy pacyfistyczne, gdyż mógł z dużym prawdopodobieństwem założyć, że ich siły obronne były minimalne lub żadne.

Do listy dorzucił kilka pogranicznych górniczych planet, o których wiedział, że obsługują je automaty nadzorowane przez garstkę ludzi, czasem wręcz jednego czy dwóch.

Potem obliczył zapas posiadanego paliwa i wziął kurs, który oddalał go od Northpoint i od chmury pyłu, choć pozwalał mu powrócić po lądowaniu na wybranych planetach.

A potem, z beznamiętnym profesjonalizmem, z którym tylekroć dokonywał przygotowań w przeszłości, Nicobar Lane zaplanował swoje przedostatnie polowanie.

ROZDZIAŁ 17

Tchaka przeszedł do swojej prywatnej kwatery przez labirynt pokoi i pięter. Zastanawiał się nad zabranieniem ze sobą paru dziewcząt, lecz uznał, że jest zbyt śpiący, aby sprostać wiążącym się z tym wymaganiom. Otworzył drzwi, włączył światło i zamarł w bezruchu.

— Nicobar! — wykrzyknął w końcu.

— Zamknij drzwi — polecił Lane nie ruszając się z dopasowującego się do kształtów ciała, wygodnego krzesła.

— To już lata całe — powiedział Tchaka. — Czy w końcu zabiłeś tego swojego potwora?

— Nie całkiem — przyznał Lane.

— Nie spodziewałem się, że cię zobaczę przed jego zniszczeniem — rzekł Tchaka. — Czemu zawdzięczam honor goszczenia cię?

— Jesteś paserem — wyjaśnił Lane.

Tchaka już otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz Lane powstrzymał go gestem.

— Nie zaprzeczaj. Nie przyszedłem cię aresztować. Mam trochę towaru do upłynnienia.

Tchaka zamknął za sobą drzwi.

— Myślałem, że jesteś zrujnowany, Nicobarze — powiedział.

— Co masz do sprzedania?

Lane wyciągnął zza krzesła dużą torbę, podszedł do stołu służącego też jako łóżko i wysypał zawartość. Stanowiły ją pierścienie wszelkich rodzajów i wartości, naszyjniki, zegarki, nawet kilka platynowych zębów.

— Gdzieś ty to wszystko uzbierał, Nicobarze? — zapytał Tchaka oglądając dużą bransoletę.

- Zmarł bogaty wujek — odparł Lane.
- Twój? — wykrzywił się Tchaka.
- A co to za różnica? — rzucił Lane.
- Słyszałem, że grupa maniaków religijnych — jakże ich zwą? A! Kolonia Roanoke — została obrabowana i wymordowana. W wiadomościach podano, że dokonano tego miotaczem ultradźwiękowym. A potem była sprawa górników na Bastionie i...
- Nie marnuj słów — przerwał mu zimno Lane. — Nigdy nie byłem na bieżąco z wiadomościami. Nie interesują mnie.
- Zabiłeś ich, Nicobarze?
- Czy przejąłeś ten interes zabijając Horacja Constantine? — spytał Lane.
- Zasłużyłem na to zadając osobiste pytanie — skrzywił się Tchaka. — Temat wyczerpany.
- Dobrze.
- Jednakże pozwolisz, że spytam, dlaczego jesteś tu, skoro Bestia Sennych Życzeń jest gdzie indziej?
- Potrzebuję więcej pieniędzy.
- Myślałem, że już parę lat temu miałeś dosyć, żeby skonstruować tę swoją broń — wyznał Tchaka.
- Jest gotowa. Potrzebuję paliwa do „Śmiercionośnego”.
- Ile?
- Wartości pół miliona kredytów.
- Nie prowadzę rozliczeń w kredytach — oświadczył Tchaka.
- Wiesz o tym.
- A więc w ich ekwiwalencie.
- Tchaka jeszcze raz przyjrzał się łupowi Lane’a.
- Najwyżej trzysta tysięcy — zdecydował w końcu.

— Z kogo ty sobie żarty stroisz, Tchaka? — obruszył się Lane.
— Ten towar jest wart dobre trzy miliony, nawet na czarnym rynku.

Tchaka potrząsnął głową.

— Ktokolwiek zlikwidował górników na Bastionie, załatwił przy tym dwóch członków Ministerstwa Mineralogii Demokracji. Ich agenci odwiedzali mnie już dwukrotnie. Będę musiał przetrzymać ten towar przez lata, zanim będzie możliwe puszczenie go w obieg. Nieostrożny był ten zabójca z Bastionu. Kompletny amator.

— Czterysta tysięcy — oznajmił Lane. — Mniej nie mogę wziąć.

Tchaka znów pokręcił głową.

— Nie, Nicobarze. Trzysta tysięcy.

Nagle znalazł się oko w oko z lufą miotacza ultradźwiękowego.

— Ja nie żartuję, Tchaka — ostrzegł Lane. — Potrzebuję tych pieniędzy. Zarobisz na tym sześćset procent, nie ryzykuj życia dla większego zysku.

— Sprawiasz wrażenie człowieka naprawdę zdecydowanego tego użyć, Nicobarze — rzekł Tchaka stojąc nieruchomo jak posąg.

— Zrobię, co będę musiał — stwierdził Lane. — Muszę zatankować „Śmiercionośnego”.

— Trzysta tysięcy, czterysta tysięcy, co za różnica? — powiedział Tchaka. — I tak będziesz się kąpał w paliwie.

— Tym razem nie wrócę, dopóki nie zabiję tego stwora — oświadczył Lane. — Niezależnie od tego ile czasu to zajmie, dokąd on podąży, co zrobi, zamierzam skończyć z nim.

— Nie podoba mi się to, co ta rzecz z tobą zrobiła, Nicobarze — wyznał Tchaka. — Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Mnie też się to nie podoba — przyznał Lane. — Dlatego musi zginąć.

— Pamiętaj tylko, że chcesz zabić ją, nie mnie — rzekł Tchaka.
— Odłóż broń, Nicobarze.

— Zapłacisz mi czterysta tysięcy?

— Tak.

— I dasz mi słowo, że nie spróbujesz rozedrzeć mnie na strzępy?

— Dane ze szczerego serca — zgodził się Tchaka.

Lane schował miotacz do kabury i Tchaka nalał sobie szklaneczkę aldebarańskiego absyntu.

— Nadal abstynent?

Lane skinął głową.

— Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz miałeś kobietę, Nicobarze?

— Nie zaczynaj, Tchaka — powiedział Lane.

— W porządku. — Tchaka wzruszył ramionami. — Pieniądze dla ciebie będę miał rano. Jednak musisz wziąć gotówkę. Nie chcę żadnego śladu jakichkolwiek finansowych powiązań z tobą. Każdy, kto był wystarczająco głupi, żeby zabić dwóch agentów rządowych musiał zostawić za sobą mnóstwo śladów.

Lane zignorował to stwierdzenie.

— Przyjdę po pieniądze o świcie.

— Kiedy tylko chcesz — zgodził się Tchaka. — Przy okazji, skąd jesteś taki pewien, że tym razem znajdziesz potwora, Nicobarze? Ścigasz go już długie lata.

— Znajdę go — warknął Lane ze złością.

— To samo mówiłeś ostatnim razem — przypomniał Tchaka.

— Poprzednio myliłem się. Tym razem się nie mylę. Będę miał dość paliwa, żeby trzymać „Śmiercionośnego” w

przestrzeni do końca mojego życia, jeśli to będzie konieczne. Wiem o tym stworzeniu więcej niż ktokolwiek z żyjących, i pragnę je zabić bardziej, niż ktokolwiek czegokolwiek pragnął.

— Zawsze chcemy zabić rzeczy, które kochamy — rzekł Tchaka.

Oczy Lane'a błysnęły i Tchaka przez moment myślał, że znowu wyciągnie miotacz, lecz z wolna, z widocznym wysiłkiem myśliwy opanował atak wściekłości.

— Nigdy więcej nie mów czegoś podobnego — powiedział tak cicho, że Tchaka z trudem go usłyszał. — Zrozumiałeś?

— Jak sobie życzysz, Nicobarze — zgodził się Tchaka. — Ale musisz zrozumieć, że stałeś się bardzo irytującym rozmówcą.

— Nie będziesz musiał się tym więcej trapić — oświadczył Lane. — Odlatuję natychmiast, gdy tylko statek będzie gotów.

— Mam przeczucie, że widzę cię ostatni raz — wyznał Tchaka.

— Przeżyjesz to — stwierdził Lane.

— Ba, ale czy ty też? — zauważył Tchaka. — Pochodzę z Abilla III. Nie jesteśmy mutantami, ale w ciągu mileniów nastąpiło u nas parę zmian. Na przykład mam podstawę oczekiwać, że moja sprawność i płodność nie zmniejszą się jeszcze przez jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Ale co z tobą, Nicobarze? Wyglądasz, jakbyś już był jedną nogą na tamtym świecie. Jesteś starcem. Skąd więc przekonanie, że będziesz żył wystarczająco długo, żeby zabić tę swoją Bestię Sennych Życzeń?

— Stąd, że nienawidzę jej zbyt mocno, żeby umrzeć wcześniej od niej — powiedział Lane. — Jak długo będzie trzeba, w jakiś sposób pozostanę przy życiu.

Tchaka potrząsnął głową.

— Nienawiść jest marna, jeśli ma służyć podtrzymaniu życia — zwłaszcza nienawiść tak kiepsko zbudowana jak twoja. Jeśli

to byłby Tchaka, to nie traciłby reszty swojego życia na nienawiści. Pożądanie, może, lub miłość czy nawet głód. To mogłoby trzymać Tchakę przy życiu. Ale nienawiść? Nie jest warta wysiłku.

— Nikt od ciebie nie żąda wysiłku — powiedział Lane.

— To prawda — przyznał Tchaka. — Ale od ciebie też nikt go nie żąda.

— Muszę — rzekł Lane miękko. — Nie mogę pozwolić, żeby jeszcze komukolwiek zrobiła to co mnie.

— Cieszę się, że masz altruistyczne pobudki — stwierdził Tchaka. — Jako że równie świetnie mogłoby to zabrzmieć jak zazdrość albo żądza posiadania u prawiczka.

Bez jednego słowa czy najłżejszego ostrzeżenia Lane sięgnął po miotacz, ale Tchaka był szybszy i złapał go za rękę, zanim zdążył wyciągnąć broń. Potężny człowiek rozbroił go, wymierzył mu silny policzek i wrócił na miejsce, gdzie przed chwilą stał.

— To było głupie, Nicobarze — oświadczył Tchaka z niesmakiem. — Po prostu czysta głupota. Jeślibyś mnie zabił, kto dałby ci pieniądze?

Lane milcząco wpatrywał się w niego posępnym wzrokiem.

— Słuchaj no — ciągnął Tchaka. — Jeżeli ci to cokolwiek pomoże, to mam nadzieję, że zabijesz to przeklęte stworzenie. Mam nadzieję, że posiekasz to na kawałeczki i sprawisz, żeby każdy z osobna cierpiał męki agonii po wieczność. Naprawdę. Bardziej jednak mam nadzieję, że przestaniesz próbować zabić mnie za każdym razem, gdy tylko wspomnę tego pieprzonego potwora. Po prostu powtarzaj sobie bezustannie, że cokolwiek ci on zrobił, nie jest to wina Tchaki. To poważna sprawa, Nicobarze. Raz jesteś chłodny i myślisz logicznie jak zawsze, a w chwilę potem zaczynasz mówić o tym przeklętym

stworzeniu i nagle stajesz się maniakalnym mordercą. Powinieneś być pozostać przy alkoholu i kobietach, Nicobarze. Dają równie dużo frajdy, a nie wywracają umysłu na lewą stronę. Spójrz na mnie: w tej chwili pragnę kobiety dokładnie tak samo jak ty Bestii Sennych Życzeń, może nawet bardziej. Ale nie wpadam z tego powodu w morderczy szał.

— Daj mi tylko pieniądze i pozwól odejść — powiedział Lane.

— Nie mogę — odparł Tchaka. — Dopiero rano. Wiesz, że nie trzymam tu tyle gotówki. Nie obawiaj się, dostaniesz swoje pieniądze.

— I mój miotacz.

— Dostaniesz go również — uspokoił go Tchaka. — Zostawię go na statku. Będziesz mógł poszukać, kiedy wystartujesz.

Lane wstał i podszedł do drzwi.

— Jeszcze tylko jedno, Nicobarze — zatrzymał go Tchaka.

— Co?

— Jak długo już ścigasz Bestię Sennych Życzeń?

— Bardzo długo.

— Co zamierzasz robić po dopadnięciu jej?

— Powiedziałem ci już — odparł Lane. — Dysponuję bronią opartą na prawach entropii. Jak tylko będę miał bestię w zasięgu wzroku, broń zwyczajnie ją rozproszy.

— Nie rozumiesz — stwierdził Tchaka. — To, co powiedziałaś, zamierzasz zrobić, kiedy ją dopadniesz.

— O czym ty, u diabła, mówisz? — zdziwił się Lane.

— Zużyłaś wszystkie swoje pieniądze i całą swoją młodość — wyjaśnił Tchaka. — Prawdopodobnie jesteś już ścigana za morderstwo. Złamałaś tak wiele kontraktów, że jest bardzo wątpliwe, abyś mogła wrócić do zarobkowego polowania. Więc powtórzę. Co zamierzasz robić po dopadnięciu bestii?

Lane patrzył na niego nieruchomym wzrokiem przez dobrą minutę, nie rozumiejąc, o co chodzi, potem odwrócił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ 18

„Śmiercionośnego” czekał jeszcze jeden, ostatni przystanek.

Lane wylądował w odległości mniejszej niż kilometr od wioski Dornów. Nie musiał się ukrywać — zanim przybędzie tu policja, dawno go nie będzie.

Z Muftim wczepionym w ramię przemierzył krótki dystans dzielący go od rzędu rozpadających się szałasów. Teraz, gdy zaszło słońce, zrobiło się bardzo zimno, więc przyspieszył kroku.

Kiedy dotarł do wioski, zdał sobie sprawę, że nie pamięta, który z szałasów należy do Vostuviana, stanął więc pośrodku pojedynczego rzędu budowli i zawołał Dorna po imieniu.

Vostuvian pojawił się po chwili, jak zwykle z pozbawioną wyrazu twarzą.

— Wiedziałem, że wrócisz — powiedział swoim zwykłym półszepciem.

— Czy nadal chcesz lecieć? — spytał Lane.

— Tak.

— W takim razie zabierz tyle koncentratów, ile zdołasz wyżebrać, pożyczyć czy też ukraść albo przygotuj się na jedzenie tego co ja podczas całego polowania.

— Nie mamy koncentratów żywnościowych — odrzekł Vostuvian.

— W porządku — rzucił Lane. — Zabierz tyle jedzenia, żeby wystarczyło ci na tydzień lub dwa, dopóki twój organizm nie

przywyknie do mojej diety. Czy potrzebujesz czegoś jeszcze? Na przykład czystych łachów?

— To co mam na sobie, w zupełności mi wystarczy — odparł Vostuvian.

— Dobrze. Masz dwie godziny na wyszperanie swojego żarcia i pożegnania.

— Czy mogę spytać, co spowodowało tę zmianę, Lane? — zapytał Dorn. — Jak mówiłem, wiedziałem, że wrócisz po mnie, ale nie przypuszczałem, że stanie się to tak szybko.

— Nie miałem wyboru — odrzekł Lane. — Najprawdopodobniej został wydany na mnie nakaz aresztowania, a jeśli nie, to wkrótce będzie. Mam dość paliwa i pieniędzy na utrzymanie „Śmiercionośnego” w przestrzeni przez resztę naszego życia, a nawet jeszcze trochę dłużej. Dlatego też wolę, abyś już był na pokładzie, na wypadek gdybym cię kiedyś potrzebował. Policja szybko dowie się, że byłem tu kilka razy w interesach.

— Dlaczego jesteś ścigany? — zapytał Vostuvian.

— Myślę, że przekwalifikowałem się z zabójcy zwierząt na zabójcę ludzi — wyjaśnił Lane.

— Czy to prawda? — zaciekawiał się Vostuvian.

— Czy ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, jeśli wezmę cię na polowanie?

Vostuvian zamknął oczy i stał przez chwilę sztywno, nie odpowiadając, po czym podniósł wzrok.

— Nie, Lane, to nie ma żadnego znaczenia. Jedyne zabójstwo, które mnie obchodzi, to to, które planujemy.

— W porządku — powiedział Lane. — Czy weźmiesz jakieś narzędzia do naprawy dilutera, jeśli szlag go trafi?

— Szlag go trafi? — powtórzył Dorn.

— Zepsuje się.

— Nie zepsuje się, Lane. Tak długo jak twój statek będzie w próżni, broń entropowa będzie działać.

— To mi wystarczy — rzekł Lane — wierzę ci na słowo. Idź, zdobądź jedzenie i wróć tu jak najszybciej.

Dorn znikł w ciemności, jak Lane przypuszczał, gdzieś w kierunku wioskowej kuchni. W oczekiwaniu na Vostuviana oparł się o szafas i spoglądając w niebo zastanawiał się, gdzie w tej chwili może być bestia — czy przemierza pustkę, żeruje w chmurze pyłu, czy też może czeka na „Śmiercionośnego”. Minęło już sporo czasu, odkąd widział ją ostatni raz, ale ciągle jeszcze mógł przywołać tamte odczucia — nienawiść, strach i te inne, ciemne emocje — tak jakby ich doświadczył przed chwilą. Wiedział, że znowu będzie czuł strach ogarniający go przemożną falą, lecz tym razem wszystko potoczy się inaczej. Tym razem był na to przygotowany, uzbrojony i pałający chęcią polowania.

Mufti wyrwał go z zamyślenia terkocząc szaleńczo i rzucając się ku ziemi. W chwilę później przyczłapał z powrotem dumnie niosąc w pysku dużego żuka o złotym grzbiecie. Bawił się owadem przez jakiś czas, a gdy ten w końcu wyzionął ducha, podrzucił truchło do góry, schwycił w locie i połknął. Chwilę później zasiadł znowu na ramieniu Lane'a, ale teraz cały był spięty i rozglądał się w poszukiwaniu następnej późnowieczornej przekąski.

Lane obrócił głowę i popatrzył na swojego małego, dziwnego ulubieńca. Jeżeli Mufti był zdolny do zachowań socjalnych, to jeszcze ich nie odkrył, a pomimo to był dziwnie mocno przywiązany do tego wariackiego stworzenia. Jego bezładne terkotanie i „pogadywanie” uspokajały go podczas długich miesięcy w próżni i miał dla malca dużo ciepłych uczuć wiedząc, że Mufti pozostaje z nim z wyboru. Setki razy, na

niezliczonych planetach zwierzak mógł go opuścić, gdyby chciał, ale nigdy nie wykazywał żadnego zainteresowania w tym kierunku. Właśnie miał poklepać go po głowie, gdy ten zaskrzeczał jak idiota (Lane podejrzewał go, że rzeczywiście jest niespełna rozumu), dał nurka ku ziemi i w chwilę później, uszczęśliwiony, chrupał następnego żuka.

Czekali w zimnej ciemności, a kiedy Vostuvian powrócił z odrażająco cuchnącym workiem przerzuconym beztrąsko przez ramię, poszli w stronę „Śmiercionośnego”.

W chwilę później Belore była już tylko malejącą kulą na ekranie, a Lane, po wielu latach i wielu falstartach, rozpoczął ostatnie w swojej karierze polowanie.

ROZDZIAŁ 19

Vostuvian zamieszkał w kącie kabiny pilota. Dorn spędzał trochę czasu zapoznając się z urządzeniami kontrolnymi i przyrządami, lecz poza tym nigdy z własnej woli nie przekraczał wyimaginowanej linii otaczającej jego kwaterę. Odmawiał użycia suchego prysznicu, dopóki Lane nie uczynił mu propozycji nie do odrzucenia: użyj-go-albo-won-z-pokładu. W dodatku jego dwutygodniowy zapas mocno zalatującej żywności okazał się zapasem dwumiesięcznym. Fakt, że zaczęła gnić i cuchnęła jak wszyscy diabli na długo przed upływem dwóch miesięcy, w ogóle go nie obchodził.

Jeśli chodzi o Lane'a, spędzał większość czasu nie przeznaczonego na sen przy tablicach przyrządów bezskutecznie poszukując jakiegokolwiek śladu stworzenia. Przez prawie trzy miesiące rygorystycznie uprawiał ćwiczenia, potem dał sobie z nimi spokój. W końcu —

usprawiedliwiał się przed sobą — zamierzał zastrzelić tego przekłętą stwora, a nie pokonać go w walce wręcz.

Pierwsze sześć miesięcy w przestrzeni minęło bez wydarzeń. Następnym dwadzieścia było jeszcze gorsze. Vostuviana w pełni zadowalało spędzanie całych tygodni bez wypowiedzenia choćby jednego słowa, a Lane za żadne skarby nie zamierzał pierwszy przerwać milczenia. Nigdy w życiu o nic nie żebrał i był pewien jak diabli, że nie zacznie żebrać u obcego, którego powoli zaczynał nienawidzić, o chwilę rozmowy.

W ten sposób czas włókł się niemiłosiernie. Nawet Mufti zaczął działać Lane'owi na nerwy i w końcu zaaplikował mu pogłębiony sen. Gdy trzydziesty miesiąc w chmurze pyłu nadszedł i przeminął bez zauważalnych zmian, powrócił do ćwiczeń fizycznych i zaczął regularnie dawkować sobie pobyt na zewnątrz „Śmiercionośnego”, gdzie pozwalał się holować na linie bezpieczeństwa.

Przestał myśleć o tym, gdzie ukrywa się bestia, a zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest już martwa. Miał wielką ochotę skontaktować się przez radio z innymi statkami lub portami i dowiedzieć się, czy ostatnio ją widziano, ale powstrzymywała go przed tym pewność, że za jego głowę wyznaczono już do tej pory nagrodę. Więc siedział, rozglądał się i czekał.

Gdy „Śmiercionośny” przebywał w przestrzeni trzydzieści trzy miesiące od opuszczenia układu Belore, przyrządy wykazały obecność szybko poruszającego się obiektu, lecz w chwilę później czujniki określiły go jako stary transportowiec w rutynowej podróży. Jednak ten incydent obudził w nim znów łowcę i następny miesiąc spędził przyklejony do

przyrzędów, zanim przekonał się, że jedno spotkanie niekoniecznie zapowiada następne.

Mieli za sobą trzydzieści osiem długich, nudnych, wypełnionych milczeniem miesięcy od startu z Belore, gdy w końcu się to wydarzyło. Lane ćwiczył na zewnątrz statku, wędrując tam i z powrotem wzdłuż kadłuba w ciężkich, magnetycznych butach, włączając i wyłączając magnesy przy każdym kroku, gdy usłyszał w słuchawkach spokojny, niespieszny głos Vostuviana.

— Myślę, że lepiej, żebyś wrócił do środka, Lane.

— Coś się popsuło?

— Nie.

— Czy coś z Muftim? — spytał wędrując mozolnie do najbliższej śluzy.

— Nie — odrzekł Vostuvian. — Myślę, że dostrzegłem *straigora*.

— Co?

— Bestię Sennych Życzeń.

Lane znalazł się w środku w trzy minuty i pochyłał się nad przyrządami trzydzieści sekund później.

— To ona, na pewno! — stwierdził rozpinając skafander i rzucając go niedbałe na podłogę.

— Oceniałbym, że to około pół miliona kilometrów — orzekł Vostuvian.

Lane zatrzymał statek, potem zaczął pomalutku posuwać go naprzód. Jeśli stwór rzeczywiście mógł wyczuć obecność dilutera, chciał znaleźć się jak najbliżej, zanim Bestia go zauważy. „Śmiercionośny” zbliżył się na odległość około dwustu tysięcy kilometrów i, właśnie w momencie gdy Lane zwalniał różne mechanizmy zabezpieczające dilutera, stworzenie poderwało się do ucieczki jak spłoszony zając.

„Śmiercionośny” rzucił się w pogoń. Stracił około pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, zanim Lane zareagował, ale teraz, gdy i stwór, i statek osiągnęły prędkość światła, odstęp między nimi był stały.

— Trzyma kurs poza chmurę — zauważył Vostuvian beznamiętnie.

— Wie, że tym razem nie żartuję — odrzekł Lane nie odrywając rąk ani wzroku od przyrządów. — Jaki, mówiłeś, jest skuteczny zasięg tej broni?

— Około siedemdziesięciu tysięcy kilometrów — przypomniał Dorn.

— Czy to jest odległość, z jakiej zabija?

— Nie rozumiem cię, Lane — wyznał Vostuvian.

— Jeśli dam radę zbliżyć się na, powiedzmy, sto dwadzieścia tysięcy kilometrów, czy diluter będzie w stanie go zbarczyć.

— Zbarczyć?

— Zranić go — wyjaśnił Lane. — Zmusić do zmniejszenia prędkości.

— Wątpię — rzekł Vostuvian. — A w dodatku, chociaż siedemdziesiąt tysięcy kilometrów to zasięg maksymalny, myślę, że zrobisz dużo mądrzej, nie strzelając, dopóki nie będziesz bliżej niż trzydzieści tysięcy kilometrów.

— Obydwa te problemy pozostaną całkowicie akademickimi, dopóki on nie zacznie opadać z sił — zauważył Lane. — Jesteśmy już piekielnie blisko szybkości maksymalnej i byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że zyskujemy więcej niż dziesięć metrów na minutę.

Stworzenie rzeczywiście opuściło chmurę i gnało po prostej w kierunku krawędzi galaktyki. I dokładnie tak samo gnał „Śmiercionośny”.

Po trzech dobach pościgu Lane, pomimo wszelkich wysiłków oraz amfetaminy, zasnął przy przyrządach i Vostuvian prowadził statek przez następne jedenaście godzin. Gdy Lane obudził się, nie było żadnej widocznej zmiany we wzajemnej pozycji statku i ściganego stworzenia.

Nie było też żadnej zmiany przez następny miesiąc. Raz czy dwa Lane już myślał, że zgubił trop, jako że czujniki statku były dużo mniej sprawne przy szybkości światła, lecz stwór utrzymywał kurs i, prędzej czy później, Lane zawsze był w stanie go odnaleźć.

Docierali właśnie do Zewnętrznego Pogranicza, a zwierzę nadal nie zmieniło prędkości. Lane zaczął się poważnie zastanawiać, czy w ogóle potrzebuje wypoczynku. Zapytał o to Vostuviana.

— Któż może to wiedzieć? — odparł Dorn. — Gdy moja rasa wypowiedziała im wojnę, nie próbowały uciekać, więc nie mam żadnych danych, z których mógłbym wyciągnąć wnioski.

— Innymi słowy jest możliwe, że będziemy ścigać je przez resztę życia i nigdy znacząco się nie zbliżymy?

— Taka możliwość istnieje — przyznał Dorn. — Jednakowoż każda forma życia, nieważne jak oryginalnie zbudowana, musi mieć nieprzekraczalne granice wydatku energii.

— Prawda — zgodził się Lane. — Ale skoro to stworzenie istnieje od prawieków, nie ma żadnych podstaw, aby sądzić, że taki limit zostanie osiągnięty za naszego życia?

— Nie ma — rzekł Vostuvian beznamiętnie.

— Niegdyś istniało przysłowie o proroku zwanym Mahometem i o górze — powiedział Lane. — Nie zacytuję ci go, ponieważ albo byś go nie zrozumiał, albo nie docenił, ale chyba spróbuję zastosować w praktyce zawartą w nim myśl.

Mówiąc to, nacisnął spust wibratora kierując wiązkę w uciekającego stwora. Przez dziesięć minut nic się nie działo. Potem z wolna, nieomal niedostrzegalnie bestia zaczęła hamować. Lane również zmniejszył szybkość „Śmiercionośnego” utrzymując pomiędzy nimi odległość ćwierć miliona kilometrów.

W ciągu godziny stwór i statek zatrzymali się całkowicie i Lane zaczął strzelać z wibratora co dwadzieścia sekund.

A potem, ostrożnie i z wahaniem, bestia zaczęła się zbliżać do statku. Gdy znalazła się w odległości stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, Lane poczuł spływającą na niego falę entuzjazmu i ze wstydem i poczuciem upokorzenia zdał sobie sprawę, że nadal było zbyt daleko, żeby mógł odczuwać jakiegokolwiek emocje poza własnymi.

Bestia znalazła się bliżej niż sto tysięcy kilometrów i nagle zatrzymała się pulsując gwałtownie.

— Co się z nią dzieje? — spytał Lane.

— Podejrzewam, że jest niezdecydowana — stwierdził Vostuvian. — Już wie, kim jesteś, ale jednocześnie wyczuwa broń entropową.

Nie poruszyła się przez następną godzinę, pulsując tylko, a Lane nie śmiał poruszyć „Śmiercionośnego” w jej stronę. Znowu odbezpieczył diluter i czekał.

W końcu stworzenie zaczęło cal po calu zbliżać się, wolno i z wahaniem. Gdy znalazło się w odległości osiemdziesięciu tysięcy kilometrów, stanęło.

— I co teraz? — spytał Vostuvian, okazując ciekawość po raz pierwszy, odkąd nauczył się pilotować statek.

— Teraz będziemy czekać — odparł Lane. — Wygląda na to, że zna zasięg dilutera, więc prawdopodobnie zajmie mu trochę czasu nabranie odwagi, aby bardziej się zbliżyć.

Zajęło to prawie cały standardowy dzień, ale w końcu stworzenie zaczęło się do nich zbliżać. Było w zasięgu, o sześćdziesiąt tysięcy kilometrów, o czterdzieści pięć.

Nagle Lane zaczął dygotać i wiedział, że znowu jest w kontakcie ze stworem. Zablokował na nim mechanizm śledzący celownika i czekał.

— Strzelaj już teraz! — wycharczał Vostuvian i Lane dostrzegł, że jego towarzysz dygocze silniej niż on sam.

— Jeszcze nie — odparł Lane. — Tym razem muszę mieć pewność.

— Teraz! — wrzasnął Vostuvian.

— Zamknij się! — warknął Lane.

— Jest w zasięgu! — krzyknął Vostuvian. — Na co czekasz!?

Stworzenie było bliżej niż dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów. Zbliżało się do statku coraz ostrożniej lecz stale.

Lane wyczuwał je, czuł strach, zrozumienie i podekscytowanie, pożądanie i oczekiwanie. Oraz coś, czego nie czuł nigdy przedtem.

Samotność.

Vostuvian bełkotał teraz szaleńczo i nagle rzucił się do spustu dilutera. Lane odepchnął go.

— Zabij to! — wyrzęził Vostuvian.

Lane podniósł się z fotela i stanął pomiędzy Dornem a diluterem.

— Trzymaj się z dala od tej broni albo bestia nie będzie jedyną istotą, którą zabiję — oświadczył starając się panować nad głosem.

Stworzenie było tak blisko, że pojawiło się na głównym ekranie i Lane odwrócił się, by na nie popatrzeć. Pulsowało lekko zbliżając się stale i łagodnie zmieniając barwy.

Lane położył dłoń na spuście i teraz, razem ze strachem, pożądaniem i samotnością, dotarło doń jeszcze jedno uczucie: zaufanie.

Lane próbował strzelić, walczył każdą drobiną woli, jaką dysponował — i nie był w stanie. Dłoń przesunęła mu się niemal niezależnie od woli wzdłuż pulpitu kontrolnego i oparła się na spuście wibratora.

W malutkim zakątku umysłu, który funkcjonował jeszcze jasno i trzeźwo, obliczył, ile czasu zajęłoby dojsie do siebie po użyciu wibratora i oddanie strzału z dilutera. Piętnaście sekund, może dwadzieścia. Czy bestia mogła uciec tak szybko? Nie wiedział, ale wątpił w to.

A potem, przeklinając swą słabość, strzelił z wibratora.

Vostuviana rzuciło w tył, ku odległej ścianie kabiny, a Lane stał wyprostowany, nawet nie mrugnawszy okiem. Pozwolił kolejnym falom wrażeń i emocji stworzenia przepływać przez siebie i wypełniać ciepłym, pul sującym, nasycającym lśnieniem.

Potem, gdy bestia zaczęła się wycofywać, przesunął dłoń z powrotem na spust dilutera. Była o czterdzieści tysięcy kilometrów poruszając się leniwie. Jedyne, co trzeba było zrobić to nacisnąć spust i byłaby martwa.

Lecz on chciał mieć całkowitą pewność.

Zgrał ponownie przyrządy celownicze, skasował poprzednie parametry w mechanizmach poszukujących i śledzących i wprowadził je ponownie, sprawdził odczyty czujników, aby mieć pewność, że bestia nie zrobiła uniku.

Wtedy, z odległości stu dwudziestu tysięcy kilometrów, strzelił z dilutera.

I spudłował.

ROZDZIAŁ 20

Minęło wiele minut, zanim Lane w pełni zdał sobie sprawę z tego, co zrobił i wiele godzin, zanim Vostuvian całkowicie odzyskał przytomność.

— Zmieniła kurs — powiedział Lane, gdy stwierdził, że Dorn jest w stanie go zrozumieć. — Leci w stronę jądra galaktyki.

— Wiedziałem — wymamrotał Vostuvian. — Wiedziałem, że jej nie zabijesz.

— Strzeliłem z dilutera — zaoponował Lane. — Była poza zasięgiem.

— Poza zasięgiem? — powtórzył Vostuvian.

Jego głos był teraz ledwie słyszalny, prawdopodobnie z powodu uprzednich krzyków.

— Lane, ona była bliżej niż dwadzieścia tysięcy kilometrów.

— Rozproszyłeś moją uwagę — powiedział Lane.

— Miałem ją na muszce i wtedy zacząłeś dobierać się do dilutera. Do tej chwili panowałem nad sytuacją.

— Nigdy nie panowałeś nad sytuacją — stwierdził Vostuvian, znowu tajemniczo i beznamiętnie.

— Panowałem! — wściekł się Lane. — Wygrywałem! Byłem gotów do strzału, jak tylko się zbliży i wtedy wszystko popsujesz!

— To nie tak, Lane — zaprzeczył Dorn. — Czy jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, że nie jesteś w stanie zabić jej własnoręcznie?

— Nie jestem przekonany, czy będę w stanie ją zabić mając ciebie na pokładzie — oświadczył Lane. — A teraz zamknij się i zostaw mnie samego.

Sprawdził odczyty. Bestia była przed nimi w odległości około dwustu tysięcy kilometrów znów pędząc z prędkością światła. Godzinę później postawił Vostuviana przy sterach, a sam poszedł coś zjeść.

Gapił się na swój zapas koncentratów, po czym zdecydował, że wcale nie jest głodny i usiadł przy stole w mesie, nieruchomo wpatrując się w gródź.

Ile z tego, co powiedział Dornowi, było prawdą, a ile stanowiło tylko samousprawiedliwienie? Nie miał wcale ochoty poszukiwać odpowiedzi na to pytanie, ale musiał. Musiał wiedzieć, co zrobi następnym razem, gdy będzie miał bestię w swoim zasięgu, wiedzieć, której broni użyje.

Kiedy tak rozmyślał o tym, jego gniew przeniósł się z Vostuviana na bestię. To stwór, nie Vostuvian, zwichrował mu umysł, zaburzył osąd i poplątał zmysły. To bestia zmusiła go do strzału z wibratora zamiast dilutera, ona skłoniła go do użycia broni entropowej dopiero gdy było już za późno, ona zmieniła go w obsceniczną kukłę o niewyobrażalnie wszetecznych pragnieniach. Vostuvian nie pojawiał się w jego koszmarach, snach na jawie i marzeniach, bestia tak.

Miał ją w garści i pozwolił jej się wymknąć, ale wytrzymał wszystko, czym go obdarzyła i spóźnił się zaledwie o kilka sekund. Teraz wiedział, co mogła mu zrobić, a czego nie, a także co on mógł jej zrobić i czego nie. Przebieg walki został już dokładnie określony. Następnym razem będzie przygotowany, następnym razem nie zawaha się, następnym razem wykorzysta okazję do choćby zranienia jej.

Następnym razem...

Lecz następny raz nie nastąpił tak szybko, jak Lane miał nadzieję. Szaleńczy lot z powrotem ku galaktycznemu zerowemu południkowi trwał dni, które rozciągnęły się w tygodnie, które z kolei zmieniły się w miesiące. Zewnętrzne Pogranicze zostało za nimi, wkrótce minęli Demokrację, potem dotarli do Wewnętrznego Pogranicza. Rasa ludzka nie budowała swojego imperium od jądra galaktyki ku jej obrzeżom, tylko olbrzymimi, stale rosnącymi sferami mającymi centra na Ziemi, Deluros VIII i pół tuzinie innych głównych planet. Nie dotarła jeszcze nigdzie w pobliże krawędzi ani nie zbliżyła się bardziej do jądra niż Northpoint i kilka innych planet położonych na peryferiach ludzkiej cywilizacji.

Pędzili przed siebie mijając miliony nie zbadanych światów zagłębiając się w końcu w obszary nie tylko nie zbadane, ale nawet nie skartowane.

— Jeśli ona nie zwolni w ciągu kilku dni — powiedział Lane, gdy po raz chyba tysięczny próbował zwabić bestię strzelając z wibratora w regularnych odstępach czasu — zamierzam pomimo wszystko strzelić za nią z tego przeklętego dilutera. Może będziemy mieli szczęście.

— W takim przypadku najwięcej szczęścia będziemy mieli, jeśli nie prześcigniemy wiązki i nie zniszczymy sami siebie — rzekł Vostuvian.

Lane mruknął w odpowiedzi nie wyrażając ani zgody, ani zaprzeczenia, ani uprzejmości, a potem całą swoją uwagę z powrotem poświęcił wskaźnikom.

Właśnie wtedy, tak niespodziewanie, że obaj aż podskoczyli, „Śmiercionośny” odebrał sygnał radiowy, pierwszy od wielu lat.

— Powtarzam: mayday — powiedział słaby, lecz rozpoznawalny jako ludzki, głos, ledwie słyszalny przez potężne zakłócenia. — Powtarzam: mayday. Sytuacja krytyczna.

Lane sięgnął do wyłącznika nadajnika.

— Tu „Śmiercionośny”, dowódca Nicobar Lane, czterdzieści pięć miesięcy od startu z Belore.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął głos. — Tu Jonasz Stonemason, kapitan „Racheli”. Straciliśmy zasilanie i mamy co najwyżej dwudniowe zapasy wody i powietrza.

— Co tu, u diabła, robicie? — spytał Lane.

— Jesteśmy statkiem osiedleńczym — odrzekł Stonemason.

— Poszukiwaliśmy rolniczej planety na Wewnętrznym Pograniczu, kiedy zasilanie zdechło. Gdy się to stało robiliśmy około pół c i bezwładność nas tu zaniósła. Pomożesz nam?

— Nie mogę — powiedział Lane. — Ten statek ma pilne zadanie gdzie indziej.

— Do cholery, człowieku! — warknął Stonemason.

— Mam ponad sześćset kobiet z dziećmi na pokładzie! Wziąłem kurs według twojego sygnału i za pięć godzin nasze statki będą się mijać o pół miliona kilometrów.

Lane wyłączył radio i skontrolował czujniki. Bestia nadal pędziła przed siebie i było jasne, że jeśli tylko zwolni, nie mówiąc już o akcji ratunkowej, to polowanie zakończy się, prawdopodobnie na zawsze.

Ponownie nawiązał łączność.

— „Rachela”? Tu „Śmiercionośny”. Mam mały statek, zbyt mały, żeby móc wam w jakikolwiek sposób pomóc. Przekażę informację o waszej sytuacji i podam wasze współrzędne i parametry lotu każdemu napotkanemu statkowi.

— Niech cię szlag, Lane! — wrzasnął Stonemason.

— Skazujesz ponad tysiąc kolonistów na śmierć!

— Nie ma na to rady — odrzekł Lane. — Musicie mi uwierzyć, że głęboko tego żałuję i pomógłbym wam, jeśli to w ogóle było możliwe.

— Nie ma nic ważniejszego niż ratowanie życia twoich pobratymców! — stwierdził Stonemason. — Błagam cię, Lane, pomóż nam.

— Nie mogę — odparł Lane próbując nie myśleć o tysiącu ludzi, o opuchniętych, czarnych językach i wysadzonych oczach.

Zdawało mu się, że słyszał odgłosy szamotaniny i zaraz odezwał się kobiecy głos, na wpół szloch, na wpół krzyk.

— Panie Lane, mówię nie tylko w imieniu własnym i moich dwóch córek, mówię w imieniu całego statku. Co jest ważniejszego od aktu miłosierdzia?

— Nie zrozumielibyście. Wierzcie mi, pomógłbym wam, gdybym tylko mógł.

— Panie Lane, błagam, proszę...

Lane wyłączył radio.

Potem oddał stery Vostuvianowi, poszedł do swojego hamaka i położył się z rękami pod głową. Powinien był pomóc „Racheli” albo nie robiąc tego czuć się przynajmniej winnym. Nic podobnego. Czuł jedynie potrzebę kolejnej potyczki z bestią.

Wtedy nagle — myśląc o tych wszystkich pechowych kolonistach, członkach kolonii Roanoke, górnikach z Bastionu, Marinerze, ciągnących się bez końca latach w przestrzeni, broni entropowej, z której strzał padł zbyt późno — znalazł właściwe imię dla stworzenia. Nie Bestia Sennych Życzeń czy Latarnik Słońce, czy *straiGOR*, czy Pyłozerca, czy Handlarz Śmierci, czy też którekolwiek z nadanych mu imion, ale jego prawdziwe imię, jedyne, które go precyzyjnie opisywało.

W jednej chwili Nicobar Lane zmienił swój cel — odtąd było nim zabicie Pożeracza Dusz.

ROZDZIAŁ 21

Pościg trwał bez zmian przez następne pięćdziesiąt trzy dni. Zapasy paliwa i żywności mogły wystarczyć jeszcze na długo lecz Lane oceniał zapasy wody na około miesiąc. Ponieważ zaś nie miał zielonego pojęcia, kiedy będzie w stanie zabić Pożeracza Dusz, polecił Vostuvianowi przejrzeć i uruchomić system zamkniętego obiegu.

Wtedy właśnie, pięćdziesiąt cztery dni po pozostawieniu „Racheli” i skazaniu jej na zagładę w bezmiarze kosmosu, dotarli do jądra galaktyki i znaleźli tu prababkę wszystkich czarnych dziur.

Przez wieki głoszoneo teorię, że każda galaktyka spiralna ma w swoim centrum gigantyczną czarną dziurę. Teraz przed Lane’em widniała właśnie taka, o średnicy jakichś stu trzydziestu milionów kilometrów, niemal tak olbrzymia, jak orbita Marsa. Nie widział jej, oczywiście, zgodnie ze swą naturą pochłaniała całe światło i nie wysyłała nic. Lecz czujniki „Śmiercionośnego” wykryły jej pole grawitacyjne i określiły granicę jej horyzontu zdarzeń.

— Przygotuj się — powiedział Lane przejmując stery. — Lada moment zmieni kurs.

Lecz Pożeracz Dusz, zbliżając się pod kątem do dziury nie zbaczał ani na lewo, ani na prawo, ani w górę, ani w dół.

Pożeracz Dusz

— Widziałem już, jak robił taką sztuczkę — rzekł Lane. — Wleci wprost w dziurę i wywinie się w ostatniej chwili.

— Będzie musiał zrobić to naprawdę niebawem, Lane — stwierdził Vostuvian. — Jeszcze trzy minuty i znajdzie się we wnętrzu dziury.

Lane odbezpieczył diluter i próbował zablokować celownik na Pożeraczu Dusz, lecz stwór był za daleko.

— Lepiej zwolnijmy, Lane — odezwał się Dorn — albo nie będziemy w stanie uniknąć pola grawitacyjnego dziury.

— Uhum — mruknął Lane. — Po pierwsze, tak wielka dziura nie ma tak silnego pola w pobliżu horyzontu zdarzeń jak mniejsze. A po drugie, tym razem nie pozwolę Pożeraczowi Dusz uciec.

— Nie myślisz normalnie — stwierdził Vostuvian. — Jej pole będzie potężne. Już zdążyła pochłonąć większość gwiazd jądra.

— Zbyt długo nie wytykałeś nosa poza planetę — odrzekł Lane, nie spuszczając oka z pulpitu czujników.

— To nie horyzont zdarzeń generuje pole, tylko punkt osobliwy — punkt, do którego ściągana jest cała materia. Zaś horyzont zdarzeń dziury takiej jak ta jest dużo dalej od punktu osobliwego niż horyzont małej dziury. Lecimy wprost przed siebie.

Dorn nie odpowiedział i pościg trwał dalej. Daleko przed nimi Pożeracz Dusz gnał wprost do czarnej dziury i nawet Lane zaczął się zastanawiać, jak długo mógł jeszcze czekać z ucieczką z rozwierającej się czarnej studni.

— Zamierza wlecieć do dziury! — jęknął Vostuvian.

— Zmień kurs teraz, Lane, nim będzie za późno!

Lane nie odpowiedział i nagle Dorn odepchnął go i złapał za stery.

— Zjeżdżaj, Vostuvian — powiedział Lane. — Ostrzegam cię tylko raz.

Dorn nie zwrócił nań uwagi, więc Lane wyciągnął miotacz ultradźwiękowy i strzelił. Vostuvian wrzasnął, zeszywniał na moment i osunął się martwy na pokład.

Lane odepchnął nogą ciało, dopadł sterów chcąc upewnić się, że statek nadal nadaża za Pożeraczem Dusz utrzymując kurs pościgowy. Tak było i Lane poświęcił parę chwil diluterowi. Jeśliby odgadł, w którą stronę stwór zboczy, miałyby szansę wystrzelić. Jeśli nie, straciłby dodatkowe siedemset tysięcy kilometrów, zanim zdołałby odwrócić statek we właściwą stronę.

Właśnie wtedy ze zdumienia opadła mu szczeka, bo pojął, że Vostuvian miał rację. Pożeracz Dusz nie zamierzał unikać czarnej dziury. Już było za późno, nawet gdyby chciał. Za pięć sekund zniknie pod horyzontem zdarzeń, połknięty przez potężną negację, która zgniatała kosmiczne śmieci, planety, a nawet gigantyczne gwiazdy do bezwymiarnego punktu.

Lane miał sekundy na podjęcie decyzji i zdał sobie sprawę, że dawno już ją podjął. Wywrzaskując przekleństwa skierował „Śmiercionośnego” wprost w rozwartą czeluść, która dopiero co przytuliła Pożeracza Dusz do swej nieznanej i niepoznawalnej piersi.

ROZDZIAŁ 22

Lane oczekiwał, że zostanie jednocześnie rozciągnięty do nieskończoności i zgnieciony na śmierć.

Nic takiego nie nastąpiło.

Później, gdy zdał sobie sprawę, że będzie żył, spędził sporo czasu próbując dojść do tego, co się zdarzyło, lecz nigdy tak naprawdę tego nie zrozumiał.

Wiedział, że wszystko we wszechświecie wiruje, a zwłaszcza zapadające się gwiazdy. Gwiazdy neutronowe, które nie były wystarczająco masywne, aby zapaść się do stadium czarnej dziury wirowały z prędkością jednego obrotu na sekundę albo nawet szybciej. Nie wiedział zaś — a i nie dbałby o to, nawet gdyby zdawał sobie sprawę — że gdy czarna dziura zaczyna się formować, prędkość obrotowa kolapsującej gwiazdy zwiększa się do wartości niemal wymykających się obliczeniom. Zniekształca to tak silnie powstającą czarną dziurę, że tworzą się dwa horyzonty zdarzeń a nie jeden.

Gdyby „Śmiercionośny” przedostał się poniżej obu horyzontów zdarzeń wszystko, czego Lane oczekiwał, miałoby miejsce. Jego stopy, znajdując się niemal dwa metry bliżej punktu osobliwego, zostałyby ściągnięte ku niemu dużo szybciej niż głowa. Zostałyby dosłownie rozdarte na strzępy, choć i tak potężne pole grawitacyjne zabiłoby go dużo wcześniej.

Lecz „Śmiercionośny” nie przekroczył obu horyzontów zdarzeń. Podążał za Pożeraczem Dusz pomiędzy horyzontami i niewyobrażalna moc wirującego pola wyrzuciła go poza jego czas i przestrzeń.

Nie była to mityczna nadprzestrzeń czy podprzestrzeń wymyślona przez pisarzy o bujnej wyobraźni ani też „wormhole” postulowana w spekulacjach naukowych, ani nawet zakrzywiona przestrzeń z równań Einsteina. Nie był to też przeskok czasoprzestrzenny, choć ten termin byłby najbliższy opisowi zjawiska. Był to, najprościej mówiąc,

lokalny zanik zjawisk czasu i przestrzeni, jedyny dopuszczalny przez prawa wszechświata.

Lane nie doświadczył zawrotów głowy, mdłości, uczucia dezorientacji. Przez cały czas wiedział, kim jest i sądził, że wie, gdzie jest. Wszystkie przyrządy przestały działać, zegary wyczyniały przedziwne rzeczy, a na ekranach kotłowało się coś totalnie bezsensownego.

A potem nagle, po upływie niemożliwego do określenia ułamka czasu znalazł się — gdzie indziej.

Systemy „Śmiercionośnego” wznowiły pracę i Lane spróbował określić, dokąd to go zaniósło. Nie znalazł żadnych standardowych gwiazd odniesienia i nie potrafił nawet zgadnąć, gdzie jest.

Spojrzał na ekran i zdał sobie sprawę, że nie wie też, w jakim czasie się znajduje.

Był w jakimś wszechświecie, lecz nie potrafił powiedzieć, czy był to jego wszechświat czy nie i nigdy się tego nie dowiedział. W każdym razie, jakkolwiek kosmos to był, musiał być u zarania swych dziejów. Ogromny (z definicji wszystkie wszechświaty są ogromne) lecz bardziej zwarty niż ten, który znał. Nie było gwiazd podobnych do znanych mu, ich miejsce zajmowały supergwiazdy — wielkości czerwonych i błękitnych olbrzymów, lecz płonące tak potężnie, że oślepiły nawet z odległości tysięcy parseków. Wisiały w przestrzeni na tle zamszowej czerni pustki jak lśniące klejnoty wyrzucając z siebie jasną materię w sięgających na miliardy mil protuberancjach, wirując tak szybko, że nieomal był w stanie dostrzec drobne zmiany ich jasności.

Dzięki temu rozpoznał je jako kwazary i doszedł do wniosku, że muszą stanowić załączki galaktyk — chyba, że oglądał kurczącą się starość, a nie rozwijające się niemowlęctwo. W

takim przypadku owe gwiazdy byłyby raczej ostatnimi stadiami istnienia galaktyk, a nie ich dumnym początkiem. Skłaniał się raczej ku pierwszemu wrażeniu, lecz nie łamał sobie nad tym głowy zbyt długo, jako że w odległości ćwierć miliona kilometrów unosił się Pożeracz Dusz.

Stwór był jedynym punktem odniesienia w tym obcym wszechświecie, jedynym znanym mu obiektem w tej czasoprzestrzeni, która na zawsze miała pozostać dlań nierozpoznawalna. Było nawet możliwe, że w całym tym dziele Kreacji byli jedynymi żywymi stworzeniami.

I jeden z nich musiał zginąć.

Warknął przez zęby i pchnął „Śmiercionośnego” naprzód. Pożeracz Dusz zdawał się nie zauważać jego obecności do chwili, gdy odległość zmalała do siedemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów. Wtedy zaczął uciekać. Lane ścigał go przez godzinę nie mogąc zmniejszyć dzielącego ich dystansu. Dłoń trzymał tuż przy spuście dylutera. Wiedział, że musi wystrzelić, zanim stwór mu umknie i pozostawi go tu, samotnego i zagubionego.

Nacisnął spust.

Natychmiast w głębi czaszki usłyszał, poczuł czy też odczuł nieludzkie wycie cierpienia. Pożeracz Dusz zakolebał się szaleńczo zmieniając ciągle kierunek, a jego fragment zmienił barwę na jasnoniebieską, potem blado-szarą, by w końcu zniknąć. W chwilę później odzyskał kulisty kształt, choć już mniejszy i zaczął robić uniki z nieco mniejszą prędkością.

Uczucie bólu nie było już tak ostre jak przedtem i Lane mógł sterować. Potem do fizycznego bólu dołączyło się poczucie krzywdy. Nie gorzkiej, pełnej złości czy odrazy, ale pełnej zaskoczenia, coś podobnego do tego, co czułoby szczenię w stosunku do kopiącego je bez powodu dziecka.

Lane nie był w stanie dłużej znieść emocjonalnych cierpień i zmniejszył szybkość „Śmiercionośnego”, aż znalazł się poza zasięgiem nadawania stwora. Wówczas Pożeracz Dusz wyrównał lot i Lane dostosował doń prędkość statku podążając za nim w odległości dwustu tysięcy kilometrów.

Przełączył statek na autopilota i po raz pierwszy od przejścia przez horyzont zdarzeń rozejrzał się po sterówce. Zwłoki Vostuviana leżały dziwnie skrzycone, z oczami oskarżycielsko wpatrującymi się w Lane'a i przerażającym grymasem na ustach. Lane zawlókł ciało do śluzy i wyrzucił w próżnię — i wtedy, ogarnięty nagle paniką, pognął do komór pogłębionego snu.

Tak jak przypuszczał, Mufti nie żył. Jego metabolizm zatrzymał się, gdy wszystkie systemy statku przestały działać w trakcie przejścia przez czarną dziurę.

Delikatnie wyjął małe zwierzątko z komory i mocno przytulił, głaszcząc je łagodnie regularnymi ruchami. Otepiały z rozpaczy i głęboko nieszczęśliwy, zaniósł je do sterówki i usiadł, tuląc je tak mocno, że gdyby było żywe, krzyczałoby z bólu.

W końcu, gdy ciało zwierzaka zaczęło sztywnieć, delikatnie wyniósł je do śluzy i w chwilę później Wielki Lord Mufti poszybował w przestrzeń. Próżnia może obejść się z ciałem łagodnie lub wręcz groteskowo kapryśnie. Lane widział, co stało się z człowiekiem, który jeszcze żył, gdy rozdarł mu się skafander — i nie był to miły widok. Z drugiej strony, próżnia była dla jego ulubieńca łaskawa, konserwując jego szybujące przez pustkę ciało na wieczność — i to było dla Lane'a jakimś pocieszeniem.

Potem przeniósł uwagę z powrotem na Pożeracza Dusz.

On był wszystkim, co mu pozostało. Vostuvian był martwy, Mufti był martwy, znany mu kosmos równie dobrze mógł być martwy. Teraz zostało ich tylko dwóch. Nic więcej, nic innego się nie liczyło, nawet nie istniało.

Miał absolutną pewność, że mógł zabić stworzenie, kiedy tylko chciał. Było zranione i odczyty czujników wskazywały, że jego średnica wynosiła obecnie zaledwie pięć kilometrów.

Nie potrafił jednak wymazać z pamięci jego reakcji na zranienie. Ufało mu, tak samo jak Mufti, i nie był w stanie zabić jednego dnia dwóch istot pokładających w nim zaufanie. Mógł poczekać z tym do jutra.

Lecz następnego dnia Pożeracz Dusz odzyskał część sił i zwiększył szybkość, a także, czy to z powodu dezorientacji, czy ze strachu, zaczął zygzakować. Lane nie miał innego wyjścia jak tylko podążać za nim.

Sytuacja nie uległa zmianie przez ponad tydzień i pojawił się nowy czynnik do uwzględnienia. Lane zużył więcej paliwa podążając za manewrami stwora w ciągu ostatnich sześciu dni niż przedtem w ciągu całego pościgu, który doprowadził ich do czarnej dziury. Utrzymując to tempo zużycia paliwa opróżniłby zbiorniki w ciągu następnych dziesięciu dni.

Pożeracz Dusz zmieniał stale kurs przez następne sześć dni i teraz Lane nie miał już najmniejszych wątpliwości, że jeśli nie zabije wkrótce stwora, nigdy nie będzie w stanie tego dokonać.

Wtedy właśnie Pożeracz Dusz zaczął zwalniać. Możliwe, że wyczerpał swoje pozornie nieskończone zasoby energii albo też odczuwał odległe skutki działania dilutera, czy też po prostu miał dosyć ucieczki. Cokolwiek było przyczyną, wkrótce znalazł się w odległości mniejszej niż sto tysięcy kilometrów, potem osiemdziesiąt, potem czterdzieści, a potem

i stworzenie, i ścigający zatrzymali się oddaleni o dwadzieścia tysięcy kilometrów.

Nagle Lane zorientował się, że nie odczuwa napięcia, które zawsze towarzyszyło obecności Pożeracza Dusz. Zamiast tego czuł się stary, zmęczony, sterany, a wszystko to było zanurzone w strasznym, bolesnym, zagłuszającym wszystko inne poczuciu samotności.

Pożeracz Dusz zrezygnował. Był gotów umrzeć, zmęczony ucieczką, niezdolny do zrozumienia jak coś, czemu ufał, mogło go tak bardzo skrzywdzić. Nie wywieszał białej flagi, nie domagał się „pokojowych rokowań”.

Poddał się bezwarunkowo.

Lane położył dłoń na spuście dilutera i — zatrzymał się.

Patrzył na obraz stworzenia na ekranie. Wyglądało jak przegrany starzec, miało niezmienny, wyblakły kolor, jego ciało nie pulsowało energią, kształt również nie ulegał zmianie.

Spróbował przeanalizować emocje Pożeracza Dusz. Nie było w nich gniewu, nienawiści, protestu przeciw przeznaczeniu. Znalazł jedynie rezygnację i pragnienie, by nieuniknione skończyło się tak szybko, jak to możliwe.

Dla tej chwili Lane żył przez więcej lat, niż mógł sobie przypomnieć, tej chwili pożądał, dla niej zabijał, rabował, kłamał. Było to jego absolutne zwycięstwo, triumf, dla którego poświęcił swoją karierę, bogactwo i młodość. Zdjął dłoń ze spustu. Tę chwilę należało celebrować jak najdłużej. Stworzenie było pokonane i pokorne, nie zamierzało nawet próbować ucieczki. Mógł przez chwilę nacieszyć się smakiem zwycięstwa.

Był gorzki.

Myślał o pożegnalnych pytaniach Tchaki i stwierdził, że nadal nie umie na nie odpowiedzieć. Co będzie robił po oddaniu strzału z dilutera?

Był myśliwym. Potrzebował swej zdobyczy, aktualnej zdobyczy, dokładnie tak samo, jak ona potrzebowała jego. Jeśliby umarł za tydzień, byłby to samotny, pusty i bezsensowny tydzień jego życia. Zrozumiał, że pytania Tchaki zaledwie musnęły naskórek problemu. Rzucił alkohol, narkotyki były dlań bezużyteczne, kobiety go nie interesowały i wiedział, że nic już nie będzie w stanie sprawić mu najmniejszej nawet przyjemności, bo poznał Pożeracza Dusz. Nie miał rodziny, przyjaciół, zaledwie garstkę znajomych. Pieniądze prawie się rozeszły, sprzedał biuro, zawód pozostał tylko odległym wspomnieniem. Wszystko co miał, co mu pozostało, to pokonana bestia unosząca się w pobliżu „Śmiercionośnego”.

Czy nienawidził jej za to, co uczyniła z jego życiem?

Tak.

Ale wiedział też z niezachwianą pewnością, że potrzebował jej bardziej niż nienawidził.

— Och, niech to wszystko diabli wezmą — powiedział cicho.

Potem ostrożnie, niemal czule wycelował wibrator w sam środek Pożeracza Dusz i nacisnął spust.

Zamiast spodziewanego fizycznego i psychicznego uderzenia pioruna, poczuł łagodne muśnięcie emocji, które doszło doń i ogarnęło go, przepływając przez każdy milimetr jego ciała i umysłu. Trwało przez moment czule, dziękczynnie, potem zanikło.

Lane w ciągu kilku minut próbował zanalizować, co czuło stworzenie i jak on zareagował. Gdy w końcu przemyślał swoje emocje i — ku jego niezmiernemu zdumieniu — nie

wywołały w nim odrazy, stworzenie sięgnęło ku niemu ponownie.

Tym razem nie było ani cierpienia, ani samotności.

ROZDZIAŁ 23

Pozostali tam długo, myśliwy i ofiara.

Potem, pewnego dnia, Pożeracz Dusz zaczął bardzo powoli odlatywać i zaskoczony Lane podążył za nim. Wkrótce stworzenie zaczęło przyspieszać, lecz Lane utrzymywał stałą prędkość „Śmiercionośnego”, zatroskany malejącymi zapasami paliwa. Po kilku minutach stworzenie dostosowało swoją prędkość do statku.

W końcu dotarli do czarnej dziury, niemal tak wielkiej jak ta, przez którą przybyli w tę czasoprzestrzeń. Nie było tu zwiniętej spirali gazu i międzygwiazdnych śmieci, ponieważ dziura wchłonęła je wieki temu. Zamiast tego była niemal dotykalna nieobecność czegokolwiek oprócz dziury.

Pożeracz Dusz trzykrotnie zbliżał się do niej, zanim w końcu odnalazł odpowiadający mu kąt podejścia i Lane nie miał innej możliwości jak tylko naśladować wszystkie jego poruszenia. Potem znaleźli się pomiędzy horyzontami zdarzeń.

Znowu Lane oczekiwał jakichś fizycznych doznań i znowu nie poczuł zupełnie nic. Popatrzył w przód i zobaczył daleko przed sobą Pożeracza Dusz, zerknął w tył i stwierdził, że nie widzi nic z wszechświata, który opuszczał.

Nie miał pojęcia, jak długo przebywał wewnątrz czarnej dziury ani jak daleko zaleciał, jako że czas i przestrzeń traciły tu sens. W końcu jednak „Śmiercionośny” został wyrzucony w jakiś wszechświat.

Jego wszechświat.

Sprawdził gwiazdy odniesienia, wprowadził ich współrzędne do komputera i stwierdził, że znajdował się w połowie drogi pomiędzy jądrem galaktyki a Wewnętrznym Pograniczem. Pożeracz Dusz czekał na statek i teraz, łagodnie pulsując, unosił się o kilkaset kilometrów.

Lane przejrzał systemy statku, stwierdził, że nadal były w dobrym stanie i zdecydował, że przede wszystkim musi zadbać o paliwo i wodę. Wziął kurs na Rabot VI, najbliższą planetę pogranicza, o której wiedział, że ma stację paliwową. Wkrótce osiągnął prędkość światła i wówczas pozwolił się nieść bezwładności, mając cały czas Pożeracza Dusz u boku.

W końcu, wiele tygodni później, zaczął hamować zbliżając się do Rabot VI. Stworzenie zorientowało się, że zamierza lądować i przekazało mu szybką serię uczuć: zdziwienia, poczucia krzywdy, nieszczęścia i paniki. Próbował je uspokoić, zmniejszyć jakoś jego obawy, ale nie wiedział jak. Potem, gdy wprowadził „Śmiercionośnego” na orbitę przed otrzymaniem współrzędnych kosmodromu i zezwolenia na lądowanie, przerażenie stwora przeważało i uciekł w przeciwnym kierunku.

Lane napełnił zbiorniki paliwa i wody, załadował mnóstwo żywności i bez powodzenia spróbował dowiedzieć się, czy odnaleziono „Rachelę”. W końcu, gdy wszystko było zapięte na ostatni guzik, „Śmiercionośny” wystartował po raz ostatni.

Pożeracz Dusz czekał nań poza Rabot, tak jak się spodziewał. Zadoleni i przepelnieni wzajemnym zaufaniem zrównali prędkości i kontynuowali swą nieskończoną wędrówkę przez bezdroża pustki, która w jakiś sposób zaczęła wydawać się mniejsza i mniej przerażająca.

EPILOG

Czas mijał.

Rok za rokiem nadchodził i przemijał, jak to lata mają w zwyczaju, Demokracja przeżywała okres potęgi i stabilności, ostatni przed całkowitym rozpadem. Kredyt znów był silną walutą, choć tylko chwilowo. Diabłosowy zostały dopisane do wiecznie rosnącej listy gatunków całkowicie wytępionych. Leczenie eplazji okazało się mniej skuteczne, niż początkowo sądzono i choroba szerzyła się nadal. I, jak zawsze, na światach pogranicza nie poświęcano tym wypadkom zbyt wiele uwagi, a na co dzień nawet w ogóle o nich nie myślano.

Bar Tchaki był zatłoczony.

Trącając się ramionami przy każdym stole tłoczyli się myśliwi, zwiadowcy, łowcy przygód, kiepsko przystosowani, którzy zdecydowali się wyjechać na pogranicze. W głębi sali była grupa Dabihsów poszukujących pracy na wyprawie myśliwskiej jako oprawiacze. Przy drzwiach każdy z czterech pokątnych handlarzy próbował nabić w butelkę trzech pozostałych. W miejscu gdzie światło czyniło go najlepiej widocznym, stał jaskrawo ubrany, obwieszony klejnotami górnik, który właśnie trafił na żyłę. Dwie dziwki Tchaki oparły się o koniec długiego, polerowanego baru robiąc sobie coś w rodzaju przerwy śniadaniowej.

Tchaka osobiście stał za barem. Utył parę funtów, przybyło mu zmarszczek na twarzy, kostki prawej dłoni miał wciąż opuchnięte po bójce w zeszłym tygodniu, a jaszczurka w jego małżowinie usznej reprezentowała trzydzieste siódme pokolenie żywej biżuterii.

Trzech młodych ludzi siedziało przy stole w pobliżu baru. Próbowali ukryć swój wiek za pomocą wąsów i bród, nosili kapelusze na bakier dla dodania sobie animuszu oraz nieco zbyt nowe i czyste buty. Wymieniali się swoimi ograniczonymi zasobami niezwykłych opowieści, co w rezultacie doprowadziło do łagodnej sprzeczki.

— Spytajcie Tchaki — powiedział jeden z nich. — On będzie wiedział.

— Całkiem możliwe — zgodził się inny. — Hej, Tchaka, czy możesz nam odrobinę pomóc?

— Blondynka czy rudzielec? — wyszczerzył się Tchaka. — Zawsze jestem gotów pomóc płacącemu klientowi.

— Później — rzekł młody człowiek. — Najpierw potrzebujemy nieco informacji.

— Pytajcie — zgodził się Tchaka, kładąc się na barze, żeby uszczyplnąć jedną z przechodzących dziwek.

— Moi towarzysze tutaj — zaczął jeden z młodych ludzi z nutką wyższości w głosie — myślą, że wiedzą coś na temat nowej legendy o Latającym Holendrze.

— Nie znam nawet starej — wyznał Tchaka.

— Oryginalna opowiadała o kapitanie, który skazany był na wieczne przemierzanie oceanów Ziemi aż do chwili, gdy wyzwoli go od przekleństwa miłość kobiety. Teraz zaś chodzą słuchy o niewiarygodnie starym człowieku, gdzieś poza granicami cywilizacji, który skazany jest na bezustanną pogoń za kimś, czy za czymś, czego nikt inny nigdy nie widział.

— Powiadają, że jego statek nigdy nie ląduje — rzekł inny z mężczyzn — i że ucieka, ilekroć ktoś się doń zbliży.

— A wy pytacie mnie o zdanie? — upewnił się Tchaka.

— Tak, co o tym myślisz?

— Bardziej podoba mi się pierwsza wersja — stwierdził Tchaka z niezrozumiałym dla nikogo uśmiechem.

— Nie o to mi chodzi — zaprotestował młody człowiek. — Co sądzisz o opowieści? Wiesz czy jest prawdziwa, czy nieprawdziwa?

Siwy, stary górnik, który uważnie się przysłuchiwał, przysunął się do nich nerwowo.

— Zwykła bajka, wydumana przez jakiegoś prózniarza dla skrócenia sobie dłużącego się dnia — oświadczył.

— Moglibyście równie dobrze wierzyć w... — szukał w myśli odpowiedniego przykładu. — O! W Bestię Sennych Życzeń!

Trzech młodych ludzi ryknęło na to śmiechem. Moment później dołączył do nich Tchaka, a kiedy odrzucił głowę do tyłu, złote zęby zaśniły w czeluści jego ust jak małe, żółte gwiazdki.

[1] Peacemaker, czyli „czyniący pokój”, to marka rewolweru wielkiego kalibru, (przyp. tłum.)